

JEDENAŚCIE
DNI
W BERLINIE

A man with short reddish hair, wearing a light-colored checkered shirt and blue jeans, sits on a dark wooden bench on a grassy hill. He is seen from behind, holding a string attached to a bright yellow balloon. The background shows a panoramic view of Berlin at sunset or sunrise, with the city skyline and the prominent white TV Tower (Fernsehturm) on the right. The sky is filled with soft, golden light and a few birds in flight. The text 'JEDENAŚCIE DNI W BERLINIE' is overlaid in large, bold, dark blue letters. The balloon is positioned behind the letter 'I' in 'DNI'.

HÅKAN NESSER

Håkan Nesser

Jedenaście dni w Berlinie

dla Elke

Uwaga wstępna

Niektóre szczegóły dotyczące ulic Fasanenstraße, Knobelsdorffstraße i Kyffhäuserstraße nie mają odbicia w rzeczywistości. Są wytworem wyobraźni autora. To samo odnosi się tak naprawdę do całej książki.

*Nie mam jakiegoś szczególnego przesłania. Ale chciałabym opowiedzieć się za tolerancją
wobec ludzkiego obłądu.*

Astrid Lindgren

Prolog I

Kiedy ojciec Arnego Murberga skończył sześćdziesiąt lat, sposepniał i pięć lat później umarł.

Było to w listopadzie, padało wtedy od rana do wieczora. Arne i wuj Lennart czuwali przy nim w szpitalu przez półtorej doby, ale w tej wyjątkowej chwili, gdy przekroczona została granica, Arne leżał na wysłużonej leżance na korytarzu i drzemał. Dochodziła jedenasta wieczorem. Wuj Lennart potrząsnął go za ramię i oświadczył, że to już koniec.

– Umarł we śnie. Cicho i spokojnie, trzymałem go za rękę.

Arne przetarł oczy i zastanowił się, czy powinien powiedzieć: świetnie, a może nawet: super, zdecydował się jednak milczeć. Skąd miał to wiedzieć? Jego tata umarł po raz pierwszy, a jedynym, co czuł w tamtej chwili, była wielka pustka. Albo coś w rodzaju sierocego i zapomnianego laskotania, które ścisnęło mu gardło. Prawie tak samo jak kiedyś, gdy Peppe Sakwa próbował go udusić szalikiem.

– W końcu rak zwyciężył – ciągnął wuj Lennart. – Teraz Torsten już nie musi walczyć. Tak lepiej dla niego. Dobrze, że zdążył ci jeszcze powiedzieć to o twojej mamie.

– No – bąknął Arne i usiadł na leżance. Kiedy się wyprostował, odbiło mu się lekko. Pomyślał, że to pewnie po tych trzech ciastkach migdałowych, które zjadł do kawy, zanim zasnął.

– Chcesz wejść i go zobaczyć? Tak by wypadało.

– No – powtórzył Arne, po czym obaj weszli do sali numer osiem, gdzie Torsten Murberg spędził ostatnie tygodnie życia.

I ta laskocząca pustka wydała mu się jeszcze bardziej beznadziejna i smutna, może dlatego, że deszcz akurat bębnił w blaszany parapet za oknem i w różne blaszane dachy domów. Tata nie chciałby, żebym tak tu stał i beczał, pomyślał Arne, dlatego przygryzł policzek od środka i starał się wytrzymać.

To o mamie zostało wspomniane znowu, kiedy następnego dnia siedzieli z wujem Lennartem w kąciку kuchennym i popijali przedpołudniową kawę. Ale najpierw w drzwiach sklepu zawiesili tabliczkę: ZAMKNIĘTE Z POWODU ŚMIERCII W RODZINIE. Wuj Lennart to napisał. Niebieskimi drukowanymi literami na żółtym tle, bo nie znaleźli nic czarnego ani białego.

– Twoja matka, no tak – zaczął. – Była, jaka była, i pewnie nadal taka jest. A dla kogoś takiego jak Torsten była oczywiście o wiele za ładna.

Arne pokiwał głową i pomyślał, że chyba to rozumie. Przypomnił sobie fotografię mamy Violetty, za szkłem, oprawioną w ramkę. Stała na należnym jej miejscu na rodowej komodzie w stołowym pokoju. Między czaplą z drewna teakowego, którą zrobił na pracach ręcznych jakiś rok przed wypadkiem, i drugą fotografią: dziadka Albina i babci Helgi. Oboje umarli na długo przed jego przyjściem na świat, z czego w skrytości ducha się cieszył, bo wyglądali na tak ponurych i zmijowatych, że raczej nie mogli nikomu dać radości.

Mamę było widać tylko od pasa w górę, ale Arne zawsze mówił sobie, że to jest ta jej ładniejsza połowa. Miała ciemne kręcone włosy sięgające do ramion, szerokie usta, które śmiały się i odsłaniały równy rząd lśniących białych zębów, i iskry w oczach. Nawet on widział, że była piękną kobietą. I może jeszcze jest. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze wiedział, że umarła, ale teraz okazało się, że najwyraźniej żyje. Ani tata Torsten, ani wuj Lennart nie lubili o niej mówić, a ciocia Polly za każdym razem kiedy ktoś jednak o niej wspomniiał, tylko wzdychała i wznosiła oczy do nieba.

Mimo to przed tygodniem Arne został poinformowany o nowych – z drugiej strony dosyć starych – szczegółach.

Sala osiem. Na skraju łóżka było mu trochę niewygodnie, ale tata Torsten chciał, aby usiadł właśnie tam. Ujął w dłonie jego rękę, co – trzeba powiedzieć – było dosyć nietypowe, i utkwił w nim swoje złamane spojrzenie. Wyglądał na strasznie zgorzkniałego, prawie jak jego rodzice na zdjęciu z komody albo jak on sam, kiedy kończyły się pieniądze i sklep schodził na psy.

– Arne, synu – zaczął. – Jesteś moim jedynym dzieckiem, a ja niedługo odejdę. Tyle już chyba zrozumiałeś?

Kiwnął głową i w porę zdołał przełknąć „no jasne”, bo są rzeczy, których nie powinno się mówić, kiedy śmierć stoi za progiem. Po prostu się nie godzi. Trzymaj język za zębami – często radził mu wuj Lennart, przy odpowiedniej i mniej odpowiedniej okazji. Mowa jest srebrem, milczenie złotem.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać, zanim będzie za późno. Tylko słuchaj mnie uważnie.

– Słucham – odpowiedział, bo naprawdę tak było.

Wuj Lennart siedział na krześle przy oknie i patrzył na deszcz. Odwrócony plecami do brata i bratanka.

– No więc... – ciągnął tata Torsten – ...w życiu nie zawsze układa się tak, jak byśmy chcieli. Człowiek zdaje sobie z tego sprawę, kiedy dojdzie do takiego momentu jak ja. Ale trzeba je doprowadzić do końca, a są rzeczy, których nie wolno zostawić nieuregulowanych.

– Słusznie – powiedział.

– Rozumiesz, co to znaczy nieuregulowane?

– No jasne – potwierdził.

– Raczej nigdy nie dostaniesz Nagrody Nobla, mój synu, ale jesteś dobrym człowiekiem, a to dużo więcej, niż można powiedzieć o lwiej części ludzkości.

– Lwiej części? – powtórzył Arne ze zdziwieniem.

– O większości – wyjaśnił tata Torsten.

Arne kiwnął głową. Tata odchrząknął i wypluł flegmę do przeznaczonego na to plastikowego kubka.

– Prawda... – powiedział w zamyśleniu, studiując ze zmarszczonym czołem zawartość garnuszka, a zabrzmiało to tak, jakby to słowo nie było dla niego wygodne albo jakby dopiero sobie przypominał, co ono znaczy – p r a w d a o twojej mamie jest taka, że nie umarła podczas tamtego rejsu żaglowcem u zachodniego wybrzeża Danii.

– Naprawdę? – zdziwił się. – To jak umarła?

Tata Torsten odstawił kubek.

– Wcale nie umarła. Zwiłała z jednym takim trubadurem. Miałaś wtedy trochę ponad roczek. Tak się sprawy mają. I teraz nadeszła pora, żebyś ją odszukał.

– Z trubadurem? – spytał.

– To taki rodzaj poety, śpiewał piosenki i takie tam.

– Rozumiem – powiedział, chociaż nie rozumiał. Nie całkiem.

– Chudy, ekliwy typ – dodał tata Torsten, ciężko westchnąwszy. – Ni mniej, ni więcej. Z bakami. Nazywał się Lummersten i razem wyjechali do Berlina. Egon Lummersten.

Wuj Lennart zakaszał na krześle i wymamrotał coś pod nosem. I to wszystko. Nie dodał nic ponadto, tylko gapił się dalej przez okno, mimo że nie było przez nie widać nic poza kawałkiem burzowego nieba i tylnej ściany zamkniętej już na dobre fabryki butów Gahna.

– Berlin – powtórzył tata Torsten. – To jest w Niemczech.

- Wiem – wtrącił, bo rzeczywiście wiedział.
- Wcześniej był w Niemczech Wschodnich i Zachodnich, a teraz jest tylko w Niemczech.

Zdaje się, że Arne wiedział także i to, ale nie wspomniał już o tym. Nastąpiła długa przerwa. Jego tata zamknął oczy i zrobił kilka głębokich, lekko charkotliwych oddechów. Arne zadawał sobie pytanie, o co właściwie chodzi w tej rozmowie. Wuj Lennart wyjął telefon komórkowy i wpatrywał się w niego przez chwilę. Mający sto trzy lata Grönberg na łóżku za parawanem przy drzwiach puścił bąka, po czym sapnął z zadowoleniem, pogrążony w swej wiecznej drzemce. Wuj Lennart wyjaśnił Arnemu, że on w ten sposób rozmawia sam ze sobą, tylna część z częścią przednią, bo bywa, że starzy ludzie w oczekiwaniu na świętego Piotra i z braku czegoś lepszego spędzają czas właśnie na czymś takim.

Tata Torsten uniósł powieki i mocniej uściśnął jego rękę.

– Pojedź do niej – powiedział. – Odszukaj swoją matkę w Berlinie. To jest zadanie, które ci daję, mój synu.

– No dobrze, ale jak? – zapytał.

– Odszukaj ją!

– To słyszałem.

– Mam jej adres, jest w moim notesie w szufladzie w nocnej szafce. Tym starym, czerwonym, z gumką dookoła. Może się oczywiście zdarzyć, że się przeprowadziła, ale to nie powinno cię powstrzymać. W każdym razie trubadur nie żyje, rąbnął z balkonu po pijaku. Wiem to z pewnego źródła.

– Bywa – stwierdził.

– Jest coś, co musisz przekazać swojej mamie. W tej samej szufladzie co notes leży też mała szkatułka. Obiecuj mi, że to zrobisz, kiedy mnie już nie będzie.

– Jasne, tato – odpowiedział. – Obiecuję.

– Ta szkatułka jest zamknięta. Nie wolno ci jej otworzyć. Kupiłem ją od pewnej jasnowidzki, nie była tania.

Wiele więcej nie zostało na ten temat powiedziane, ponieważ jedna z pielęgniarek, ta z krótko obciętych rudymi włosami i niedużą wytatuowaną nerką albo bumerangiem na szyi, wjechała z klekoczącym wózkiem i oznajmiła, że pora znowu przyjąć lekarstwa.

Ale teraz, przy chybottliwym stole we wnęce kuchennej w sklepie – w dzień po śmierci taty – zostało powiedziane więcej. Jedli do kawy ciasto z malinami, które ciocia Polly wyjęła z zamrażarki i które jeszcze nie całkiem się rozmroziło, dawało się jednak zjeść.

– Nie miała czasu, żeby upiec świeże – napomknął wuj Lennart. – Albo ochoty. Można ją zrozumieć, przecież ona też bardzo lubiła Torstena. Na swój sposób.

Arne był ciekaw, co znaczy to „na swój sposób”, ale nie spytał. Powiedział tylko:

– Tak to już jest. Śmierć może się dać we znaki.

Czekał, aż wuj Lennart sięgnie dalej w przeszłość. Często tak mówił. *Co ty na to, żebyśmy się cofnęli trochę dalej w przeszłość? Żeby się zagłębić w problematykę.*

– Jak już ci wspominałem, była o wiele za ładna – powiedział po chwili. – Twoja mama, źródło twojego istnienia. Uroda zawsze, wcześniej czy później, prowadzi do złego. Zapamiętaj moje słowa!

– Przecież ciocia Polly jest brzydka – rzucił Arne, żeby pokazać, że podąża tokiem jego myśli.

– Z drugiej strony liczą się oczywiście wartości wewnętrzne – odparł wuj z lekkim rozdrażnieniem i odkroił sobie solidny kawał na wpół rozmrożonego ciasta z malinami. – Tylko one się liczą, i nic innego. Ale co się tyczy ostatniego życzenia twojego ojca, musimy sięgnąć trochę głębiej. Mówię o Berlinie.

– Pojadę tam – oświadczył Arne, bo już się zdecydował, kiedy poprzedniego dnia wieczorem leżał w łóżku i długo nie mógł zasnąć. – Pojadę do Berlina i odnajdę mamę. Dla mnie nie ma znaczenia, czy jest ładna czy brzydka.

– Bardzo słusznie – przytaknął wuj Lennart z pełnymi ustami. – To rzeczywiście nie odgrywa żadnej roli. Poza tym nie możesz się sprzeciwić ostatniej woli ojca, niezależnie od tego, jak bardzo jest idiotyczna. Ale zanim wyruszysz, musimy cię trochę przygotować.

– Przygotować? – powtórzył.

– Oczywiście chętnie pojechałbym z tobą, tyle że trzeba przecież pamiętać o sklepie. Torsten na pewno by nie chciał, żebyśmy zamknęli go bez powodu, zwłaszcza że czasy są ciężkie. A kto dopilnuje, żeby interes się kręcił, jeśli nie ja?

Arne pokiwał głową. Było jasne jak słońce, że teraz, kiedy taty nie ma już wśród żywych, za ladą będzie musiał stanąć wuj Lennart. Zresztą tak już było przez ostatnie miesiące, a nawet dużo dłużej. Ciocia Polly też mogła w razie czego wskoczyć na godzinkę, ale jej wciąż coś dolegało. Torsten Murberg przed śmiercią zdradził synowi, że jego gruba szwagierka cierpi na wszystkie możliwe choroby znane w zachodnim świecie i na co najmniej tyle samo nieznanymi. To cud, że rano podnosiła się z łóżka.

– Ale przede wszystkim musimy złożyć Torstena do grobu – mówił dalej wuj Lennart.

– A potem powinieneś się nauczyć niemieckiego. Przynajmniej rzeczy rudymmentarnych.

– Jakich?

– Rudymmentarnych. To znaczy, że nie musisz znać wszystkich słów. Wystarczą te najważniejsze. *Scheiße* i *Krankenhaus*, że podam dwa przykłady.

– *Scheiße* – powtórzył Arne.

– Brawo. Przy odrobinie dobrej woli i z porządnym podręcznikiem da się to zrobić w ciągu kilku miesięcy. Bo przecież nie możesz pojechać do Berlina i mówić jedynie po szwedzku.

– *Cwaj bir. Zer szen* – przesylabizował Arne, aby pokazać, że nie jest żadnym półgłówkiem i że już chwycił to i owo.

– Najwyżej w ciągu pół roku – dodał wuj Lennart, westchnąwszy. – Sam będę ci dawał lekcje. W latach sześćdziesiątych uczyłem się niemieckiego w szkole realnej.

Arne Murberg przyszedł na świat na początku lat osiemdziesiątych w następstwie spermoidalnego strzału w dziesiątkę. Torsten Murberg i Violetta Dufva poznali się na wycieczce autokarowej do Włoch, dziesięciodniowej wyprawie, podczas której trzy tuziny osób były obwożone w towarzystwie na wół profesjonalnej pilotki po okolicach nad jeziorami Como i Maggiore. Potem wszyscy nocowali w niedużych malowniczych pensjonatach na łonie przepięknej alpejskiej natury. Był maj. Dwa ostatnie dni spędzili w Wenecji, w najbardziej romantycznym mieście świata, i to właśnie tam zdarzył się ów strzał w dziesiątkę.

Violetta Dufva zdecydowała się na tę podróż pośpiesznie i w ostatniej chwili, chciała w ten sposób przepracować zakończony właśnie związek z uzależnionym od narkotyków i mającym skłonność do przemocy duńskim solistą rockowym o imieniu Truls. Szukała przygody, a tymczasem w ciągu trwającej pół roku relacji dostała znacznie więcej, niż się spodziewała, a kiedy Torsten już później próbował zrozumieć, co ona, u licha, w nim widziała, nie potrafił znaleźć odpowiedzi innej niż najbardziej brutalna ze wszystkich: poczucie bezpieczeństwa. Zamknięty w sobie, lekko zablokowany chłopski syn z pogranicznego regionu między Värmlandem a Närke nie był z pewnością facetem ani pięknym jak z obrazka, ani czarującym, nigdy jednak nie przyszłoby mu do głowy, żeby podnieść rękę na kobietę. I tak oto po paru kieliszkach wina i wyjątkowo urokliwej przejażdżce gondolą stało się to, co stać się musiało.

Nie bez znaczenia było może również i to, że pełny skład wycieczki to trzydzieści dwie kobiety i trzech – poza Torstenem – mężczyzn, z których każdy przekroczył sześćdziesiątkę. Violetta miała lat dwadzieścia dwa, a on niewiele więcej.

W ostatniej sekundzie, kiedy ona już doszła, a Torsten był u progu punktu kulminacyjnego, krzyknęła do niego, żeby wyszedł.

Co też, jako dżentelmen w każdym calu, uczynił, lecz niestety o sekundę za późno. Miesiąc później, hen, daleko od gondoli i alpejskich jezior, zadzwoniła do niego pewnego wieczoru i przedstawiła, jak się sprawy mają.

– Nie zamierzam usunąć ciąży – oznajmiła także. – Musisz mi obiecać, że się ze mną ożenisz.

Na co Torsten, jako dżentelmen, którym był nadal, zgodził się, zasięgnąwszy najpierw rady swego o pięć lat starszego brata i jego żony Polly. W ciągu następnych trzydziestu lat ostatnia z wymienionych często podkreślała, że to obaj naiwni bracia podjęli taką decyzję, ona natomiast od samego początku stanowczo Torstena do tego zniechęcała.

Tak czy inaczej już w sierpniu tego samego roku Torsten Murberg i Violetta Dufva związali się węzłem małżeńskim w kościele w K., a pół roku później bez większych komplikacji przyszedł na świat Arne Albin Hektor. Imię Albin dostał po dziadku ze strony ojca, Hektor – po dziadku ze strony matki. Arne to wspólny wybór rodziców (ale było to także imię pierwszego kochanka Violetty, którą to okoliczność trzymała w tajemnicy aż do chwili, gdy na zmianę imienia zrobiło się już za późno).

A dlaczego Torsten wybrał się na tę wycieczkę?

Wygrał ją jako nagrodę za to, że wymyślił hasło reklamujące jedną z najbardziej popularnych w Szwecji karm dla kotów. Można by ewentualnie utrzymywać, że Arne Murberg był późnym owocem duńskiego piosenkarza rockowego i karmy dla kotów ze Smålandu, ale o ile wiadomo, nikt tak nigdy nie twierdził.

To, że Arne Murberg nigdy nie poznał własnej matki – i dlatego nigdy za nią nie tęsknił

– należy uznać za fakt pożałowania godny, ale i niezaprzeczalny. Violetta nie karmiła go piersią; gdy w pierwszych miesiącach budził się w nocy głodny, niezmiennie wstawał do niego tata Torsten i grzał mu butelkę ze sztucznym mlekiem. A potem z kaszką. W tym pierwszym (i właściwie jedynym) wspólnym okresie mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu nad kinem Saga przy rynku w K. Violetta nierzadko cierpiała na ataki migreny, ponadto przeszkadzały jej odgłosy wieczornego seansu, które przenikały do nich przez podłogę. Problem ten rozwiązała w końcu w taki sposób, że schodziła na dół i zasiadała w fotelu w sali kinowej. Z czasem weszło jej to w nawyk i oglądała seans zarówno o siódmej, jak i o dziewiątej, po mocno obniżonej cenie, by nie powiedzieć gratis, miała bowiem ładne fiołkowoniebieskie oczy, a bileter Rundström był ostatecznie tylko człowiekiem, i właśnie na filmie *Zakochać się* z Meryl Streep i Robertem De Niro w rolach głównych spotkała trubadura i poetę Egona Lummerstena, który akurat tamtego wieczoru nocował w hotelu miejskim przed swoim występem na gali jubileuszowej Klubu Rotary dzień później.

Między innymi w celu dogłębnego przedyskutowania filmu, który ich oboje szczerze wzruszył, Violetta Dufva udała się ze swym nowym znajomym do jego pokoju do hotelu po drugiej stronie rynku, co wydawało się jej jak najbardziej naturalne, bo przecież i on, i ona wykazywali szczególne zainteresowanie kulturą, zainteresowanie, które u Torstena po powrocie z Włoch niemal całkowicie zanikło, a ponieważ nic nie bierze się znikąd, trudno się dziwić, że... że gdy poczucie bezpieczeństwa staje człowiekowi w gardle jak zimna kasza, trzeba wziąć łyżkę do ślicznej rączki, zdławić odruch wymiotny, a następnie oddać się swojej ulubionej zabawie. Tyle że tym razem z kondomem.

Czy jakkolwiek by to określić inaczej. W każdym razie relacja pozamałżeńska trwała kilka miesięcy – trwała i ulegała pogłębieniu – a gdy wreszcie tacie Torstenowi spadły łuski z oczu i urządził Violetcie coś, co mimo wszystko należałoby nazwać sceną, tamci dwoje następnego ranka wzięli nogi za pas. Małżonka i trubadur.

Nie wiadomo, dokąd uciekli. Na stole w kuchni leżała kartka.

Pół roku później przyszedł list z Berlina. Były w nim pozdrowienia dla małego Arnego Albina Hektora i żądanie, by odesłać na wskazany adres paczkę z ubraniami Violetty.

Wezwanie to nigdy jednak nie spotkało się z odzewem. Torsten bowiem do tego czasu podarował wszystko, co mogło mu przypominać zbiegłą żonę, aż po ostatnie figi, Armii Zbawienia. Z wyjątkiem portretu w ramce: w końcu nie trzeba od razu wylewać dziecka z kapielą.

Poza tym przeniósł się do spokojniejszego mieszkania, też trzypokojowego, przy Frithiofs gata, za boiskiem sportowym.

Ponadto za radą starszego brata kupił sklep tytoniowy w dobrej lokalizacji, na rogu Rutevägen i Floras gata.

Mały Arne miał wtedy rok i siedem miesięcy i żył w błogiej niewiedzy o tym wszystkim. Tata Torsten skończył dokładnie trzydzieści trzy lata. Życie toczyło się dalej.

Pięć domów dalej przy Frithiofs gata mieszkali Lennart i Polly Murbergowie. Było to praktyczne rozwiązanie, ponieważ nie mieli własnych dzieci i Arne czuł się jak u siebie i w jednym, i w drugim domu. Tata Torsten znienacka został starym kawalerem z małym synem na karku, toteż było zupełnie oczywiste, że jego jedyny brat i jego żona mu pomagali. Co najmniej dwa razy w tygodniu Arne spał u wujostwa, u których miał własny pokój za kuchnią, i wzbudził niemałe zdziwienie, kiedy potem w pierwszej klasie szkoły podstawowej dobitnie oświadczył swojej nauczycielce, pani Månsson, że ma nie dwoje rodziców, jak większość jego kolegów i koleżanek, ale troje.

O rodzicu numer cztery natomiast nigdy nie było mowy, mimo że tatę Torstena czasami odwiedzały kobiety. Zdarzało się to wtedy, kiedy Arne nocował u wujka Lennarta i cioci Polly, lecz żadna z nich nie zostawała dłużej niż do śniadania i żadna nie była warta tego, aby zapamiętać jej imię.

Ciocia Polly pracowała jako cukiernik w cukierni Svea, tylko na pół etatu, a wujek Lennart był urzędnikiem magistrackim. Co to właściwie oznaczało, Arne nigdy do końca nie zrozumiał, ale każdego ranka za piętnaście dziewiąta wujek wsiadał na swój czarny rower marki Fram i pedałował osiemset metrów do ratusza przy rynku. Kwadrans po piątej był z powrotem. Czy deszcz, czy słońce, na bagażniku miał teczkę, a w niej pojemnik na lunch i dwa jabłka, z których jedno zawsze przywoził z powrotem.

To na wypadek, gdybym musiał zostać po godzinach. Ta groźba jednak, o ile Arne się orientował, nigdy się nie spełniła. Aż do dnia, gdy po czterdziestu dwóch latach służby dla społeczeństwa wujek Lennart, otrzymawszy złoty zegarek, przeszedł na emeryturę. Tyle że przez pierwszych piętnaście lat Arnego nie było jeszcze na świecie, nie mógł więc twierdzić tego na pewno.

W soboty wujek Lennart najczęściej pomagał w sklepie, a gdy przeszedł w stan spoczynku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Torsten Murberg popadł w melancholię, chętnie spędzał codziennie kilka godzin za ladą, wśród papierosów, tytoniu fajkowego, snusu, kolorowych tygodników i słodczy. Czasami razem ze swoim od niedawna ponurym młodszym bratem, ale zwykle w towarzystwie bratanek, który po wypadku niezbyt się nadawał do normalnej pracy.

Pytanie o przyczynę słabnącej chęci do życia Torstena Murberga znalazło odpowiedź, gdy w jego żołądku odkryto guz nowotworowy. W każdym razie tej właśnie, początkowo dość nieokreślonej udręce, przypisano główną rolę w historiografii – to znaczy w historiografii w wersji wuja Lennarta i cioci Polly, a tylko taka była obowiązująca. To przecież pewne jak amen w pacierzu, że trudno czuć się dobrze, jak człowiek chodzi z bolącą piłką w brzuchu, co mogła poświadczyć zwłaszcza ciocia Polly. Warto dodać, że jedna trzecia sklepiku należała do niej i wujka Lennarta, dlatego oboje niewątpliwie byli zainteresowani tym, by interes się kręcił, również gdy biedny Torsten nie mógł już angażować się tak bardzo jak wcześniej.

Aż do tamtego nieszczęścia – jego własnego, nie taty – Arne miał sporo przyjaciół. Byli Jimmy i Niklas, a także Krille i Hassan – dwaj pierwsi to koledzy z klasy, ostatni to dzieci sąsiadów. Była też jedna potajemna przyjaciółka o imieniu Beata. Była o rok starsza od Arnego i mieszkała w starej drewnianej willi, która stała dokładnie pośrodku między jego oboma domami. Na podwórzu rósł ogromny kasztanowiec i gdy on szedł chodnikiem w jedną albo w drugą stronę, Beata często bujała się na huśtawce wiszącej na jednej z niższych gałęzi.

Beata była słodka, ale miała ojca, który pił, a w tamto lato przed wypadkiem urosły jej

piersi. Tak naprawdę ona wcale nie chciała ich mieć, Arne jednak uważał, że są ładne, i wyobrażał sobie, że prawdopodobnie przyjemnie byłoby ich dotknąć, a później często myślał, że pewnie by się z nią ożenił, gdyby wszystko nie potoczyło się tak, jak się potoczyło.

Był dwudziesty czwarty sierpnia, sobota. Pierwszy tydzień lekcji po wakacjach dobiegł końca, szósta klasa. Dostali nowego nauczyciela, który nazywał się Lindblom i na przerwach palił fajkę za stojakami na rowery. Pogoda była piękna, wspaniały dzień późnego lata, i Arne z Hassanem postanowili pojechać na rowerach nad jezioro Mörtsjön, żeby ostatni raz w roku się wykąpać. Na bagażnikach mieli prowiant, co najmniej dwadzieścia pięć komiksów oraz małą paczkę papierosów Prince Denmark, którą Arne podwędził ze sklepu, gdy nikt na niego nie patrzył. W końcu skończyli już po dwanaście lat, więc najwyższa pora zafundować sobie jakieś nałogi.

Jazda rowerami przez lasy zajęła im dobrą godzinę. Zdecydowanie krócej wracali karetką, tyle że Arne nie był tego świadom, ponieważ leżał przywiązany do noszy i szybował na granicy między życiem a śmiercią.

Nigdy nie uświadomił sobie również tego, co tak naprawdę się stało, bo jego wspomnienia z tamtej soboty zakończyły się po wszystkie czasy na tym, że postawili z Hassanem rowery przy drzewie niedaleko niedużego parkingu nad Mörtsjön. Resztę stopniowo opowiedział mu później Hassan; nie była to szczególnie skomplikowana historia.

Kiedy więc każdy wypalił swojego prince'a – który okazał się obrzydlistwem, jak powiedział Hassan, lepiej czegoś takiego w ogóle nie tykać – postanowili pójść popływać. Mimo ładnej pogody nad jeziorem nie było wielu ludzi, najwyżej z dziesięć osób, ale oni i tak nie zamierzali skakać do wody z chybatego pomostu, jak robili to zawsze, tylko poczłapali przez zarośla wzdłuż brzegu do wcinającej się w jezioro skały, pięćdziesiąt metrów od właściwego kąpieliska. Arnemu wydawało się, że z niej też można skakać, niewykluczone, że Hassan również tak uważał, choć akurat specjalnie się przy tym nie upierał. Może nawet odradzał.

W każdym razie Arne skoczył. Albo raczej zanurkował, na główkę, jak należy, a nie jak dziewczyna czy jakaś fujara. Hassan stał na skraju skały i patrzył. Najpierw zobaczył, jak jego kumpel znika pod ciemną taflą wody, a potem wypływa w wielkiej kałuży krwi, następnie zanurza się z powrotem. Później znowu się pokazał i znowu poszedł na dno.

Hassan zareagował przytomnie, tak przytomnie, jak tylko można było sobie życzyć. Zaczął krzyczeć i wzywać pomocy, i natychmiast zjechał na siedzeniu po stromej skarpie obok skały na sam dół. Rzucił się do wody i po chwili, która jemu wydawała się tak długa jak pół roku, a w rzeczywistości nie mogła trwać dłużej niż minutę, udało mu się chwycić Arnego. Był cały we krwi i zupełnie bez życia. Hassan zawlókł go na brzeg, gdzie stało już kilku innych kąpielowiczów, a wśród nich szczęśliwym trafem także kierowca karetki pogotowia. Wprawdzie nie przyjechał nad jezioro ambulansem, ale trochę niezgodnie z przepisami trzymał go pod swoim domem, nie więcej niż trzy kilometry od Mörtsjön.

W ciągu dwudziestu minut na miejscu znaleźli się zarówno ambulans, jak i żona kierowcy, która przez przypadek była pielęgniarką, i wkrótce nadal nieprzytomny Arne Albin Hektor jechał już do powiatowego szpitala w Ö-bro. W oczekiwaniu na karetkę na brzegu kąpieliska podjęto pewne czynności ratujące życie: oddychanie usta-usta, masaż serca i różne takie. Hassan był w stanie szoku i nie wykrztusił ani jednego rozsądnego słowa. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że również ten chłopiec potrzebuje opieki medycznej, tyle że innego rodzaju, toteż naturalne było, że pozwolono mu się zabrać ambulansem. W tę najpiękniejszą sierpniową sobotę panował jeden wielki chaos.

Kiedy sześć tygodni później Arne Murberg wrócił do domu przy Frithiofs gate, nastał już październik, a on nie był już taki sam. Był cieniem samego siebie, co bez trudu dało się dostrzec

gołym okiem, i należało się z tym pogodzić. Jego troje rodziców na zmianę wylewało łzy z powodu zaistniałego stanu rzeczy, nigdy jednak tak, aby Arne cokolwiek zauważył. Wychodzili do kuchni albo do łazienki i płakali. Dyskrecję stawiali sobie za punkt honoru.

Nie żeby Arne mógł mieć im to za złe czy choćby odnotować ich rozpacz, ale mimo wszystko. Poza tym przecież ostatecznie żył. Mógł ruszać zarówno rękami, jak i nogami i wyglądał mniej więcej tak samo jak wcześniej.

Uszkodzeniu uległa jego głowa. W środku.

– Uszło z niego powietrze – powiedział wujek Lennart.

– Jest taki smutny – dodała ciocia Polly. – Nie wydaje się całkiem obecny.

Sam Arne, gdyby ich słyszał, prawdopodobnie zgodziłby się z obiema diagnozami. Czuł się tak, jakby uszło z niego powietrze i jakby gruba warstwa tłustej waty znalazła się między nim a resztą świata. Wszystko toczyło się ultraszybko albo ulegało wyhamowaniu, gdy tylko trafiało do jego czaszki. Kiedy ktoś coś mówił, najpierw docierała do niego jedynie nieokreślona papka dźwięków, z której musiał dopiero po kolei wyłowić poszczególne słowa, aby w końcu móc z nich złożyć zrozumiałą komunikat. Dużym wysiłkiem było już samo czuwanie. Wyglądało też na to, że zapomniał nazw mnóstwa rzeczy, co do których był pewien, że je znał przed tamtą nieszczęsną sobotą nad jeziorem.

Na przykład korkociąg. Wąż do wody. Patelnia. Zamek błyskawiczny. Żeberka oraz cała masa innych słów, których musiał uczyć się od nowa. Poza tym irytowało go ciągle dopytywanie, bo tata Torsten od razu miał takie smutne oczy, kiedy Arne chciał się dowiedzieć, jak się nazywa taki podłużny, lekko wygięty owoc, albo jak się mówi, kiedy chce się podzielić sznurek albo włosy za pomocą nożyczek.

Ale najbardziej nieprzyjemnie zrobiło się w szkole. Miał kłopoty ze zrozumieniem nawet najprostszych poleceń i wyglądało na to, że zapomniał całą tabliczkę mnożenia. Test, który z zachowaniem największej dyskrecji przeprowadził magister Lindblom, wykazał, że nie wie, ani z jakimi krajami graniczy Szwecja, ani kim był Jezus z Nazaretu. Nie potrafił też wymienić miesięcy w należytej kolejności – chociaż znał nazwy wielu z nich. Poza tym pod koniec lekcji nierzadko zasypiał i miał wyraźne problemy w kontaktach z kolegami z klasy, którzy coraz bardziej zaczynali go uważać za dziwoląga albo czubka. To, że był na tyle głupi i skoczył na główkę w nieznanym mu miejscu, raczej nie poprawiało jego sytuacji, toteż kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem postanowiono, że musi zostać przeniesiony do tak zwanej klasy specjalnej. Tę małą trzódkę tworzyła wataha skorych do bijatyki chłopaków w wieku od dziesięciu do piętnastu lat, nauczanych – stosownie do indywidualnych predyspozycji – przez byłego majora o nazwisku Kornblatt, nazywanego jednak przez wszystkich nazistą.

Rok później po feriach wielkanocnych Arne Murberg w ogóle został zabrany ze szkoły. W wymiarze dydaktycznym nie odnotowano żadnych postępów, poza tym jego tak zwani koledzy z klasy specjalnej wielokrotnie nieźle przetrzepali mu skórę. Zwłaszcza niejaki Percy, który nawet zranił go nożem w udo.

E d u k a c j a d o m o w a – to było rozwiązanie, które znaleziono dla Arnego Murberga. Przez dobry rok rzeczywiście przychodziła na Frithiofs gata młoda, pracująca w szkole tylko na pół gwizdka nauczycielka i ćwiczyła ze swoim coraz bardziej opornym uczniem czytanie ze zrozumieniem, wbijała mu też do głowy ortografię i matematykę. Jej starania spełzły jednak na niczym, zwłaszcza że panna Myllymäki, jak się nazywała, znalazła się w szpitalu z powodu anoreksji, a ponieważ w sklepie z tytoniem potrzebna była każda para rąk do pomocy, Arne wstąpił na tę ścieżkę kariery. Gdy skończył piętnaście lat, potrafił niezawodnie zarówno wbić na kasę prawidłową cenę za najczęściej kupowane artykuły, jak i w miarę prawidłowo wydać klientowi resztę. Ze względu na wszystkich zainteresowanych rzadko jednak

zostawiano go w sklepie samego. Towarzystwa dotrzymywali mu albo tata Torsten, albo wuj Lennart. Ten ostatni początkowo jedynie w soboty, a po przejściu na emeryturę i złotym zegarku także w niektóre dni w tygodniu. Wkrótce znali Arnego wszyscy klienci, a ponieważ nie była im obca także jego historia, mówili mu dzień dobry grzecznie i szczególnie wolno, pytali, jak się miewa i czy ma jakiś pogląd na temat panującej pogody.

Z czasem Arne nabrał zwyczaju, by każdego ranka go sobie wyrabiać. W drodze do sklepu (szedł na piechotę, ponieważ zapomniał sztuki jeżdżenia na rowerze) starał się zwracać uwagę zarówno na niebo, jak i na wiatr i temperaturę. Tę ostatnią odczytywał, nawiasem mówiąc, na dużym termometrze umieszczonym na ścianie sąsiedniego sklepu z urządzeniami elektrycznymi: EEE. Zajmowało mu to jedynie kilka sekund, a lepsza jedna konkretna informacja niż mnóstwo próżnej gadaniny tylko dlatego, że ubrał się za grubo albo za cienko.

I tak mijały lata. Kiedy wuj Lennart dostał swój kieszonkowy zegarek, a tata Torsten popadł w melancholię, Arne dobiegał trzydziestki.

A pięć lat później przyszła pora, by stawić czoło Berlinowi.

– Mam na imię Arne – powiedział wuj Lennart.
 – *Isz bin Arne* – odpowiedział Arne.
 – Może być – ocenił wuj. – Jestem ze Szwecji.
 – *Isz bin Schweden* – wyrecytował Arne.
 – *Alright*, najważniejsze są podstawowe słowa. Tymi mniej ważnymi można nie zawracać sobie głowy. – Wuj Lennart zdławił ziewnięcie. – Poza tym masz przecież słownik. Możesz w nim sprawdzić, co chcesz. Chyba pamiętasz, jak się sprawdza słówka.

– *Abber klar* – odparł Arne i ziewnął. Niemiecki naprawdę nie był łatwy. Po trzech miesiącach dosyć intensywnych studiów zarówno on, jak i wuj Lennart zrozumieli, że jest granica. Nie da się wcisnąć do torebki nie wiadomo jakiej ilości słodyczy, a wszystko wskazywało na to, że torebka, którą był mózg Arnego Albina Hektora, w ostatnich tygodniach została już tak wypchana, że wydawała się bliska pęknięcia. Kiedy wciskał do środka nowe słówko, bywało, że od razu wypadały dwa stare, a taki rozwój sytuacji nie służył ani jemu, ani Niemcom. To oczywiste.

– Sprawdź, jak jest papierowy talerz – polecił wuj Lennart.
 Arne się zamyślił.
 – Kiedy się tak zastanowić, wydaje się, że nie będę potrzebował takiego słówka.
 – Mimo to sprawdź – nie ustępował wuj.
 Arne zaczął przerzucać kartki swojego grubego słownika i minutę później znalazł.
 – *Pappteller*.
 – Brzmi dobrze. Kurnik?
 – *Hühnerstall* – odpowiedział Arne po kolejnych dwóch minutach.
 – Brawo. To teraz chyba pozwolimy sobie na filiżankę kawy. Co ty na to?
 – Genua – zgodził się Arne.
 – Nie, to jest miasto we Włoszech. Mówi się *genau*. Musisz uważać, żeby nie przekręcać słów.

– *Genau* – powtórzył Arne.
 Oczywiście był już kiedyś poza granicami Szwecji. Naturalnie. Był w Kopenhadze i w Trysil. Poza tym na Wyspach Kanaryjskich, dwa razy, i na jakiejś wyspie greckiej, której nazwy nie pamiętał. No i jeszcze w Finlandii. Tyle że tam nie zszedł na ląd, tylko przepłynął tam i z powrotem na gigantycznym promie.

Leciał samolotem i lądował, i przechodził przez kontrole paszportowe. Wylegiwał się na leżakach między ludźmi, którzy mówili wszystkimi językami świata, i płacił przy stoiskach z pizzą banknotami wyglądającymi jak pieniądze do zabawy.

Ale nigdy całkiem sam. Zawsze w towarzystwie taty albo ciotki i wuja. Albo – jak ostatnio na Kanarach – całej trójki.

I nigdy w Niemczech. Nawet w Hamburgu, gdzie wuj Lennart spędził w młodości kilka dni i gdzie jego zdaniem wcześniej czy później trafi prawie każdy Szwed. Choćby po to, żeby w drodze na południe Europy zrobić sobie przerwę i kupić piwo i pieczoną kielbaskę.

Bier i *Bratwurst* – tego Arne nie musiał sprawdzać. Znaczenie tych słów już znał, podobnie nazwy części innych artykułów spożywczych, które mogły mu się przydać: *Brot*, *Milch*, *Kaffee*, *Käse* i *Kartoffelsalat*. Na wszelki wypadek miał je wypisane w zeszycie ze słówkami, razem z co najmniej setką innych, które według wuja należały do najbardziej powszechnych. Na przykład *Guten Morgen*, *verdammt* i *Auf Wiedersehen*. Choć to ostatnie

było długie i nie chciało wejść do jego zapchanej czaszki.

Oprócz zeszytu ze słówkami miał też mapy. Dwie różne: jedna to mapa Berlina, druga – całych Niemiec. A właściwie *Deutschland*, bo tak się ten kraj nazywał – kolejne słowo trudne do zapamiętania, a jeszcze trudniejsze do wymówienia.

Oczywiście mapa Berlina była ważniejsza. Po rozłożeniu zajmowała pół stołu w jadalni wujostwa, gdzie po odejściu taty mieszkał. Pokazywała całe ogromne miasto i były na niej dwa wyraźnie zaznaczone krzyżyki – jeden czerwony, drugi czarny. Czerwony na ulicy Knobelsdorffstraße, numer 38b. To tam powinien znaleźć mamę Violetę. Czarny na Fasanenstraße, gdzie miał mieszkać podczas całego pobytu w tym wielomilionowym mieście. Hotel Munck, dwanaście nocy, od dwudziestego szóstego marca aż do siódmego kwietnia. Na mapie była też narysowana ołówkiem linia łącząca oba krzyżyki, oznaczająca drogę, którą będzie musiał pokonać od hotelu do mamy. Nie wyglądała na szczególnie długą, miała co najwyżej dwadzieścia centymetrów, ale wuj Lennart wyjaśnił mu, że w rzeczywistości to kilka kilometrów. Trzy kilometry i siedemset pięćdziesiąt metrów, jeśli ktoś chciałby być dokładny, a należało być dokładnym, ponieważ tacy są wszyscy Niemcy. *Ordnung muss sein*. Jeśli na żadnym skrzyżowaniu nie pomyli kierunku, dojdzie na miejsce mniej więcej w godzinę.

Oczywiście można by też wziąć taksówkę, ale Arne i wuj Lennart byli zgodni co do tego, że to kiepski plan. Z taksówkarzami nigdy nie wiadomo, bo jeżeli się zorientują, że człowiek nie zna miasta, mogą do woli krążyć po ulicach i nieźle go naciągnąć. Nie, nie: lepiej liczyć na własne możliwości i własne kończyny.

– Kończyny? – spytał Arne.

– Nogi – wyjaśnił wuj Lennart. – Żeby nie powiedzieć zelówki.

Nakreślono też kilka planów, jak powinien się zachować, gdyby się okazało, że Violetta Dufva (czy jak tam się obecnie nazywa; zresztą nigdy nie zadała sobie trudu, żeby zmienić nazwisko na Murberg, to wiadomo na pewno) nie mieszka już pod starym adresem. Oczywiście niełatwo było określić z góry, jak należy postąpić w takiej sytuacji: można ewentualnie mieć nadzieję, że zostawiła nowy adres któremuś z sąsiadów albo właścicielowi domu, poza tym on zawsze mógł, rzecz jasna, zadzwonić z komórki do wuja Lennarta, omówić z nim sytuację i zdecydować co dalej.

Ciocia Polly uważała, że wszystkie plany są jednakowo złe. Twierdziła, że to chory pomysł, żeby wysłać go zupełnie samego, by szukał takiej kobiety. I to w takim siedlisku grzechu jak Berlin. Pamiętała pewien film, który oglądała w młodości z Lennartem. Dochodziło w nim do wszelkich możliwych ekscesów i widać było na wpół nagich ludzi w mrocznych barach i kabaretach oraz różne inne rzeczy.

– To było sto lat temu – wtrącił wuj Lennart. – Ten film przedstawiał lata trzydzieste.

– Nieważne. A kto ci powiedział, że teraz jest tam lepiej? To może się źle skończyć dla chłopca.

– On już nie jest chłopcem – zaprotestował wuj Lennart. – Ma trzydzieści cztery lata i jest duży jak na swój wiek.

– I taki mądry jak główka kapusty – odpowiedziała ciocia Polly.

– Torsten przed śmiercią powierzył mu zadanie. Uważasz, że ma się uchylić od spełnienia ostatniej woli własnego ojca?

– Ja nic nie mówię. I nic takiego nie mówiłam – odparła ciocia Polly, następnie umyła ręce i zaczęła wcierać w swoje żyłki ekologiczną maść z ekstraktu z dzioba papugi. Dostała na nią dziesięć procent rabatu w Oazie Pielęgnacji Skóry i Duszy u Mary przy Nätlaregatan.

Sam Arne podchodził do swojego wielkiego wyzwania nadspodziewanie spokojnie, wręcz tym spokojniej, im bliżej był dzień wyjazdu. Wuj Lennart uważał, że powinien się

denerwować trochę bardziej. Że powinien zdradzać takie czy inne symptomy niepewności i mieć rajzefiber. Tymczasem nic z tych rzeczy.

Możliwe, że Arne myślał sobie tak:

Posłuchaj, drogi Arne Albinie Hektorze Murbergu. Prawie całe życie spędziłeś tutaj, na Frithiofs gata i w sklepie z tytoniem. W gruncie rzeczy niewiele się w nim działo. Dzień mijał za dniem, jeden podobny do drugiego. Czasami świeciło słońce, ale najczęściej była niepogoda. Nigdy nie pocałowałeś żadnej dziewczyny. Obejrzałeś dziewięćdziesiąt tysięcy filmów w telewizji i przeczytałeś trzydzieści pięć i pół książki. Może pora zrobić coś innego. Kto wie.

Tą do połowy przeczytaną książką była *Ned in the block-house* Edwarda S. Ellisa. Zastanawiał się, czy ma ją zapakować do walizki. Postanowił jednak zostawić ją w domu. Wziął się do niej na kilka dni przed wypadkiem nad jeziorem, a skoro nie udało mu się jej przeczytać przez ponad dwadzieścia lat, to raczej mało prawdopodobne, żeby zrobił to w Berlinie.

Poza tym ważne było, aby walizka nie ważyła za dużo, bo gdyby się okazała zbyt ciężka, musiałby zapłacić w samolocie karę. Wieczorem przed wyjazdem wuj Lennart pomyślał o tym, żeby ją zważyć, i stwierdził, że obliczenia były perfekcyjne. Osiemnaście i trzy czwarte kilograma, co oznaczało, że Arne mógł kupić kilo i ćwierć niemieckich upominków, co wydawało się całkiem akurat.

Plus oczywiście sto czy dwieście gramów po pudełeczku, które miał przekazać mamie Violetcie. Przecież nie będzie wiózł go z powrotem. I wuj Lennart, i sam Arne zachodzili w głowę, co w nim jest, nie mówiąc już o cioci Polly, która miała wyraźną skłonność do ciekawości. Tata Torsten przechowywał tę szkatułkę w tajemnicy przed wszystkimi; była wykonana z twardego ciemnobrązowego drewna i zamykana na klucz. Ale chociaż szukali wszędzie, w całym mieszkaniu nie znaleźli pasującego do zamka kluczyka. Arne pomyślał, że może jest w posiadaniu jego mamy, zachował jednak tę myśl dla siebie. Gdy potrząsnęło się szkatułką, nie było nic słyhać, co najwyżej ledwie uchwytny szelest. Wuj Lennart zasugerował, że w środku może być jakaś biżuteria zawinięta w watę albo w miękki materiał, ciocia Polly zaś skłaniała się raczej ku papierowi. Może to jakiś dokument – mapa prowadząca do skarbu albo testament – złożony kilkakrotnie, więc prawie nie może się poruszyć w całkiem płaskim pudełku, które miało w przybliżeniu dziesięć na piętnaście centymetrów i nie więcej niż trzy centymetry wysokości.

– Jeśli będziesz miał szansę być przy otwieraniu, to jej, do cholery, nie przegap – upominał go wuj Lennart kilka razy.

On mnie ma za kompletnie stukniętego – pomyślał Arne. A przecież wcale taki nie jestem, może mam nie najlepszą pamięć i nie należę do najszybszych, ale rozumiem więcej, niż wujowi Lennartowi i ciotce Polly się wydaje.

Istotnie, wujowi i ciotce niewiele było wiadomo o wewnętrznym życiu Arnego, podobnie zresztą jak wszystkim innym ludziom.

Nikt nie wiedział na przykład, że w jego czaszce mieszka Perry Mason. Parę lat po wypadku tata Torsten przyszedł do domu z dużą skrzynką pełną filmów wideo, które kupił na wyprzedaży gdzieś w okolicy H-bergu, a wśród nich było chyba z pięćdziesiąt filmów o amerykańskim adwokacie. Arne zorientował się, że gość był popularny całkiem dawno, w latach sześćdziesiątych czy jakoś tak, nie miało to jednak znaczenia. Podobał mu się styl Perry'ego Masona i miesiąc za miesiącem, rok za rokiem oglądał co najmniej trzy odcinki w tygodniu, często myśląc sobie, że gdyby nie wypadek, on także byłby obrońcą. Miałyby sekretarkę, która wyglądałaby jak Della (albo raczej jak Beata Axelsson, mimo wszystko) i pomocnika podobnego do Paula Drake'a.

Z upływem lat zbudował z Perryem osobistą relację. Stworzył ją i pogłębił. Kiedy tylko

chciał, mógł wyciągnąć bystrego adwokata z głowy i poprosić go o konsultacje w skomplikowanych kwestiach. Wcale nie musiało chodzić o zagadkowe morderstwa – o które prawie zawsze chodziło w telewizji, natomiast raczej rzadko w życiu Arnego – nie, mogło chodzić o cokolwiek: o pęcherz na pięcie, kłopoty z kasą w sklepie albo o to, gdzie podział swoje klucze.

Co na to powiesz, Perry? – myślał wtedy Arne. – Jak byś rozwiązał mój problem?

Może należałoby postąpić w następujący sposób... – proponował na przykład Perry, zastanowiwszy się chwilę. Potem wspólnie omawiali problem i zwykle dochodzili do dobrego rozwiązania. Spokojnie i bez nerwów, i w całkowitej zgodzie.

Ale, jak już nadmieniono, o swoim układzie z Perrym, a także o wielu innych sprawach Arne nie wspomniał słowem ani trójce rodziców, ani nikomu innemu. Ostatecznie każdy ma prawo do własnych tajemnic, uznał. Przecież oni i tak uważają, że jestem głupszy, niż ustawa przewiduje.

W nocy przed podróżą Arne spał jak szczęśliwe prosię. Śniło mu się, że razem ze swoją mamą, piękną kobietą ubraną w elegancki gołębiebieski (czy może gołębioszary?) kostium siedzi w kawiarnianym ogródku w zgiełkliwym Berlinie i pije kawę, i je ciastka. Rozmawiali o swoim życiu. O wszystkim, co się wydarzyło i nie wydarzyło, i o tym, jak będą utrzymywać ze sobą kontakt w przyszłości. W czekającej ich przyszłości, dopóki śmierć ich nie rozdzieli, jak śpiewano w piosence. Na dłoniach mama miała cienkie białe rękawiczki.

Na stoliku, przy którym siedzieli, leżała mała płaska szkatułka i oto nagle Violetta Dufva (bo wciąż tak się nazywała) wyjęła ze swojej zgrabnej torebki nieduży kluczyk, i proszę! Pasował do zamka idealnie! Przekręciła kluczyk, lecz akurat gdy ostrożnie uniosła wieczko i oboje wyciągnęli nieco szyje, aby zobaczyć, co kryje się w środku, wtedy się obudził.

Do jasnej ciasnej, pomyślał z irytacją i zacisnął powieki, by spróbować znowu zasnąć i powrócić do snu. Chociaż na kilka sekund, to by mu wystarczyło, ale mógł, rzecz jasna, o tym *vergessen*.

Vergessen to było niemieckie słowo i nagle całkiem się rozbudził. To dzisiaj ma lecieć do Niemiec! Czuł się... tak, wspaniale. *Grossartig*, jeśli dobrze pamiętał.

Przypominanie sobie akurat tego słowa wydawało mu się wprawdzie trochę zbędne, ale mimo wszystko.

Wuj Lennart podwiózł go na samą Arlandę. Znaleźli się na sztokholmskim lotnisku ponad trzy godziny za wcześnie, ale wuj powiedział, że tylko debile i prezydenci zjawiają się w ostatniej minucie. Razem nadali na bagaż czarną walizkę z dużym żółtym A na wierzchu (aby łatwiej ją było znaleźć na lotnisku w Berlinie), cztery razy sprawdzili na karcie pokładowej numer wyjścia i godzinę odlotu, popijając jednocześnie ostatnią kawę, wyłączając telefon komórkowy, wkładając paszport i portfel do właściwych kieszeni i powtarzając wszelkie ewentualne pułapki mogące czyhać na człowieka w czasie lotu samolotem.

Kiedy wszystko było jasne jak słońce, wuj Lennart uściskał go mocno, a potem skierowano go do kontroli bezpieczeństwa i klamka zapadła. Nadal miał dwie godziny do startu, a na koniec usłyszał jeszcze od troskliwego wuja wykrzyczane na cały głos upomnienie, aby nie zapomniał pójść do toalety, zanim wejdzie do samolotu.

Przecież wiem, pomyślał Arne Albin Hektor Murberg, nie odwracając się. Za kogo ty mnie masz?

Pinkelieren muss sein. Chyba tak się mówi po niemiecku?

Prolog II

Profesor Anatolis Litvinas siedział przy biurku i przeglądał swoje notesy.

Zielony i czerwony. Grube czarne leżały upchnięte w szafie, jeszcze nie pora na wykorzystanie znajdujących się w nich wyliczeń.

Na razie. Ale już wkrótce. Sześć tygodni i trochę, o ile się nie mylił. Wtedy równanie musi zostać rozwiązane. Niby dlaczego miałby się mylić? Zaśmiał się w duchu na myśl o tym. Ostatnim razem, w Auerbachs Keller, miał rację w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, a teraz będzie miał na sto procent. Starał się powściągnąć ekscytację, która wibrowała w jego ciele. Lecz gdy praca badawcza całego życia jest wreszcie bliska przełomu, trudno zachować spokój, trudno nie wzbić się od razu na oszałamiające wyżyny.

Za oknem jeszcze nie pokazało się słońce, ale nad skrajem lasu rysował się już brzask. Dochodziło wpół do siódmej, a on nie spał całą noc. Ani na sekundę nie zmrużył oczu, ale to mu nie przeszkadzało. Profesor Litvinas był do tego przyzwyczajony. Dobrze znosił jedną czy dwie noce z rzędu bez snu, gdy akurat tak się ułożyło. Praca, która go czekała, była tak skomplikowana i tak doniosła, że po prostu nie sposób zawracać sobie głowy takimi błahostkami jak sen.

Z jedzeniem byłoby dokładnie tak samo. Z całą pewnością by o nim zapominał, zresztą tak właśnie w pewnych okresach bywało – ponieważ jednak wszystkim pensjonariuszom serwowano posiłki o stałych godzinach, zatem i on otrzymywał niezbędne pożywienie. A przynajmniej je przyjmował, choć na śniadanie, obiad i kolację poświęcał w sumie najwyżej pół godziny. Nie miał więcej czasu i rzadko zauważał, co wkłada do ust i co trafia do jego żołądka. Wystarczyło, że jest jadalne.

Koncentracja. Pełna i niezakłócona koncentracja, tylko to się liczyło, a jeśli chodzi o warunki zewnętrzne, nie mógł narzekać. Ani trochę. Prawie nikt go nie odwiedzał. Nie miał ani telefonu, ani komputera, który mógłby mu przeszkadzać. Żadnego radia czy telewizora. Jego pokój mierzył trzy metry na cztery. Łóżko, biurko, krzesło, nic więcej nie potrzebował. Notatki i stare dokumenty. Skupienie.

Ponadto własna toaleta i prysznic. Na początku, kiedy przyjechał trzy lata temu, tak nie było. Z czasem został upgrade'owany i przyznano mu lepsze warunki bytowe, co bez wątpienia było zasługą doktora Maertensa. Jeśli profesor Litvinas w ogóle miał w instytucie kogoś zaufanego, to kimś takim był ów przenikliwy stary doktor, i to również nie ulegało wątpliwości. Rozumieli się, może nie we wszystkich sferach, ale w wystarczająco wielu, by mogli darzyć się nawzajem szacunkiem. Dwa błyskotliwe umysły reprezentujące różne dziedziny aktywności.

W szafie na ubrania naprzeciwko łazienki Litvinas przechowywał nieliczne należące do niego ruchomości: oprócz swoich prac dwie zmiany bielizny i walizkę. To było wszystko, cały jego materialny dorobek. W zupełności mu to wystarczało. Cały paradygmat profesora mieścił się w jego głowie, zewnętrzności w ogóle się nie liczyły. Świat postrzegany zmysłami mógł poczekać.

Jeszcze chwilę. Wspomniane sześć tygodni; całe lata zajęło mu wyliczenie właściwego momentu, n o w e g o właściwego momentu. Nadal nie był całkowicie pewny godziny, ponieważ jednak miejsce oraz dokładna pozycja zostały ustalone, doprecyzowanie nie powinno raczej być skomplikowane. Prawdopodobnie.

Oczywiście mógłby spróbować uciec, ukryć się w bezpiecznym miejscu, i początkowo, mniej więcej przez pierwsze pół roku, nosił się z takim zamiarem. Miał przed oczami tę wizję, wkrótce jednak zrozumiał, że pobyt w Majorna jest podarunkiem, który należy wykorzystać. To

swego rodzaju łaska, gdyby wierzył w takie pojęcia. Izolacja była dokładnie tym stanem, który w panujących okolicznościach służył mu najlepiej. Miała trwać dopóty, dopóki nie przyjdzie pora, by pokazał się światu we właściwym momencie i udał we właściwe miejsce.

A więc już wkrótce. Bardzo niedługo.

Z dołu dały się słyszeć pierwsze odgłosy. Pokój Litvinasa znajdował się na piętrze, na samym końcu wschodniego korytarza. Jego sąsiadem był dawny przywódca skrajnej partii prawicowej. Zabił żonę sekatorem, a następnie próbował ją spalić w otwartym kominku. Siedział już piętnaście lat i ani razu nie wydał z siebie choćby słowa. To też było idealne: jedyne dźwięki, jakie docierały do Litvinasa, przedostawały się przez podłogę, z kuchni albo z jadalni. W pojedynczych przypadkach pełen wzburzenia krzyk innego pensjonariusza, kiedy jakaś substancja będąca składnikiem przyjmowanych przez niego medykamentów nie zadziałała jak trzeba albo jakaś synapsa w czymś poplątanym mózgu nieoczekiwanie została poddana nadmiernej stymulacji. Liczba osadzonych opiewała na mniej więcej trzydziestu pięciu, większość to zabójcy takiej czy innej maści, ale ponieważ posiłki jadano o różnych porach, profesor rzadko widywał więcej niż dziesięciu spośród nich, i zwykle była to ta sama dziesiątka. Nigdy z żadnym nie rozmawiał, nie uczestniczył w gimnastyce ani w rzekomo obowiązkowych wieczorkach integracyjnych i nigdy nikt nie próbował wdać się z nim w rozmowę. Wyglądało na to, że każdy przebywa tam we własnym wszechświecie, a jedyną osobą, z którą Litvinas wymieniał myśli, był doktor Maertens.

Ale nawet te spotkania były nieczęste. W ciągu ostatniego miesiąca widzieli się co prawda cztery razy, lecz miało to związek ze zbliżającym się wypisem.

Jutrzejszym wypisem.

Właściwie dzisiaj, stwierdził, gdy podniósł wzrok i ujrzał bladą jutrzeńkę. Za niecałe cztery godziny usiądzie w biurze Maertensa jako normalny człowiek. Normalny do tego stopnia, że dwaj przyjezdni biegli będą gotowi podpisać dokument potwierdzający jego zwolnienie. Co do tego, że Maertens mógłby to zrobić sam, Litvinas nie miał najmniejszych wątpliwości, ale w obecnym położeniu wymagana była zgodna opinia trzech ekspertów. Wystarczyło, żeby jeden się sprzeciwił, a wszystko wzięłoby w łeb. Zostaliby wówczas w Majorna jeszcze co najmniej sześć miesięcy, i wtedy byłoby za późno, o wiele za późno.

Delikatna sytuacja, pomyślał profesor Litvinas. Cholernie delikatna.

Zamknął swoje dwa notesy i westchnął. Może lepiej wyciągnąć się na łóżku i trochę odpocząć. Mimo wszystko. Stawka była wysoka, wystarczyło jedno niewłaściwe sformułowanie, odrobinę za ostra odpowiedź czy ziewnięcie, aby rozsadzić cały plan.

Gdyby tak się stało, zawsze pozostawała jeszcze możliwość ucieczki, tyle że nasuwało się, rzecz jasna, pytanie, czy zdołałby taką akcją przeprowadzić. Poza tym od razu wszczęto by poszukiwania, był to więc mało pożądany scenariusz.

Za kilka lat będzie można o mnie przeczytać w podręcznikach historii na całym świecie, pomyślał profesor Litvinas i uśmiechnął się w głębi ducha. Z takiego czy innego powodu.

Gdy przyjrzał się swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze, zauważył, że ów uśmiech widać także na zewnątrz, i doszedł do wniosku, że w obecności innych powinien raczej się powstrzymywać. Od uśmiechania się.

Stwierdził także, że jego twarz wygląda chorobliwie mizernie, dlatego postanowił usunąć przynajmniej kilkudniowy szaroczarny zarost, zanim przyjdzie pora na trybunał i wyrok. Na znamię na czole nie mógł nic poradzić. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak ciemnoczerwony motyl, który przysiadł tam całkiem przypadkowo. Pamiętał, jak pan Ossowsky z domu dziecka zawsze mówił o nim, że pewnego pięknego dnia sobie odfrunie. Pan Ossowsky nie żył już od ponad trzydziestu lat, a motyl wciąż był, gdzie był, tuż nad prawą brwią. Nadawał jego

wizerunkowi cię wewnętrznego dysharmonii, zwłaszcza kiedy był nieogolony, a obłędu, który daje się wyczytać z wyglądu, nie sposób zatuszować nawet najbardziej błyskotliwą konwersacją.

Ale ja nie jestem obłąkany, pomyślał Litvinas, sięgając po maszynkę i krem do golenia. Ja tylko wyprzedzam swój czas o sto lat, i na tym polega problem.

– Witam, profesorze Litvinas. Pozwoli pan, że przedstawię moich kolegów, którzy przyjechali z daleka: doktor Falludi i dyrektor Klaase.

Doktor Maertens uśmiechnął się przyjaźnie zza swojego dużego biurka, a Litvinas podał wszystkim trzem dłoń. *Dyrektor?* – pomyślał. Czyli ten otyły ekspert w czerwonej marynarce nie ma dyplomu uniwersyteckiego? Każdy głupi mógłby nazywać się dyrektorem.

Nie skomentował tego jednak. Zasiadli w trzech fotelach stojących przed biurkiem. Falludi i Klaase obok siebie, Litvinas nieco z boku, w stosownej odległości od trybunału. Odnosił wrażenie, że jego fotel jest nieco niższy od pozostałych. Doktor Maertens niewątpliwie siedział najwyżej.

Ale tego również nie skomentował. Powiódł wzrokiem po swoich trzech sędziach, spokojnie i naturalnie, z odpowiednio odmierzoną dawką pokornego oczekiwania. Przeciągnął dłonią po świeżo ogolonych policzkach i odnotował w myślach, że całkowicie kontroluje sytuację.

– Profesorze Litvinas – zaczął Maertens, opierając łokcie na blacie biurka. – Orientuje się pan, dlaczego się tutaj dzisiaj zebraliśmy. Zajmiemy się pańskim wnioskiem o zwolnienie z naszego instytutu. Jak pan wie, przy podejmowaniu takiej decyzji wymagana jest jednomyślność, dlatego chciałbym pana prosić, aby na wszystkie pytania, które panu zadamy, odpowiedział pan jak najbardziej wyczerpująco i zgodnie z prawdą... no tak, rozmawialiśmy już o tym. Czy ma pan jakieś pytania dotyczące procedury, profesorze?

– Żadnych. – Litvinas pokręcił głową. Założył lewą nogę na prawą i oparł się wygodnie. Doktor Falludi odchrząknął.

– Spędził pan w Majorna trzy lata, profesorze Litvinas. Zgadza się?

– Zgadza – odpowiedział.

– I znalazł się pan tutaj dlatego, że został pan uznany za psychicznie niepoczytalnego?

– To również się zgadza. W ówczesnej sytuacji była to słuszna diagnoza.

– Cieszę się, że pan to przyznaje. Ale teraz jest pan... wyleczony?

– Tak.

– W jaki sposób może pan potwierdzić ten pogląd?

– A w jaki sposób pana zdaniem miałbym to potwierdzić? Rozmawialiśmy na ten temat z doktorem Maertensem i o ile zrozumiąłem, jesteśmy w tym względzie zgodni.

– Że jest pan psychicznie zdrowy?

– Tak.

Spojrzał na doktora Maertensa i chociaż ten nie odpowiedział, widać było wyraźnie, że go popiera. Przyszła kolej na dyrektora Klaasego. Miał osobliwie cienki głos, odnotował profesor, prawie jak dziecko. Albo eunuch.

– Stwierdzono u pana schizofrenię już w dwa tysiące pierwszym roku. Do tamtego czasu był pan profesorem na uniwersytecie w Aarlach. Czy to się zgadza?

– Tak.

– W czym się pan specjalizuje?

– Mam doktorat z astronomii, fizyki kwantowej i numerologii.

– Numerologii? Nie wiedziałem, że można się z tego doktoryzować...

– Jestem pierwszym i dotąd jedynym doktorem w tej dziedzinie. Ten przedmiot należy oczywiście do fakultetu matematycznego.

– Rozumiem. Co się wydarzyło w dwa tysiące pierwszym roku?

- Ma pan na myśli moje życie prywatne?
- Oczywiście. Przecież o nie tu chyba chodzi, prawda?
- Tak się wydaje.

Oszczędny, jednomyślny uśmiech. Krótka pauza.

– W dwa tysiące pierwszym roku zdarzyło się to, że moja żona została pożarta przez niedźwiedzia polarnego na Wyspie Białej w archipelagu Svalbard. Zakładam, że chodzi panu o to zdarzenie.

Równie dobrze mógłby powiedzieć, że Valetta zniknęła. Nie padła ofiarą żadnego niedźwiedzia polarnego, tylko przeszła przez dziurę w czasie. Ale zdążył się już nauczyć, jakie wyjaśnienie najłatwiej trafią do dyletantów. Widział, że dyrektor Klaase się zawahał, zanim odezwał się znowu.

- To musiał być dla pana straszny cios.
- Tak.
- I to w związku z tą tragedią ujawniła się pańska choroba.
- Jakiś czas później.
- Do dziś nie natrafiono na żaden ślad pańskiej żony...
- Nikt jej nie szukał. Ekspedycja opuściła wyspę następnego dnia.
- Jaki był cel ekspedycji?
- Byliśmy grupą naukowców reprezentujących różne dyscypliny. Dokonaliśmy szeregu pomiarów, powstało co najmniej kilkanaście raportów, do których może pan zajrzeć, jeśli tylko... Klaase uniósł rękę. Uspokajająco, przepraszająco.
- Znamy je.

Litvinas skinął głową i przełożył nogi. Prawą na lewą. Splótł ręce na kolanach. Mógłby dodać, że Valetta zniknęła dokładnie w tej samej sekundzie, w której pierwszy z dwóch samolotów wbił się w wieżę World Trade Center na nowojorskim Manhattanie, lecz to była jedna z tych rzeczy, które najrozsądniej jest zachować dla siebie. Dowodzenie przejął doktor Falludi.

– I to właśnie po tym, co się stało na Białej Wyspie, po raz pierwszy znalazł się pan w szpitalu psychiatrycznym, zgadza się?

- Tak, kilka miesięcy później.
- W klinice Wissenaar pod Oostwerdingen?
- Tak.
- I został pan stamtąd wypisany... Niech no spojrzę...
- Dwudziestego trzeciego sierpnia dwa tysiące szóstego roku.
- Czyli po pięciu latach?
- Niecałych.

Doktor Falludi zdjął swoje bezramkowe okulary, złożył je i schował do kieszeni marynarki na piersi.

- A kiedy był następny raz?
- Słucham?
- Kiedy i z jakiego powodu został pan znowu otoczony opieką?

Profesor Litvinas zaczął odczuwać lekką irytację. Do tej pory ci tak zwani eksperci pytali wyłącznie o rzeczy, które można było wyczytać w protokołach, poza tym nie miał wątpliwości, że oni i tak znają prawidłowe odpowiedzi. To przypominało odpytywanie w szkole, toteż miał ochotę im powiedzieć, że obrażają jego talent i tylko marnują jego czas. Przez chwilę nosił się z zamiarem, by spytać Falludiego, czy egzema, którą wyraźnie widział na jego szyi, poniżej prawego ucha, ma związek z jakąś chorobą płciową, uznał jednak, że w obecnych okolicznościach byłoby to kontrproduktywne. Pozwolił więc sobie tylko na przelotny, bardzo

przelotny uśmiech, i przystąpił do wyjaśniania:

– Wróciłem na uczelnię i do dwa tysiące dwunastego prowadziłem jako profesor działalność dydaktyczną. W związku z pewnym eksperymentem w lutym tamtego roku doznałem nawrotu choroby.

– W Lipsku.

– Tak, w Lipsku. W Auerbachs Keller. Jestem przekonany, że ta informacja nie jest dla panów bynajmniej nowa.

Falludi skinął głową.

– Oczywiście. Ale co właściwie usiłował pan osiągnąć?

– To nieco skomplikowane.

– Nie wątpię. Dwie osoby doznały poparzeń, a jeden pies zapłacił życiem... pudel.

Nasuwa się pytanie, jakiego rodzaju badania usprawiedliwiają taki rezultat.

W tym momencie wtrącił się doktor Maertens:

– Incydent w Lipsku jest starannie udokumentowany. Profesor Litvinas i ja poświęciliśmy sporo czasu na omówienie tego, co się stało. Zarówno na Białej Wyspie, jak i w Auerbachs Keller. Skłaniam się ku przekonaniu, że obecnie profesor dystansuje się od teorii, które doprowadziły do tamtych smutnych... błędów.

Chociaż nie było to pytanie, Litvinas skinął głową.

– Zdecydowanie. Wyliczenia okazały się błędne. Byłem w ogromnym stresie. To już nigdy się nie powtórzy.

Doktor Falludi przyglądał mu się, lekko mrużąc oczy pod krzaczastymi brwiami. Litvinas wiedział, że on mimo wszystko nie jest głupkiem. Oczywiście żaden z niego nadzwyczajny talent, ale jednak zupełnie inny kaliber niż dyrektor Klaase w swojej idiotycznej czerwonej marynarce. Doktor na przykład umiał milczeć, kiedy nie rozumiał, i tym samym pokornie przyznawał się do własnych mentalnych ograniczeń.

– A o co chodziło z tym Faustem? – spytał Klaase.

– Widzę, że zna pan tę legendę – powiedział Litvinas. – Jest pan człowiekiem czytany.

– Tylko trochę – powiedział Klaase, rumieniąc się lekko. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby mi pan wyjaśnił.

– Nie jestem pewny, czy to konieczne – wtrącił Falludi. – Nie mamy do dyspozycji całego dnia. Może lepiej niech nam pan opowie o swoich planach, profesorze Litvinas. Czym zamierza się pan zająć, jeśli zdecydujemy się pana wypisać?

Litvinas przez krótką chwilę udawał, że się namyśla.

– Jestem już w podeszłym wieku – zaczął. – Czy to wiadomo, ile człowiekowi zostało?

Chcę całkowicie poświęcić się studiom i badaniom. Dzięki spadkowi po żonie mam zapewnione bezpieczeństwo finansowe, nie będę więc dla nikogo ciężarem. Jestem z natury mało wymagający, jeśli chodzi o wygody życiowe, a jeżeli można wynieść jakąś naukę z pobytu w takim miejscu jak to, powiedziałbym chyba, że jest to pewna forma zdrowego stylu życia...

Gdybyście wiedzieli, wy cholerni kretyni, pomyślał, i już miał pokazać im zęby, ale w porę się powstrzymał. Zakaszłał tylko, żeby odwrócić ich uwagę, i rozłożył szeroko ręce, aby w ten sposób zademonstrować, jak racjonalnie i spokojnie podchodzi do przyszłości. Doktor Maertens zanotował coś na kartce leżącej przed nim na biurku, a Falludi znowu założył okulary. Dyrektor Klaase nagle wydał się znudzony. Jak rozpieszczony dwunastolatek, któremu skończyły się słodycze i który nie ma najmniejszej ochoty dłużej siedzieć na swoim miejscu.

– W każdym razie – Maertens przystąpił do podsumowania – w każdym razie obecnie nie przemawia przeciwko zwolnieniu profesora Litvinasa. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy nie odnotowałem żadnych nieprawidłowości, istnieją zatem wszelkie podstawy, by sądzić, że

profesor doskonale poradzi sobie z życiem na wolności. Jeśli podejmiemy decyzję w tym duchu, będę kontaktować się z nim osobiście najpierw raz w tygodniu, a potem raz w miesiącu. Przez pierwszy rok będziemy to traktować jako zwolnienie na próbę. Gdyby zdarzyło się coś niepokojącego, postaramy się sprowadzić go tutaj z powrotem. Czy któryś z panów ma jakieś uwagi?

Oparł się wygodnie w fotelu i powiódł wzrokiem od Klaasego do Falludiego. Klaase przygryzł dolną wargę – może dowodziło to, że ma jakieś nie do końca przemyślane wątpliwości – nie zgłosił jednak żadnych zastrzeżeń. Falludi pociągał sobie płatek ucha, tego nad egzemą.

– Nie, nie mam żadnych uwag – powiedział. – Chociaż oczywiście byłoby ze wszech miar interesujące usłyszeć, jakim to studiom profesor zamierza się poświęcić, lecz rozumiem, że nie starczyłoby nam na to czasu.

– Trafne spostrzeżenie, doktorze – potwierdził Litvinas. – Prawdopodobnie opublikuję niejeden raport z badań, jeżeli więc nadal będzie pan zainteresowany...

Nie zrobię nic takiego, pomyślał. Nigdy w życiu. Ale i tak o mnie usłyszycie, możecie być pewni.

Ponieważ doktor Falludi nie potrafił czytać w cudzych myślach, pozwolił sobie na uśmiech. Doktor Maertens wstał zza biurka.

– No dobrze. Proszę zatem, profesorze, wrócić do swojego pokoju. Jeszcze dziś po południu poproszę pana na rozmowę, ale może pan liczyć na to, że jutro po śniadaniu zostanie pan wypisany.

Profesor Litvinas wstał i bez pośpiechu opuścił biuro doktora.

Obiecana rozmowa z doktorem Maertensem trwała dziesięć minut, a kiedy profesor Litvinas wrócił po niej do siebie, wyciągnął się na łóżku na plecach i cofnął myślami do przeszłości.

Wybiegł też trochę w przyszłość, ponieważ jednak sam czas i strumień czasu stanowiły materiał wyjściowy i pole jego badań, nie stanowiło to istotnej różnicy. *Dzisiaj, wczoraj, jutro – teraz, wtedy, później*; po wydarzeniach na Białej Wyspie całą energię swojego umysłu wykorzystywał do konfrontowania się z tymi codziennymi i podstępnie złożonymi elementami. Gdy zamykał oczy, widział przed sobą Valettę, jej ciemną karnację i nieprzemijającą młodość. Widział ją jako małą dziewczynkę z warkoczykami w tamtej wsi w Transylwanii. Mogło to być pod koniec osiemnastego wieku, choć prawdopodobnie była jeszcze starsza. Jej dusza wcielała się w różne postaci, ale w ciągu piętnastu lat, kiedy byli małżeństwem, żadne z nich nie zdołało cofnąć się głębiej w czasie. Nawet podczas seansów w Londynie odbywających się pod kierunkiem Mordecaia Bluuma. Wszyscy troje byli zawiedzeni. Nie odnieśli też sukcesu, jeśli chodzi o Georga.

Po jej zniknięciu w Arktyce nie słyszał już o niej, co nie musiało nic znaczyć. W tamten przekłęty wieczór w Auerbachs Keller mogłoby dojść do przełomu – był tego pewien – lecz w wyniku indolencji i samouwielbienia swoich pomocników nic z tego nie wyszło. Ani Max, ani Maurice nie pojęli, jak ważne jest absolutne posłuszeństwo, i teraz, ponad trzy lata później, w ostatni wieczór pobytu w zakładzie psychiatrycznym Majoren w Maardam, zdał sobie sprawę, co powinno być dla niego priorytetem.

Znalezienie właściwego pomocnika.

Tym razem jednego, nie dwóch. Zresztą utrzymywanie w hipnozie kilku osób jednocześnie w ogóle mu nie odpowiadało. Na Białej Wyspie był sam, co okazało się zdecydowanie błędnym posunięciem, które próbował potem naprawić w Lipsku. Tam z kolei zaangażował zbyt wiele osób i niedostatecznie je prześwietlił. Przed trzecią próbą wszystkie mankamenty muszą zostać usunięte. Nie otrzyma bowiem kolejnej szansy na sukces. W każdym razie nie w jego obecnej postaci, co do tego był przekonany.

I żadnego parszywego pudła.

W paszporcie i metryce urodzenia Anatolisa Litvinasa było napisane, że urodził się w 1946 roku w Salonikach, on jednak nic a nic z tego miasta nie pamiętał. Jego najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły domu dziecka w Pradze, gdzie został wysłany przez swoich rodziców rewolucjonistów, którzy chcieli mu w ten sposób zapewnić solidne wychowanie w duchu marksistowsko-leninowskim. Uciekł stamtąd w dniu dwunastych urodzin, już wtedy świadom, co jest jego prawdziwym powołaniem. Kręte ścieżki zaprowadziły go w końcu do Jeny, gdzie w wieku siedemnastu lat zapisał się na wydział filozoficzny tamtejszego uniwersytetu. Cztery lata później na podstawie dysertacji porównawczej o Fregem, Russellu i Wittgensteinie otrzymał tytuł doktora i jako dwudziestodwulatek został zatrudniony na uniwersytecie w Lejdzie. Po upływie kolejnych pięciu lat napisał dwie nowe dysertacje i w błyskawicznym tempie uzyskał tytuł profesora logiki numerycznej na uniwersytecie w Aarlach, przejmując katedrę po kontrowersyjnym Anselmie Friedrichu Backenhauerze, który zmarł w wyniku zawału doznanego podczas wygłaszania wykładu. Niewykluczone, że zawał został wywołany pewnym eksperymentem, ale co do tego zdania były podzielone.

I właśnie kiedy pracował w Aarlach, poznał Valettę Pates. Najpierw była młodą studentką, potem asystentką w instytucie, niebawem została jego kochanką, a w 1980 roku żoną.

Kilka lat później urodziła mu syna Georga, który jednak tuż przed czwartymi urodzinami zmarł na szkarlatynę. To był dotkliwy cios. Nie mieli więcej dzieci i nawet o nie się nie starali.

Jedno jedyne życie czy nieprzerwana egzystencja – oto jest pytanie, pomyślał Litvinas, odnotowując jednocześnie, że już zmierzcha. Jedyna sensowna odpowiedź brzmiała: i jedno, i drugie. Niedługo rozlegnie się dzwonek na posiłek, na jego ostatnią kolację w Zakładzie dla Psychiczenie Chorych Płci Męskiej (jak nazywała się kiedyś ta instytucja, o czym świadczył wciąż widniejący nad wejściem złożony gotyckimi literami napis). Każdą egzystencję da się podsumować na wiele różnych sposobów, a każdy z nich jest całkowicie przypadkowy. O wiele łatwiej jest, gdy ktoś ma na koncie jakieś niezwykle osiągnięcie – niepowtarzalne, wybitne. Coś, co raz na zawsze uwieczni jego nazwisko w podręcznikach historii, niezależnie od tego, czy ich redaktorzy będą tego chcieć, czy nie.

Tak będzie w moim przypadku, stwierdził, pod moim obecnym nazwiskiem. Byle tylko udało mi się dotrzeć pod ten adres w Berlinie i byle tamto mieszkanie nadal nie było wynajęte.

Ale właściwie dlaczego miałyby być wynajęte? Nikt go nie zajmował przez ostatnich osiemnaście miesięcy, to już sprawdził. Istniały ku temu określone powody: ludzie są przesądni, nie chcą mieszkać tam, gdzie niedawno kogoś zamordowano. Może także właściciel nie miał wielkiej ochoty szukać nowego lokatora, ale jeżeli szanowany profesor zaoferuje zaliczkę za sześć miesięcy z góry, i to znacznie większą, niż żądano, raczej powinni dojść do porozumienia. Zauważył, że gdy myśli o tej świetlanej przyszłości – o słodkich, wypełnionych tęsknotą dniach przygotowań poprzedzających chwilę triumfu – napinają mu się mięśnie policzków, i zdał sobie sprawę, że na jego usta z powrotem wkrada się uśmiech. To był ten wyraz twarzy, który wołał trzymać w szachu. Nie musiał patrzeć w lustro, by wiedzieć, że przypomina inny uśmiech. Jeśli nie diaboliczny, to przynajmniej mefistofeliczny.

Mój optymizm ma jednak solidne podstawy, pomyślał profesor Litvinas i w tym samym momencie rzeczywiście rozległ się dzwonek wzywający na posiłek.

Jutro wieczorem będę jadł na Schönebergu.

I mam dość czasu, aby znaleźć sobie pomocnika.

Prolog 3

Beate Bittner urodziła się we wczesne wigilijne popołudnie 1979 roku w małej wiosce Scharfhagen między Rendsburgiem a Kilonią, w północno-zachodnich Niemczech. Od rana do wieczora padał wtedy śnieg.

Była szósta i ostatnia z gromadki rodzeństwa. Miała samych braci: jeden był silniejszy, większy i zaradniejszy życiowo od drugiego. Nosili takie imiona, jak Detlef, Wilfred i Optimus, a kiedy mała Beate przybyła z mamą Veroną prosto z izby porodowej, wszyscy stali szpalerem w pomalowanym na zielono domu przy Pretzlinger Straße. Z zaczesanymi na mokro włosami, odświętnie ubrani i pod okiem ojca, Arnolda, który był pastorem w prezbiteriańskiej odnodze Kościoła Czystego Życia. Gdy tylko usłyszał, że drzwi wejściowe się otwierają, natychmiast zaintonował: „Witaj na świecie, nasz mały kwiatuśku”, skomponowaną w okresie międzywojennym przez jego poprzednika pieśń, która od tamtej pory należała do ulubionych pieśni członków zboru, chociaż nigdy nie została włączona do żadnego oficjalnego śpiewnika. W obszernym przedpokoju zielonego domu została odśpiewana na co najmniej trzy głosy, mama i córka uderzyły w płacz na dwa głosy i wszystko w tej najlepszej z rodzin było pięknie.

Potem zrobiło się gorzej. Być może nie bez powodu: najmłodszy ze starszych braci Beate miał na imię Klaus i gdy ona przyszła na świat, on skończył już osiem lat – trudno zatem nie zauważyć zięjącej w tym miejscu luki. Mama Verona dobiegała pięćdziesiątki i kiedy lekarz domowy doktor doktor Franziskus Oliver Siegbaum-zum-Tod-und-Frieden stwierdził, że to dosyć późny wiek na rodzenie dziecka, może należało uznać tę opinię za jedno z wielu możliwych wyjaśnień, dlaczego dziewczynka nie rozwijała się równie dobrze jak jej bracia.

Była po prostu chorowita. W ciągu pierwszych miesięcy bywało z nią tak marnie, że cały zbór modlił się w jej intencji i rano, i wieczorem. Może poszybuje z powrotem do nieba, nim zdąży znaleźć sobie miejsce w gniazdku Bittnerów? Może to jedynie anioł, który wpadł z przelotną wizytą?

Nie było jednak aż tak źle. Wprawdzie mała Beate jadła bardzo kiepsko i prawie nic jej nie przybywało ani na długość, ani na szerokość, mimo to żyła. Choć drobna i cherlawka, nie była ciężarem, ponieważ nigdy się nie skarżyła. Może dlatego, że nawet na to nie starczało jej sił.

Początkowo mówiono, że właśnie tego jej brakuje: sił, sił życiowych. Ale z czasem stało się jasne, że nie tylko w jej powłóce cielesnej są braki i niedoskonałości: coś było nie tak również z jej duszą. Niepokój, swoisty lęk i trwożliwość zupełnie nie przypominały zdrowej psychiki jej braci. Beate często płakała, co prawda cichutko i potulnie, w żaden sposób nie próbując niczego na nikim wymóc, ale jednak. W nocy źle spała, a moczyć łóżko przestała dopiero, kiedy skończyła pięć lat.

Nie aż tak, żeby co rano trzeba było zmieniać prześcieradło, ale mimo wszystko.

Ale mimo wszystko, ale mimo wszystko. Brak jej prawdziwej siły, pod każdym względem. Nasza Beate jest naszym małym nieszczęściem, powiedział tata Arnold któregoś wieczoru, kiedy coś rozlało się na stole w kuchni, i chociaż ona mogła mieć wtedy najwyżej trzy latka albo trzy i pół, słowa te utkwily na zawsze w jej pełnej niepokoju głowce.

Jestem nieszczęściem, powtarzała sobie w myśli, leżąc przed zaśnieciem w łóżku w swoim pokoiku na poddaszu. Nieszczęściem, po prostu nieszczęściem.

Musisz modlić się do Pana Boga, żeby w twoich nóżkach było więcej siły, upominał ją tata Arnold. Nie od czasu do czasu, tylko każdego dnia, rano i wieczorem. Twój wszechmogący ojciec w niebie jest bardzo zajęty, ale jeśli tylko będziesz sumiennie odmawiać modlitwy i będziesz grzeczną dziewczynką, na pewno sprawi, że staniesz się tak silna i dzielna jak twoi

bracia.

No więc się modliła. Rano i wieczorem, czasami także w ciągu dnia, jednak niewiele to dało. Dobry Bóg chyba nie wysłuchał Beate Bittner. Jej krzywe nogi wcale się nie wyprostowały, a choroby nawiedzały ją jedna za drugą nieprzerwanym strumieniem. Różyczka, odra, ospa. Przeziębienia i zapalenia ucha, które nigdy nie mijały do końca. W zgięciach łokci i kolan tworzyły się egzemy i była chudsza niż Zbawiciel na krzyżu. Kiedy miała koklusz, pastor musiał przenieść się do drewnutni, żeby móc przygotować kazanie, bo tak dudniła.

Innymi słowy: nieszczęście.

Nowy doktor, następca doktora doktora Siegbauma-zum-Tot-und-Frieden, który na łeb na szyję uciekł do Berlina, gdy jego żona zdradziła go z innym, nazywał się Josef Puttermanns i miał rudą, niemal czerwoną brodę. Tata Arnold powiedział, że bynajmniej nie tylko to jest u niego czerwone, cokolwiek miało to znaczyć, i chociaż pan Puttermanns przychodził do nich od czasu do czasu z wizytą domową, nigdy nie był mile widziany. W przeciwieństwie do dawnego doktora.

Ale i tak nie miało to większego znaczenia. Jeżeli WOWN (Wszechmogący Ojciec w Niebie, prywatny skrót starszego brata, Detlefa, który kiedyś zdradził go swojej młodszej siostrze) nie jest w stanie czegoś naprawić, nie ma co oczekiwać, że doktor Puttermanns coś zaradzi. Tam, gdzie nasze modlitwy trafiają na mur, tam daremne są również nasze ziemskie starania.

Wiele było rzeczy, których Beate nie rozumiała. A tego, czego nie rozumiała, często trochę się bała. Nie rozumiała Doktora Czerwonobrodego, nie zawsze rozumiała tatę Arnolda i mówiąc szczerze, nie rozumiała też WOWN. Tego, który panował wszędzie, który kochał wszystkich ludzi na ziemi, również członków zboru Czyste Życie, a w szczególności dzieci.

Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, powiedział, bo do takich należy Królestwo Boże. A może to słowa jego rodzonego syna, tego z krzyża, INRI.

Ale może ani WOWN, ani INRI nie kochali małych nieszczęść tak bardzo, jak kochali inne dzieci. Takie, które umiały skakać, biegać i kopać piłkę albo pustą puszkę tak wysoko, że wielkim łukiem przelatywała nad żywopłotem z ligustru i lądowała w basenie państwa Pöltzerów. Na przykład.

Tak, może tak się sprawy miały, i może wcale nie było warto splatać co wieczór swoich szorstkich dłoni tak mocno, że aż bieleły palce.

Ale trochę było strach. Strach przed tym, czego nie można zobaczyć i w co nie do końca się wierzy, a co mimo wszystko trzeba uważać za prawdziwe.

Istniał jednak ktoś, kogo się nie bała, może nawet takich osób było więcej, ale najmniej strachu wzbudzał w niej dziadek Eugen, ojciec mamy.

Był wysoki, trochę pochylony i stary, i kiedyś był mężem babci Beatrice. Twierdził, że miał za żonę najwspanialszą, najbardziej utalentowaną i najpiękniejszą kobietę na świecie, tyle że Beate nigdy jej nie poznała, bo babcia umarła na długo przedtem, zanim ona się urodziła. Tak czy inaczej za każdym razem gdy dziadek Eugen przyjeżdżał z wizytą do Scharfhagen, siadał z Beate gdzieś na uboczu i oboje opowiadali sobie nawzajem historie albo czytali na głos książki. Najczęściej to dziadek czytał lub opowiadał. Znał wszystkie opowieści, jakie tylko istnieją, a gdyby Beate mogła mieć jedno życzenie – nie trzy, jak w bajkach, to za dużo – pragnęłaby, aby każdego wieczoru, gdy zasypia, obok niej leżał dziadek i opowiadał jej coś na dobranoc. O przygodach albo o strasznych rzeczach, które się dobrze kończyły, albo o życiu na siedmiu oceanach. Miał taki szczególny głos, który jakby się wwiercał w ciało, kiedy się go słuchało: odrobinę ochryple, odrobinę ciepły i odrobinę ponury. Nie, on się nie wwiercał, tylko z a k r a d a ł. Ostrożnie i sprytnie jak sowa, która wiosną buduje sobie gniazdo. Czasami kiedy Beate modliła się do WOWN, próbowała mu wyjaśnić, że jej dziadek naprawdę nie ma żadnych wad i że jeśli na ziemi będzie w końcu wojna i wyginą wszyscy oprócz dwojga ludzi, to ona i dziadek byliby odpowiednią parą ocalonych. Tak, wyjątkowo odpowiednią.

Wada dziadka – którą właściwie trudno uznać za wadę – była dwojaka: po pierwsze był artystą, po drugie pił wódkę. Albo przynajmniej piwo i wino, ale jej tata Arnold z lubością oświadczał, że w oczach Sprawiedliwego to jedno i to samo. Alkohol to chytry wymysł diabła i zguba człowieka i jeśli istniało coś, o czym w prezbiteriańskiej odnodze Czystego Życia mówiono bez ogródek, to właśnie o tym.

Zarabianie na życie malowaniem obrazów olejnych nie było wiele lepsze, zwłaszcza że na malowidłach, które dziadek pacykował i sprzedawał, nierzadko widać było skąpo odziane lub wręcz nagie kobiety – jedno z drugim sprawiało, że kontakty małej Beate Bittner z Eugenem Bonifatusem Natalem, jak brzmiało pełne nazwisko dziadka, musiano ograniczyć do minimum. Na dodatek dziadek mieszkał na prowincji, nad morzem, pod Krusendorfem, dokąd jechało się co najmniej półtorej godziny autobusem i niemal tak samo długo samochodem, w każdym razie jeśli był nim stary rozklekotany citroen, który już sto lat wcześniej powinien trafić na złomowisko.

Auto dziadka było polakierowane na żółto, jak banan, i nazywało się Josephine Baker, ale ta nazwa stanowiła tajemnicę znaną tylko jemu i Beate. Nie wolno jej było nikomu o niej wspominać, a w żadnym wypadku tacie Arnoldowi, i Beate nigdy tego nie zrobiła. Miewali z dziadkiem jeszcze inne wspólne tajemnice, a ona ani razu nie pisnęła ani słówka komukolwiek.

Zwłaszcza tacie, pastorowi. I na wszelki wypadek WOWN też nie.

Twój tata jest, jaki jest, powiedział kiedyś dziadek między dwoma opowiadaniem, kiedy leżeli razem na jej łóżku. I nic na to nie poradzą ani ludzie, ani Bóg. Jak się jest pokretnym kaznodzieją w kościele debili, to nie ma zmiłuj.

Beate nie do końca rozumiała, co to znaczy, ale jednak rozumiała. Z dziadkiem często tak bywało: nierzadko mówił rzeczy, które, kiedy się o nich myślało, wydawały się dziwne, ale gdy się nad nimi nie zastanawiało, wtedy one jakby wchodziły prosto do głowy i w niej zostawały. Albo do serca.

Naprawdę uważam, że jesteś małą niebieską dziewczynką, mówił na przykład, głaszcząc się w zadumie po brodzie. Twoja mama i twój tata to dobrana para, widelec i kasek na nim. Umiesz mi powiedzieć, kto jest widelcem?

Tata oczywiście.

Z czegoś takiego śmiali się długo i serdecznie. Dziadek głębokim, trochę dudniącym śmiechem, Beate – swoim jasnym, skrzącym.

Kiedy skończyła pięć lat, w samą Wigilię, jak każdego roku, dostała od dziadka Eugena obraz. Przedstawiał żółtego konia, który leciał nad jeziorem. Był piękny letni dzień i na brzegach roilo się od ludzi i zwierząt: mały, tygrysów, słoni, żółwi, żyraf. Znajdował się tam też wielbłąd w butach na wysokich obcasach i jednorożec grający w kometkę z dziewczynką do złudzenia przypominającą ją samą. Uwielbiała ten obraz od pierwszej sekundy, gdy go zobaczyła, i mimo że nie wydawał się może najbardziej odpowiedni, pozwolono, by powiesiła go sobie nad łóżkiem.

To jest twoja babcia, wyjaśnił dziadek, wskazując palcem na nagą kobietę siedzącą na huśtawce w wianku ze świeżych kwiatów na głowie, w lewym dolnym rogu malowidła. Dokładnie tak samo wyglądała, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Nic dziwnego, że człowiek się zakochał.

– Czy ona naprawdę nie była w nic ubrana? – zacięła się Beate.

– Naturalnie, że nie – zapewnił dziadek. – A jeśli nawet miała na sobie jakieś fatałaszki, to niewiele trzeba było, żeby znowu była naga.

Beate pokiwała głową i pomyślała, że ona też kiedyś chciałaby być taka piękna, mieć bujne rude włosy i duży biust, lecz kiedy obmacała swoją głowę i cherlawe ciało, zrozumiała, że nigdy taka nie będzie.

Dziadek oczywiście od razu wiedział, co sobie pomyślała, i rzekł:

– Musisz wiedzieć jedno, skarbenku, liczy się wewnątrz, a nie to, jak się wygląda. Twoja babcia była jeszcze piękniejsza od środka, i ty też taka jesteś.

– A mama? – zapytała Beate.

– No cóż – odparł dziadek, westchnąwszy. – Verona była tak samo słodkim dzieckiem jak ty, ale wydaje mi się, że gdzieś ukryła swoje światełko.

– Swoje światełko?

– No tak, ale może to i dobrze. Od kiedy zadała się z twoim ojcem, cały czas leży odłogiem.

Beate nie wiedziała, co znaczy leżeć odłogiem, ale nie dopytywała. To była właśnie taka rzecz, którą nie rozumiejąc, rozumiała.

Niewątpliwie brzmiało to trochę smutno. To o mamie, która wydała na świat sześcioro dzieci, chociaż tak naprawdę cały czas leżała odłogiem.

Latający koń wisiał nad łóżkiem Beate przez trzy lata. Potem się spalił.

Oczywiście spalił się nie tylko obraz, ale cały zielony dom przy Pretzlinger StraÙe w Scharfhagen. Ogieñ wybuchł wczesnym rankiem w Nowy Rok, i to z winy Beate. Chocia¿ nie powinna była tego robić, zostawiła na małym stoleczku przy swoim łó¿ku palącą się ðwieczkã. We ðnie prawdopodobnie niechcący ją potraçała, ðwieczka spadła na podłogã, ale nie zgasła, i wkrótce płomieñ objął wiszące w oknie cienkie firanki.

W ka¿dym razie strażacy twierdzili, że włañnie tak musiało dojść do po¿aru. Znale¿li się na miejscu pół godziny po tym, jak sąsiadka, pani Pölzer, zaalarmowała ich, że się pali, ale było za pó¿no. Ogieñ rozprzestrzenił się ju¿ zbyt szybko i niczego nie dało się uratować. Zielony dom spalił się do fundamentów, na szczęście wszyscy, którzy się w nim znajdowali, zdą¿yli uciec. Beate musiała wszak¿e skoczyć z okna i wylądować na strażackiej płachcie. Nie ze swojego pokoju, gdzie wybuchł ogieñ, tylko z drugiego pokoiku na poddaszu, w przeciwnym kierunku, dokąd doczołgała się z płucami wypełnionymi dymem i sercem zdjętym paniką.

Gdy zaczęło się palić, w domu le¿ało i spało dwanaście żywych istot, w tym czteromiesieczny Hans-Nepumuk i jamnik o imieniu Fimbul. Poprzedniego dnia był sylwester i z tej okazji cała rodzina zebrała się na odñwiętej kolacji. Tata i mama, całe rodzeństwo oraz dwie żony braci, które miały na imię Rosemarie i Ilona, a kiedy Beate wylądowała na płachcie strażackiej, wszyscy stali na ulicy i płakali, oprócz Hansa-Nepumuka, który wisiał w swoim nosidełku i spał, a tak¿e Fimbula, który ganiał po okolicy za dziką ðwinią, zwabiony fałszywym zapachem spalonych resztek ðwiątecznej szynki.

Zanim nastał ðwit pierwszego dnia nowego roku, cała dwunastka znalazła zakwaterowanie w du¿ej sali Koñcioła Czyste Źycie, zaopatrzona w ciepłą ðłodzoną herbatã, kanapki, materace, modlitwy, czekoladã i ðpiwory, które miłosierni i wstrząññci członkowie zboru naznosili w ciągu kilku godzin. Nie szczędzono sympatii i troski ludziom, którzy włañnie stracili wszystko, co posiadali, i niemal całą nadzieję. Wyroki Pana są jak zawsze niezbadane.

Beate załowała, że w koñcielnej sali nie było z nimi te¿ dziadka, ale on ðwiętował Nowy Rok ze swoimi przyjaciółmi i kolegami w Krusendorfie. Na szczęście znalazła pocieszenie u jednej ze szwagierek, u Ilony, tata Arnold bowiem miał najsurowszą minę, jaką kiedykolwiek u niego widziała. Najwyraźniej usłyszał ju¿, jak doszło do po¿aru, i chyba wiedział to te¿ mę¿czyzna, który przydźwigał całą stertę szarych i trochę cuchnących koców i powiedział:

– Nie¿le jak na dzieciaka, który ledwie mo¿e się ruszać – puñcić z dymem du¿y dom i o mały włos nie spalić całej rodziny.

Prawdopodobnie wcale nie chciał, by Beate usłyszała jego słowa, ale je¿eli istniała jakañ rzecz, a włañciwie dwie, które działały u niej bez zarzutu, były nimi uszy.

Przez ponad tydzieñ mieszkali w ðpiworach w koñciele. Z wyjątkiem braci Detlefa i Wilfreda, którzy zabrali swoje żony, niemowlę i jamnika i wrócili do swoich niespalonych domów do Bremerhaven, względnie do Oldenburga. Ale cała reszta została. Tata Arnold, mama Verona, trzech bracia i małe nieszczęście.

Beate tak naprawdã nie miała nic przeciwko temu, żeby koczować w ten sposób w koñciele. Wręcz przeciwnie – całkiem ciekawie było przygotowywać jedzenie w ciasnej kuchennej niszy, wpisywać się na listę kolejkową do łazienki, a wieczorem wñlizgiwać do zielonego ðpiwora, który pachniał lasem i trochę grzybami. A potem ułożyć się wygodnie i patrzeć na słabo oñwietlone malowidło ołtarzowe przedstawiające małego Jezuska w stajence, Józefa i Marię Pannę oraz Trzech Króli. Oczywiście obraz ten nie był tak piękny jak latający koń

dziadka, ale był w porządku.

Mimo to całkiem dobrze, rzecz jasna, nie było. Ani tata Arnold, ani mama Verona z nią nie rozmawiali, jakby się umówili, a czasami słyszała w nocy, jak mama płacze w swoim śpiworze. Tata, pastor, często wychodził w różnych sprawach służbowych, lecz kiedy przebywał z rodziną, zawsze wyglądał tak, jakby na jego barkach spoczywały problemy całego świata. Ostatecznie można było to doskonale zrozumieć, bo jego małe nieszczęście postarało się o to, żeby wszystko, co posiadali i cenili, poszło z dymem, i niewiele pomagało to, że ofiarni członkowie zboru dzień w dzień znosili zarówno ubrania, jak i inny dobytek. Naturalnie mieli dobre intencje, ale to nie to samo co rzeczy własne. Porcelana była wyszczerbiona, buty za duże albo za małe, a mama Verona, kiedy ubrała się w jeden ze znoszonych płaszczy wyjęty z pół tony innych ubrań, których cała góra leżała na stole w kościelnym przedsionku, wyglądała na dwadzieścia lat starszą. Także Beate brakowało niektórych własnych rzeczy, ale najbardziej obrazu dziadka, a kiedy wreszcie dziadek we własnej osobie odwiedził ich po trzech czy czterech dniach, usiadła mu na kolanach i spytała nieśmiało, czy nie miałby nic przeciwko temu, żeby na następne urodziny namalować dla niej nowy obraz. Najlepiej identyczny albo chociaż podobny i tak samo duży.

Przecież nie musisz czekać na nowy obraz cały rok, moja sikoreczko, odpowiedział dziadek i obiecał, że zabierze się do pracy nad nowym dziełem tego samego kalibru, jak tylko wróci do swojej domowej pracowni w Krusendorfie.

Kilka dni po zakończeniu szkolnych ferii zimowych rodzina Bittnerów otrzymała mieszkanie tymczasowe. Ich stary dom miał zostać odbudowany w dawnym miejscu, przynajmniej tak postanowiono, ponieważ jednak do czasu jego wykończenia mógł upłynąć rok albo więcej, potrzebne im było lokum zastępcze.

Trzypokojowe mieszkanie znajdowało się przy Rødeberger Allé nad kanałem i chociaż nikt z Bittnerów nie był specjalnie gruby ani nie potrzebował wiele miejsca, okazało się dla nich zbyt małe. W jednym pokoju mama i tata zrobili sobie sypialnię oczywiście. Optimus i Klaus zajęli drugi, a Günther, najstarszy pozostający jeszcze w domu syn, który prawdopodobnie już niedługo zechce się wyprowadzić, na razie musiał sypiać w dużym pokoju na kanapie. Mebel ten miał ponad sto lat na karku i był darem od wiernej duszyczki i służebnicy zboru, dawnej urzędniczki pocztowej Adele Klinsmann, znanej nie tylko z ogromnej pobożności, ale także z tego, że była opiekunką wszystkich kotów. I pewnie dlatego kanapa trąciła tym, czym trąciła, ale tata Arnold oznajmił Güntherowi i wszystkim innym, że od odrobiny kocich sików żaden bogobojny człowiek jeszcze nie umarł. A w sytuacjach takich jak ta dobrze jest pamiętać o losie Hioba.

Pozostawało pytanie, gdzie ma spać małe nieszczęście, lecz zanim zdążyło stać się pytaniem, zjawił się dziadek Eugen i oświadczył, że Beate powinna niezwłocznie przenieść się do niego, do Krusendorfu. Nie na zawsze, rzecz jasna, tylko dopóki nie powstanie i nie zostanie wykończony nowy dom. Swoją drogą jemu w jesieni życia też przydałoby się jakieś miłe towarzystwo, a o ile jest w stanie ocenić, on i Beate zawsze dobrze się rozumieli. Ale jest to oczywiście taka sprawa, co do której ona sama musi zdecydować.

Dla Beate nie była to ani trochę trudna decyzja i w końcu nawet mama Verona i tata Arnold zgodzili się na takie wyjście. Lepszego rozwiązania kwestii trudnych warunków mieszkaniowych nie znaleziono, toteż tydzień później Beate wyprowadziła się do starego, chylącego się drewnianego domu nad morzem. I jednocześnie przeniosła się do nowej klasy starej szkoły podstawowej w Schwedenecks. Ten ceglany budynek z mchem i krukami na dachu stał nie więcej niż dwieście metrów od domu dziadka i pilnie potrzebował nowych dzieci, ponieważ tamtejsza okolica należała do tak zwanych rzadko zaludnionych. W ciągu ostatnich

trzydziestu lat istnienie szkoły co rusz było zagrożone, chociaż od czasu jej otwarcia minęły już niemal dwa wieki.

Łóżko Beate u dziadka było duże, pomalowane na niebiesko i stało w rogu obszernego pokoju dziennego, w którym znajdowały się także pianino, spora liczba foteli i stołów, fotel bujany, palma, wypchana papuga, połowa skrzydła samolotowego z laminowanego dębu oraz dwadzieścia pięć obrazów olejnych różnej wielkości. Trzy noce na cztery Beate spędzała w swoim łóżku w towarzystwie Geraldine Patel, kudłatego psa rasy mieszanej, którego dziadek pewnego dnia wiele lat wcześniej znalazł półżywego w swoim ogródku i od tamtej pory się nim opiekował. Geraldine Patel wbrew temu, co sugerowało jej imię, nie była suką, i nikt nie wiedział, gdzie spędza co czwartą noc. Dziadek twierdził, że to są rzeczy, których nie trzeba wiedzieć. Patel zjawiał się zawsze punktualnie na śniadanie, a każdy ma prawo do swoich tajemnic, nawet psy.

– A skąd wiesz, że on się nazywa Geraldine Patel? – spytała Beate.

– Powiedział mi w jeden z pierwszych wieczorów – wyjaśnił dziadek. – Ale od tamtej pory już się niestety nie odezwał.

– Szkoda – przyznała Beate.

– Ja też tak uważam – potwierdził dziadek. – Minęło już dobre pięć lat, ale usłyszałem to wtedy bardzo wyraźnie: À propos, nazywam się Geraldine Patel. Tak powiedział. Leżał wtedy przy kominku, a ja siedziałem jak teraz na bujanym fotelu i popijałem koniak, żeby pozbyć się przeziębienia. Uniósł trochę głowę, kiedy to mówił, potem ziewnął i zasnął. Tak to było.

– Coś takiego – bąknęła Beate Bittner.

To była rzeczywiście wielka radość mieć w nocy w łóżku psa. Beate postanowiła, że kiedy będzie już na tyle duża, żeby zamieszkać we własnym domu, w pierwszej kolejności sprawi sobie czworonoga.

Ciepłego psa rasy mieszanej.

Także wiele innych rzeczy u dziadka w Krusendorfie sprawiało jej radość. Na przykład krzątanie się po kuchni. U rodziców w Scharfhausen nigdy w żaden sposób nie uczestniczyła w przygotowywaniu jedzenia: wszystko robiła mama, od gotowania najmniejszego jajka na twardo po przyrządzanie najbardziej skomplikowanych eintopfów z sześćdziesięciu czterech składników i z dodatkiem szczypty błogosławieństwa. Dziadek Eugen prowadził gospodarstwo w zupełnie innym stylu. U niego jadało się kielbasę z dodatkami: *bratwurst*, *currywurst* albo *bockwurst*. Na dodatki składały się sałatka kartoflana, kiszona kapusta lub makaron. Musztarda i keczup oczywiście, mogło też być kilka niedużych ogórków kiszonych i ewentualnie sałatka z pomidorów i cebuli. W soboty smażyło się naleśniki. Do nich były bita śmietana i dżem, maliny albo truskawki.

I zawsze byli razem, bo dziadek powtarzał, że ma dość gotowania w pojedynkę, jak robi to już przez piętnaście lat, od kiedy umarła babcia. A skoro w domu znowu pojawiła się baba, co prawda całkiem mała, jaki sens miałyby robienie różnych rzeczy w towarzystwie jedynie własnej puszczającej bąki osoby?

W dni powszednie zabierali się do pichcenia zaraz po powrocie Beate z lekcji, a kiedy stali razem przy kuchence, opowiadali sobie różne historie. Zwykle najpierw mówiła ona: opowiadała o tym, co się wydarzyło w szkole, jak kretyńska była kretyńska nauczycielka, panna Knacknagel, co znowu zmalowały bliźniaki Grünbaum, jeden albo drugi, albo oba razem, ile nowych liczb przerobiła i jak wygląda nowa mapa Niemiec. Dziadek komentował i wyrażał swoje zdanie, a potem chętnie opowiadał jakąś historię z własnego życia. O miejscach, w które jeździł z babcią, o obrazach, które namalował i sprzedał za niebotyczne pieniądze albo

zdecydowanie za tanio, i o tym, jak cudaczeni mogą być artyści, kiedy golną sobie za dużo wina. Szczególnie chętnie opowiadał o pejzażach Prowansji, we Francji, bo tam on i babcia spędzili większą część swej młodości.

Ach, Prowansja, wzdychał zwykle, a jego spojrzenie robiło się melancholijne. Beate zrozumiała, że to musi być magiczna kraina, i pomyślała, że kiedyś musi się tam wybrać i zobaczyć na własne oczy.

Potem jedli, następnie ona odrabiała lekcje, a dziadek ucinał sobie poobiednią drzemkę albo chwilę malował. Po wieczornej herbacie wszyscy troje, dziadek, Beate i Geraldine Patel, wpychali się do niebieskiego łóżka i dziadek czytał na głos jakąś książkę.

Co wieczór. Kiedy Beate już później wróciła myślami do tamtego czasu, uzmysłowiła sobie, że w ciągu czterystu dziesięciu nocy, które spędziła u dziadka Eugena, tylko raz opuścili czytanie na głos.

Jeden jedyny.

Szkoła też była dobra, lepsza niż ta w Scharfhagen, uważała Beate, mimo że nigdy nie znalazła w niej takiej naprawdę bliskiej przyjaciółki. Najbliższe tej roli były siostry Trussner, które mieszkały w nowoczesnym płaskim domu stojącym dokładnie w połowie drogi między dziadkiem a szkołą. Beate była rówieśniczką Fridy, młodszej z nich, ale tak naprawdę bardziej lubiła Ute, starszą o dobry rok. Może wynikało to z tego, że Ute też była trochę chorowita. Miała coś z jedną nogą, utykała na nią odrobinę, kiedy szła, i podobnie jak Beate była zwolniona z gimnastyki. To znaczy całkiem zwolniona nie była żadna z nich, ale zamiast brać w niej udział w takim samym wymiarze jak inne dzieci, obie mogły się poświęcić mniej wyczerpującym zajęciom. Na przykład iść tam i z powrotem na spacer nad morze i sprawdzić, czy woda jest pioruńsko zimna czy tylko zimna – przy ich tempie zajmowało im to mniej więcej całą lekcję. Albo grać we dwie w kulki. Czy po prostu siedzieć w bibliotece i czytać. Jedną klasę tworzyły dwa roczniki, a lekcje gimnastyki mieli zawsze razem.

– Jak będę bogata, to pojadę do Ameryki i kupię sobie nową nogę – zwierzała się jej Ute.
– Mam tam wujka, mieszka w mieście, które nazywa się Baltimore. A potem zostanę tancerką albo artystką cyrkową.

Beate nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Ute jest trochę naiwna. Nigdy jednak nie powiedziała tego głośno, ani Ute, ani nikomu innemu. My, którzy jesteśmy trochę ułomni, powinniśmy się trzymać razem, rozumowała. My, którzy nigdy nie pokonamy poprzeczki w skoku wzwyż i którym nigdy nie uda się uciec przed rabusiem grożącym nam w ciemnym zaułku i kradnącym nam portmonetkę. My, słabi.

Beate Bittner bowiem robiła się coraz bardziej niedołączna, taka była gorzka prawda. Dwa razy pojechała z dziadkiem do Kilonii do lekarza, który przebadał ją od stóp do głów na wszelkie dostępne sposoby. Rentgen tego i rentgen tamtego, ugniatanie, prostowanie i wyginanie, analiza krwi, analiza kału, analiza moczu i Bóg wie czego jeszcze. Po drugiej wizycie dziadek oświadczył, że to wystarczy. Sztuka lekarska najwyraźniej ciągle jeszcze drepcze w miejscu, zatrzymała się w dziewiętnastym wieku, stwierdził, w związku z czym trzeba się zdać na opatrność, świeże powietrze i diabli wiedzą co jeszcze. Poza tym nie każdy człowiek musi być w stanie przebiec maraton albo przewrócić krowę.

Na letnie wakacje Beate właściwie miała wrócić do rodziny, do Scharfhagen, ale ponieważ oni nadal mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu, a Güntherowi jeszcze nie udało się wyprowadzić (a także dlatego, że nowy dom na razie był jedynie półmetrowej wysokości betonową płytą, wyglądającą żałośniej niż lodowisko do hokeja w środku lipca), postanowiono, że ona i dziadek muszą na własną rękę zagospodarować sobie lato. Świeże powietrze i tak dalej. Nawet pastor Bittner uznał, że bliskość morza może wyjść córce na zdrowie.

Wspaniale i pełna zgoda, podsumował dziadek. Pokrewne dusze bawią się najlepiej. Mogę załatwić łódź.

Ale o łodzi przy pastorze nie wspomniał.

To było najlepsze lato w życiu Beate i ostatnie lato dziadka. O czym oczywiście nie wiedzieli, gdy żeglowali po zatoce Eckernförde, gdy rozbijali namiot i rozpalali ognisko w okolicy Langholtz albo nocą opuszczali kotwicę przed laguną Aschauer. Łódka, którą dziadek wypożyczył, nie była szczególnie duża, ale łatwo dawała się sterować i starczało na niej miejsca dokładnie dla dwóch osób i jednego psa rasy mieszanej. Dziadek sporo żeglował w młodości, a poza tym nigdy nie wypływali w morze na tyle daleko, żeby stracić ląd z oczu. Dobijali do brzegu, gdzie i kiedy chcieli, w razie potrzeby zaopatrywali się w świeży prowiant i poddawali upływającym dniom.

Dziadek lubił tak mówić. Jeśli człowiek nauczy się przyjmować dni takimi, jakie są, to znaczy, że nauczył się, co w życiu najważniejsze. Wziął ze sobą, rzecz jasna, kilka płócien i pudełko z farbami. Morze można namalować z tysiąc razy i nic z niego nie zrozumieć, podkreślał kilkakrotnie, gdy Beate siedziała za jego plecami i zerknęła mu przez ramię.

Nie mówiąc już o niebie.

I nie wspominając o nadciągającej z północnego zachodu burzy.

Ale malował nie tylko morze. Namalował też dla niej nowego latającego konia, do czego z jakiegoś powodu nie zabrał się wcześniej. Koń numer dwa był czerwony i nie frunął nad jeziorem, tylko nad placem w jakimś mieście, a plac był pełen ludzi, zwierząt i różnych osobliwości. Oboje uznali, że ten obraz jest co najmniej tak dobry jak poprzedni, który poszedł z dymem.

Czasami kiedy dziadek malował, Beate siedziała w dołku na wydmie i czytała. Zwykle w towarzystwie Geraldine Patel, który powoli zaczynał się starzeć i coraz bardziej lubił leżeć i być poduszką. I właśnie w jeden z ostatnich dni lata Beate zaczęła czytać książkę, którą wypożyczyła z biblioteki w Eckernförde i do której w najbliższych latach, zwłaszcza po śmierci dziadka, miała wracać regularnie co najmniej raz w miesiącu.

Książka ta nosiła tytuł *Bracia Lwie Serce* i została napisana przez szwedzką pisarkę Astrid Lindgren.

Pierwsza oznaka pojawiła się w grudniu. Byli właśnie na zakupach w centrum handlowym w Gettorf i upychali torby z kielbaskami i innymi produktami spożywczymi w Josephine Baker, gdy dziadek Eugen stracił przytomność. Po prostu osunął się na parkingu, tuż przy aucie, na ziemię, podczas gdy Beate i Geraldine Patel stali bezradnie obok. Minęło zaledwie kilka sekund i dziadek się ocknął, wszyscy troje jednak zrozumieli, że było to coś poważniejszego, niż chciał przyznać.

A niech to diabli, hopla, powiedział, przyciskając dłoń do serca i usiłując się roześmiać. Ale według Beate brzmiało to raczej jak krakanie wrony i musiało upłynąć co najmniej pięć minut, zanim dziadek był zdolny znowu stanąć na nogi. Po powrocie do domu od razu się położył, lecz zanim zasnął, surowo zabronił wnuczce wzywać lekarza. Musiała sama zarówno ugotować, jak i zjeść, ponieważ dziadek obudził się dopiero o dziesiątej rano następnego dnia.

To właśnie wtedy nie odbyło się czytanie na głos. W wieczór po pierwszym ostrzeżeniu. Jedynym ostrzeżeniu.

W końcu jestem już, do kroćset, po osiemdziesiątce, oznajmił następnego dnia. W tym wieku człowiek ma prawo do pewnych dolegliwości. Kto czeka na właściwego, powinien siedzieć pod złotym.

Beate nie rozumiała tego zdania. Ale przez niemal całą noc nie zmrużyła oka, tylko modliła się do WOWN i INRI, żeby dziadek nie umarł. Geraldine Patel wyjątkowo spał z dziadkiem, a nie z nią, i już samo to musiało coś znaczyć. Psy rozumieją więcej, niż ludziom się wydaje.

Ale Boże Narodzenie i Nowy Rok minęły bez żadnych nowych dolegliwości. Styczeń, luty i pół marca także. Z informacji docierających z Scharfhausen wynikało, że nowy dom będzie gotowy dopiero w czerwcu. Prace wykończeniowe opóźniły się o pół roku, ale przecież takie rzeczy się zdarzają. Beate wiedziała, że drugie szkolne półrocze tak czy inaczej będzie ostatnim spędzonym u dziadka, a z każdym mijającym dniem roku, który zapisywano jako 1991, robiło się coraz smutniej. Na dodatek stan jej zdrowia, podobnie jak stan dziadka, uległ pogorszeniu. Jego męczyły suchy kaszel i ból w piersi, ją zaś coraz gorzej nosiły nogi. Czasami miała wrażenie, że ona też ma ponad osiemdziesiąt lat. Właściwie to niemal chciała, żeby naprawdę tak było. Żeby była swoją babcią zamiast sobą i spędziła z dziadkiem długie życie, a nie tylko jeden rok. W Prowansji i w innych miejscach na świecie. To było dziwne życzenie, nigdy mu o nim nie wspomniała.

A potem, siedemnastego marca, nastąpił koniec. Kiedy wróciła ze szkoły, dziadek leżał jak długi na podłodze w kuchni, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Głowę miał przekręconą na bok, a jedno oko, to skierowane do przodu, wpatrywało się martwo w ścianę. Geraldine Patel leżał obok niego i cicho skomlał, i Beate zrozumiała od razu, że tam leży śmierć. Śmierć i ciepły pies rasy mieszanej.

Miała wtedy jedenaście lat i trzy miesiące, a gdy przyklękła na podłodze przy dziadku i psie, wydało jej się, że chyba już nigdy nie będzie mogła się podnieść. Albo nie będzie chciała. No bo po co?

Po co w ogóle cokolwiek?

Ale życie wlokło się dalej. Po prostu. Dziadek został pogrzebany, mimo to Beate została w Krusendorfie aż do końca roku szkolnego w połowie czerwca.

Rozwiązano problem w ten sposób, ponieważ Günther właśnie znalazł sobie dziewczynę i rozglądał się za własnym lokum. A w oczekiwaniu na nie mógł równie dobrze przenieść się na

kilka miesięcy do domu dziadka. Nie godziło się przecież, aby chorowita jedenastolatka mieszkała samiusienka – nawet w towarzystwie psa, to chyba każdy rozumiał. Poza tym mama musiała czekać, aż jej siostra Magda, ciotka Beate, przyjedzie z Australii. Dopiero wtedy mogła skontaktować się z pośrednikiem i wystawić na sprzedaż tę rozpadającą się starą rudere.

Beate niezbyt dobrze dogadywała się z Güntherem, nigdy im się to nie udawało, ale za to lubiła jego przyjaciółkę, która miała na imię Maja i pochodziła z Ystad, ze Szwecji. Nauczyła się od niej paru słów po szwedzku, czasami czytały razem *Braci Lwie Serce* – na głos i w dwóch językach. To była ulubiona książka ich obu, a ponieważ Günther często pracował i wieczorem, i w nocy – w Kilonii w jakimś biurze adwokackim, chociaż nie mógł się pochwalić żadnym szczególnym wykształceniem – miały więc dość czasu dla siebie.

Mimo to Beate ogromnie brakowało dziadka. Co najmniej trzy razy w tygodniu brała ze sobą Geraldine Patel i szła na jego grób na cmentarz na skraju wsi. Czasami trudno jej było odciągnąć stamtąd psa. Za każdym razem wdrapywał się na mogiłę i z zamkniętymi oczami układał się na brzuchu na samym środku. Chyba rzeczywiście miał kontakt ze swym ukochanym, lecz już nieżyjącym panem.

Jeszcze nie możemy pojechać do krainy Nangijali, szeptała mu do ucha, kiedy pora była wracać do domu. Ale już niedługo, obiecuję. Dziadek potrzebuje czasu, żeby zbudować ci w niebie budę.

Geraldine Patel zwykle przyjmował to niechętnie, lecz gdy Beate spoglądała w jego zmęczone, mądre oczy, nie miała wątpliwości, że on wie, kto i co to jest Sucharek, Jonatan i Dolina Wiśni. I że właśnie dlatego nie ma ochoty zostawać w Krusendorfie dłużej, niż to konieczne.

Na świętego Jana nowy dom w Scharfhagen był gotowy i Beate opuściła Krusendorf, razem z Güntherem i Mają. Dwa dni wcześniej Geraldine Patel zniknęła. Ustalono z sąsiadem, że w razie czego on się nim zajmie, bo choć szukano go wszędzie, nigdzie nie natrafiono na jego ślad. Nawet na cmentarzu, ale Beate oczywiście wiedziała, co się z nim stało: Geraldine zjednoczył się ze swoim panem. Zdawała też sobie sprawę, że nie ma sensu próbować tego komukolwiek wyjaśniać. Może Maja by ją zrozumiała, ale na wszelki wypadek z nią też wolała nie rozmawiać o dalszych losach psa. Nie trzeba wcale ubierać w słowa wszystkiego, co dzieje się między niebem a ziemią.

Mimo że trwało lato, gdy wróciła do domu, miała duże problemy z nogami. Były słabsze niż kiedykolwiek, a nocami bolały, zwłaszcza prawa. Poza tym także reszta jej ciała wydawała się od śmierci dziadka coraz bardziej cherlawa, toteż wkrótce postanowiono, że konieczna jest ponowna wizyta w szpitalu. Co prawda ona straciła już wiarę w sztukę lekarską, a w każdym razie w to, że medycyna może doprowadzić do poprawy stanu jej zdrowia, robiła jednak dobrą minę do złej gry. Na początku sierpnia, w jeden z najgorętszych dni w roku, pojechała z mamą do nowego szpitala do Hamburga. Została tam trzy dni i poznała trzech nowych specjalistów.

Mama została razem z nią, a gdy siedziały już w pociągu i wracały do Scharfhagen, miały przynajmniej nowy raport, w którym zawarta była diagnoza.

Zespół Strumpfla–Lorraina.

Znajdowała się w nim także dosyć smutna prognoza. Jej stan nigdy się nie poprawi, ponieważ nie istnieją żadne skuteczne środki przeciw tej chorobie. Nie umiera się na nią, ale mięśnie będą coraz słabsze i słabsze, a wykrzywione stopy wykrzywią się jeszcze bardziej. Chociaż mama starała się to ukryć, w oczach miała łzy. Beate widziała je całkiem wyraźnie, lecz nie chciała jej dodatkowo martwić, mówiąc cokolwiek na ten temat. To przecież jasne, że smutno jest być mamą tak żałosnego dziecka. Chyba każdy to rozumiał.

Trzeba modlić się o cud, powiedział tamtego dnia wieczorem tata Arnold. Nie

zapominajcie, że Pan Jezus ożywił umarłych i sprawiał, że chromi odzyskiwali władzę w nogach. Musisz pilnie odmawiać pacierze i pokładać ufność we wszechmogącym ojcu.

Beate starała się, jak tylko umiała. Przedstawiła sytuację zarówno WOWN, jak i INRI, i poprosiła ich o pomoc, co raczej nie podziałało. Większą część pierwszego półrocza przeleżała w domu, w łóżku i czytała. Akurat na to specjalnie nie narzekała. Raz w tygodniu miała nową dostawę książek z miejskiej i szkolnej biblioteki, i chociaż byli tacy, którzy jej współczuli, nigdy nie użalała się nad sobą. W książkach istniał świat, do którego łatwo było się przenieść. Często mijały godziny i całe popołudnia, a ona w ogóle nie zauważała upływu czasu.

Czytała o Tomku Sawyerze i Huckleberrym Finnie.

O Czarnych Braciach.

O Wuju Tomie i Ani z Zielonego Wzgórza.

A *Braci Lwie Serce* znała już prawie na pamięć. Zdarzało się nawet, że próbowała czytać tę historię po szwedzku, bo dostała od Mai jej książkę w prezencie, gdy się rozstawały.

Nad łóżkiem miała namalowanego przez dziadka latającego konia numer dwa. Czerwonego. Wcale nie jest mi tak źle, myślała Beate Bittner. O co tym ludziom chodzi? Naprawdę. I mówiąc szczerze, już się nie boję.

Któregoś dnia na początku grudnia przed domem przy Pretzlinger StraÙe zatrzymała się biała furgonetka. Ze swojego nieco podwyższonego łóżka Beate widziała, jak gruby mężczyzna z dymiącą fajką w ustach wystawia z samochodu fotel na kółkach i jak potem razem z mamą i jej najmłodszym bratem Klausem majstruje przy nim chwilę, żeby przygotować go do użytku.

Okazało się, że fotel nazywa się Hary i że w ciągu najbliższych ośmiu lat Beate spędzi w nim większą część swego czasu na jawie.

Dzień pierwszy

Kobieta, która przez cały lot siedziała obok, na miejscu po lewej, i rozwiązywała krzyżówkę, zwróciła się do niego i powiedziała coś – prawdopodobnie po niemiecku.

– *Genau* – odpowiedział Arne i odpiął pas bezpieczeństwa, ponieważ zobaczył, że jego sąsiadka właśnie to zrobiła, i pomyślał, że pewnie chce mu zwrócić uwagę, że można się już odpiąć.

Tak czy inaczej wylądowali i samolot się zatrzymał. Wszyscy zaczęli wstawać i sięgać po bagaże ukryte w schowkach nad siedzeniami. Panowało niemałe zamieszanie. Jakaś starsza pani upuściła wypchaną po brzegi reklamówkę na głowę jakiejś młodszej pani, mężczyzna z brodą i w okularach do kogoś, kto znajdował się w tylnej części maszyny, wołał coś, co brzmiało jak *Schnaps, Schnaps, Schnaps*, a garstka niemowlaków rozsianych w różnych punktach samolotu uderzyła w płacz. Arne sprawdził w kieszeniach marynarki, czy wszystko jest na swoim miejscu. Potem wstał, zdołał przepchnąć się do przejścia i wyciągnąć ze skrytki swój nieduży plecak, żółto-czarny, z naklejką z kopenhaskiego Tivoli, którą ciocia Polly bezskutecznie usiłowała zeszkrobać.

Po prostu będą szedł za innymi, powtarzał sobie w duchu. Stał zlany potem między kobietą, która oberwała w głowę reklamówką, a ogolonym na łyso mężczyzną pachnącym czosnkiem i wyglądającym na potwornie przygnębionego. Najpierw będzie kontrola paszportowa, chociaż ją też mogliby zlikwidować. Potem muszę uważać na tablice informacyjne, żeby dojść do miejsca, gdzie moja walizka będzie jeździć w kółko na taśmie. Z niczym nie muszę się spieszyć. Kiedy znajdę walizkę, wyjdę zielonym wyjściem, bo nie mam nic do za... jak to się nazywało? Chyba do zadeklarowania. *Deklarieren*? Później poszukam tabliczki z napisem Taxi i ustawię się w kolejce. Trzeba mocno trzymać walizkę i plecak. I nie zapominać, żeby obie te rzeczy cały czas mieć na oku. Nie ma powodu do pośpiechu, ale to już mówiłem, ojej, zdaje się, że powinienem się ruszyć... pora wysiąść z samolotu, jesteśmy w Berlinie. Kto by pomyślał.

Mniej więcej pół godziny później, czyli o siedemnastej trzydzięci czasu szwedzkiego i niemieckiego, siedział na tylnym siedzeniu kremowej taksówki, która metr po metrze wyjeżdżała z lotniska Tegel. Taksówkarz, milczący mężczyzna o ciemnej skórze i ciemnych włosach, wziął od niego kartkę z nazwą i adresem hotelu. Nie odezwał się ani słowem, tylko przeżuwał jakieś pestki albo nasiona, wyjmując je z papierowej torebki stojącej między przednimi fotelami. W samochodzie unosił się zapach, który Arnemu wydawał się znajomy, jakby miał coś wspólnego z morzem, nie wpadł jednak na to, co to dokładnie jest. Usiłował także przypomnieć sobie nazwę hotelu, w którym miał mieszkać, i wreszcie się wyłoniła: hotel Munck. Jednocześnie czuł, że podstępnie ogarnia go ogromne zmęczenie. Prawdopodobnie brało się z tego, że cały ten dzień był dla jego biednego ułomnego rozumu bardzo wyczerpujący, postanowił więc, że w drodze do centrum odrobinę się zdrzemnie. Wuj Lennart mówił, że jazda taksówką może trwać co najmniej pół godziny, więc dlaczego miałby nie skorzystać z okazji?

Obudził się, kiedy taksówkarz otworzył tylne drzwi i czekał, dając mu do zrozumienia, że ma wysiąść. Wymienił jakieś liczby, na co Arne natychmiast zrozumiał, że chodzi o to, ile ma zapłacić za kurs, wyciągnął zatem banknot o nominale pięćdziesięciu euro, jak polecił mu wuj Lennart. Kierowca wziął go do ręki i pokręcił głową, a potem uniósł pięć palców i coś powiedział.

Arne znowu wyjął portfel i po chwili szukania znalazł dziesięć euro. Taksówkarz wziął je od niego i nagle zaczął wyglądać na znacznie bardziej zadowolonego. Wcisnął oba banknoty do kieszeni, otworzył bagażnik i postawił walizkę na chodniku.

– *Auf Wieder...* – zaczął Arne. – *Danke.*

Mężczyzna bąknął coś w niezrozumiałym berlińskim slangu i wskoczył do auta.

Taksówka odjechała. Arne rozejrzał się dookoła. Stał na wąskiej, prostej ulicy z szeregami domów i szpalerami drzew po obu stronach. Wejście do hotelu było słabo oświetlone, a na szybie w drzwiach widniał półkolisty złoty napis: Hotel Munck. Nie ulegało zatem wątpliwości, że dotarł na właściwe miejsce, i zgodnie z instrukcjami wuja Lennarta postanowił się bezzwłocznie zaczekować.

Tak się to nazywało: zaczekować. Arne uważał, że to słowo brzmi nowocześnie i elegancko, a dwie młode kobiety, które stały za wysoką lśniącą ladą, też wyglądały nowocześnie i elegancko. Postawił walizkę na podłodze i zwrócił się do nich obu:

– *Guten Abend. Isz bin Arne Murberg... Schweden.*

Jedna z kobiet, jasnowłosa, w niedużych okularach w niebieskich oprawkach, powiedziała coś, czego nie rozumiał, zakładał jednak, że serdecznie go przywitała.

– Murberg?

Źle wymówiła jego nazwisko, mimo to ją zrozumiał.

– *Jawohl.*

Uderzyła w kilka klawiszy i spojrzała na ekran. Następnie skinęła głową i podsunęła mu jakiś formularz i długopis.

– *Spreche nicht so gut Deutsch* – wyjaśnił.

– Paszport – rzuciła kobieta.

Arne wyjął z kieszeni dokument. Wzięła go od niego, przekartkowała i oddała mu z powrotem.

Wszystko idzie jak po maśle, pomyślał, i kiedy niechcący upuścił paszport na podłogę, pozwolił sobie na krótki śmiech.

– *Scheisse...*

Blondynka też się roześmiała, a kiedy on już się wyprostował, pokazała mu formularz. Powiedziała coś, co w jego uszach zabrzmiało jak adres. Przez kilka sekund wskazywała palcem i wydawała niezbyt jasne polecenia, i wreszcie dotarło do niego, że w miejscu zaznaczonym krzyżykiem ma wpisać swój adres. Nagle przypomniało mu się, że wujek Lennart napomknął coś o tym szczególe. Arne skinął głową i znowu się uśmiechnął, na co obie kobiety odpowiedziały mu też uśmiechem. Nabazgrał we wskazanej rubryce Frithiofs gata i K. z kodem pocztowym i całą resztą, po czym przesunął kartkę po ladzie.

– *Unterschrift bitte.*

– Co?

Kobieta przyłożyła palec do kolejnej linijki.

– *Ihre Unterschrift. Ihr Name... Name.*

– Nazwisko?

– *Genau.*

– *Genau* – powtórzył za nią Arne i nerwowo, ale mimo wszystko czytelnie napisał swoje nazwisko.

Tym samym wszystko wydawało się załatwione. Dostał plastikowy prostokąt w małej papierowej torebce, obie kobiety wskazały na windę, która znajdowała się po lewej stronie w krótkim korytarzyku, i unosząc w górę po trzy palce, dawały mu do zrozumienia, że jego pokój znajduje się na trzecim piętrze. Skinął głową, zadowolony, po czym wsunął plastikową plaketkę do kieszeni na piersi. Jak działa winda, jako tako się orientował. Jedna z kobiet, ta ciemnowłosa i bez okularów, wyszła mimo wszystko zza lady i ruszyła razem z nim. Otworzyła drzwi kabiny, po czym powiedziała głośno i wyraźnie:

– *Drei, eins, zwei. Verstehen Sie? Three, one, two!*

Wskazała palcem na jego kieszeń na piersi. Znowu wyjął małą papierową kopertkę i zobaczył, że rzeczywiście widnieją na niej cyfry 3, 1 i 2. Pokój numer 312, jasne jak słońce.

– *Gut!*

To zawsze można rzucić, przy każdej nadarzającej się okazji, mówił wuj Lennart. Młoda kobieta nacisnęła guzik oznaczony trójką, uśmiechnęła się jeszcze raz i zamknęła drzwi.

Na trzecim piętrze stał dobrą chwilę przed numerem 312, zanim pojął, jak działa ten kawałek plastiku. Kiedy przeciągnął go kilka razy przez wąską szczelinę przy drzwiach, coś kliknęło w jakimś tajemniczym mechanizmie i wreszcie mógł swój hotelowy pokój objąć w posiadanie.

Kein Problem, pomyślał Arne Murberg. W ogóle żaden problem. Mili ludzie żyją w tym mieście. Mili i uczynni. *Isz bin ein Berliner.*

Niemal całą godzinę zajęło mu rozpakowanie się i rozgoszczenie na miejscu. Pokój odpowiadał mu pod każdym względem. Miał telewizor na ścianie, biurko z krzesłem, przesadnie szerokie łóżko z żółtą narzutą i szafkami nocnymi po obu stronach. Poza tym szafę, lodówkę pełną małych buteleczek i czekolady, nieduży sejf, którego działania na razie nie rozumiał, ale zamierzał zbadać to dokładniej następnego dnia, i jeszcze luksusową łazienkę z prysznicem i wanną. I z buteleczkami szamponu i mydła w płynie oraz z całym mnóstwem ręczników.

Wyśmienicie, pomyślał, i gdy umieścił całą zawartość walizki w szafie, usiadł przy niewielkim biurku i ułożył esemesa do wuja Lennarta. Zajęło mu to dobrą chwilę, mimo że nieraz to ćwiczyli. W końcu udało mu się wysłać wiadomość. Tak przynajmniej uważał, a jeżeli się nie myli, niedługo powinna przyjść odpowiedź jako potwierdzenie.

wylądowałem zaczękowałem w hotelu jest cholernie ładnie teraz wychodzę i coś zjem nie ma problemu arne

Było wpół do ósmej, kiedy znowu znalazł się na ulicy. Oczywiście zauważył, że w hotelu jest jadalnia, uznał jednak, że warto zobaczyć trochę więcej Berlina, i postanowił poszukać jakiejś sympatycznej restauracji. Minęło już ładnych kilka godzin od czasu, kiedy jadł. Ostatnio suchą kanapkę w samolocie i kilkanaście orzeszków, najwyższa pora zatem, żeby wrzucić coś do żołądka.

Nad miastem zapadła ciemność, ale nie było szczególnie zimno. Na ulicy panowały raczej pustki i Arne zachodził w głowę, gdzie podziwia się tych pięć milionów ludzi, którzy według wuja Lennarta tu mieszkają. Domyślał się, że siedzą w domach i gapią się w telewizory, może na jakiś mecz piłki nożnej. Podobno Niemcy są jeszcze bardziej zwariowani na jej punkcie niż Szwedzi. Albo zdążyli już zająć miejsca w osiemnastu tysiącach restauracji. Wuj Lennart wymienił także taką liczbę. A może to było sto osiemnaście tysięcy?

Nieważne. Najważniejsze, żeby znalazł jedną z tych niezliczonych restauracji, zastanowił się więc przez chwilę, w którą stronę powinien pójść. Mapa została na górze, w pokoju, dlatego chyba najbezpieczniej by było nie iść za daleko. Ale kartkę z nazwą i adresem hotelu wciąż miał w kieszeni, na wypadek gdyby niechcący się zgubił. Portfel i paszport też były na swoim miejscu, natomiast telefon komórkowy ładował się w pokoju.

Wszystko pod kontrolą, pomyślał. Mam wszystko pod kontrolą. Podniósł wzrok i się rozejrzał.

Fasanenstraße. Na fasadzie narożnego domu wisiała tablica, która potwierdzała, że ulica nazywa się właśnie tak, jak powinna się nazywać. Chociaż na samym końcu w nazwie był błąd: jedna litera wyglądała jak sklezione razem f i 3. Ale to żaden powód do zdenerwowania. Zdecydował się iść w tym kierunku, gdzie ulica wydawała się lepiej oświetlona. Jeśli będę szedł cały czas prosto Fasanenstraße po jednej stronie, póki nie natrafię na restaurację, pomyślał, będę mógł wrócić tą samą drogą. To znaczy w t y m kierunku. Na pewno nie minie dużo czasu, a poznam miasto jak własną kieszeń.

Czuł, że jest porządnie głodny, i miał nadzieję, że w jadłospisie będą pulpety mięsne z purée z ziemniaków.

Nie było. W każdym razie o ile potrafił to ocenić. Restauracja nazywała się Martinus, minął dwie albo trzy przecznice, żeby do niej dojść, a z czego przyrządzono potrawy wymienione w karcie, nie było do końca jasne. Miejsca w środku nie brakowało, Arne siedział sam przy stole z ciemnego drewna pod ścianą z mnóstwem niedużych fotografii najrozmaitszych wesołych ludzi, a przed nim paliła się świeczka. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadł

w restauracji. Zdaje się, że na tamtej wyspie kanaryjskiej.

Najpierw młoda dziewczyna zaprowadziła go do stolika i dała mu menu. Przekartkował je ostrożnie. Składało się z co najmniej siedmiu stron, ale on szybko się zorientował, że na ostatnich trzech chodzi o to, co można wypić do jedzenia. Poza tym na jednej stronie były same desery. Wrócił do dań głównych i nagle zobaczył coś, co rozpoznał: *Wiener Schnitzel*. W tej samej chwili podeszła do niego ta sama dziewczyna, pomyślał, że wygląda jak Japonka albo Chinka i że gdyby mówiła po szwedzku, może by ją spytał, jak to się stało, że wylądowała w Berlinie.

Powiedziała coś, czego nie zrozumiał. Na wszelki wypadek rzucił: *ja, ja*, a ona zniknęła w drzwiach, przez które wyszła i które pewnie prowadziły do kuchni.

Wspaniale, pomyślał Arne Murberg. Porządny Wiener Schnitzel to dokładnie to, czego trzeba, kiedy ma się za sobą taką daleką podróż.

Japonka (zdecydował, że kelnerka pochodzi z Tokio, a wiedział, że tak się nazywa stolica Japonii) wróciła z kieliszkiem czerwonego wina i postawiła go przed nim na stole. Uśmiechnęła się do niego przelotnie i znowu coś powiedziała. Równie dobrze mógł to być japoński, bo nie rozumiał ani słowa. Ale ponieważ stała przy nim dalej, domyślił się, że chce wiedzieć, co on zamierza zjeść. Położył palec na Wiener Schnitzel i podniósł kartę tak, żeby sama mogła przeczytać. Uśmiechnęła się znowu, kiwnęła głową i odeszła.

Miła młoda dama, pomyślał. Naprawdę.

Przyglądał się kieliszkiowi wina. Był duży, pękaty i wypełniony mniej więcej do połowy. Zastanawiał się, czy zamówił wino, kiedy powiedział *ja, ja*, czy też dostaje się je jako dodatek do wszystkich potraw. Zdawało mu się, że tak właśnie było na tamtym promie do Finlandii. Tak czy inaczej dotarło do niego, że ów kieliszek oznacza pewien mały problem.

P r a w d o p o d o b n i e. Nie był bowiem przyzwyczajony do picia alkoholu, a te kilka razy, gdy zdarzyło mu się wziąć go do ust, pamiętał do dzisiaj, bo nie czuł się potem zbyt dobrze. Zarówno tata, jak i wuj Lennart mówili mu, że to nie dla niego. Sami pozwalali sobie od czasu do czasu na kieliszek, zresztą ciocia Polly też, ale z jego krwią coś było nie tak i to coś sprawiało, że powinien trzymać się z daleka od mocnych trunków. Może to także wiązało się z wypadkiem. Tego nie wiedział.

Co tam. Nieduży kieliszek wina przecież nie zaszkodzi.

A nawet i całkiem duży. Czekał, aż jego sznycel pojawi się na stole, wypił łyk. Nie smakowało wcale tak źle. W Niemczech oczywiście mają inny gatunek wina, pomyślał, taki, który lepiej pasuje do mojej krwi. Wuj Lennart nie ma o tym pojęcia. On myśli... myśli, że wszystko wie, a wcale tak nie jest.

Mówiąc szczerze, czasami można było mieć dość tego, że wuj Lennart niby wszystko wie. Miło jest wreszcie być panem samego siebie, stwierdził. Kiedy człowiek może myśleć we własnym rytmie, prawie wszystko samo się układa. Wcześniej czy później, tak to już jest.

Wypił jeszcze jeden łyk wina i oparł się wygodnie na krześle.

Godzinę później zjadł zarówno sznycel, jak i deser, na który składał się kawałek tortu polany pół litrem sosu owocowego. Po czerwonym winie wypił kieliszek słodkiego białego i czuł się najedzony, zmęczony i zadowolony z życia. Tymczasem dosyć ciasny lokal wypełnił się ludźmi, a Japonce towarzyszyła teraz całkiem zwyczajna Niemka i we dwie biegały jak szalone między stolikami, żeby zdążyć przyjąć wszystkie zamówienia i spełnić różne życzenia. Arne był w znakomitym nastroju, ludzie wokół niego śmiali się i dobrze bawili, miał wrażenie, że jest w samym pępku świata, mimo to uznał, że chyba już pora zapłacić rachunek i wrócić do hotelu. Dochodziło wpół do dziesiątej, a on normalnie rzadko chodził spać po dziesiątej.

Co prawda ten wieczór nie był normalny, ale mimo wszystko.

Trochę trwało, zanim zapłacił, ponieważ próbował użyć plastikowej karty, w którą

wyposażył go wuj Lennart. Nie zadziałała, chociaż i on, i Japonka usiłowali wbić na terminalu kod – 1981, rok jego urodzenia. W końcu zapłacił prawdziwymi pieniędzmi i pomyślał, że dokładnie tak samo jest u nich w sklepie. Oni też mają takie urządzenie, tyle że tata i wuj zawsze robili wszystko, żeby było popsute, i ludzie o tym wiedzieli. Nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś przyszedł i chciał użyć któregoś z tych przeklętych kart.

Kiedy wreszcie uregulował rachunek, wstał, aby odejść od stolika, i wtedy stało się coś, czego się nie spodziewał. Ledwie rozprostował nogi, zakręciło mu się w głowie i zanim się spostrzegł, leżał jak długi na podłodze.

Co za kretynizm, pomyślał Arne Murberg. Co to ma być?

Niemiecka kelnerka i mężczyzna w koszuli w kratkę popieszyli mu z pomocą. Podnieśli go i trzymając pod ręce, zaczęli zadawać niezrozumiałe pytania. Zauważył, że sala trochę się kołysze, ale po kilku sekundach wszystko wróciło do równowagi.

– *Sind Sie okay?*

To zrozumiał.

– *Alles Ordnung* – odpowiedział. – *Schlafen*.

Sam nie wiedział, czy miał na myśli to, że zasnął, czy że powinien położyć się spać, ale koszula w kratkę zdawała się ogarniać sytuację i ostrożnie kierowała go w stronę wyjścia.

– *Schlafen* – powtórzył Arne. – *Auf Wiederschnitzel*.

Czuł się już lepiej, a koszula w kratkę wybuchnęła śmiechem i otworzyła mu drzwi. Po chwili znalazł się na chodniku, gdzie od razu owiał go świeży wiatr i sprawił, że rozjaśniło mu się w głowie.

– *Okay?* – powtórzyła koszula w kratkę.

– *Okay, ich bin Schweden* – odpowiedział, na co kratkowany wrócił do restauracji.

Może jednak nie do końca potrafił myśleć trzeźwo, bo w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, z której strony przyszedł. Z prawej czy z lewej? Oto jest pytanie. Wiedział w każdym razie, że kiedy już ustali właściwy kierunek, wystarczy, że pójdzie prosto przed siebie, przetnie kilka ulic i wcześniej czy później wyłoni się przed nim hotel Munck... Fasanenstraße, tak, dokładnie, naprzeciwko restauracji wisiała na fasadzie tabliczka. Też z błędem na końcu. Czyli przynajmniej wyszedł na dwór tymi samymi drzwiami, którymi wcześniej wszedł.

Musiał się porządnie zastanowić i wreszcie wpadł na to, jak rozwiązać ten problem. Może powinien zasięgnąć rady Perry'ego Masona, choć jednocześnie miał poczucie, że nie powinno się zawracać mu głowy bez pilnej potrzeby, bo przecież on zajmuje się ważniejszymi sprawami. Zabójstwami, porwaniami i tak dalej.

Ale jeśli już się zdecyduje na jeden z dwóch kierunków, wszystko jedno na który, i minie kilka przecznic, cztery albo nawet pięć, tak dla pewności, i hotel wciąż się nie pokaże – cóż, wtedy po prostu będzie musiał zawrócić i pójść w odwrotną stronę. Mógłby też poprosić kogoś z Martinusa, żeby wezwał mu taksówkę, jednak nie wydawało mu się to dobrym wyjściem, bo po pierwsze nie wiedział, jak sformułować taką prośbę, a po drugie przecież zwał się tam jak długi na podłogę. To już lepiej użyć tych kończyn, czy jak tam się to nazywa, tych, o których mówił wujek Lennart.

Czyli własnych nóg, by nie powiedzieć zelówek.

Dajcie mi tylko trochę czasu, a pokonam wszystkie przeciwności, pomyślał Arne Murberg i ruszył przed siebie.

Kiedy minął trzecią przecznicę, zaczął podejrzewać, że idzie w niewłaściwą stronę, a po przecięciu czwartej nabral już pewności. Na ulicy nie było wielu przechodniów, ale gdyby nawet było ich więcej, raczej by się nie zdecydował poprosić kogoś o pomoc. Nie wiadomo, czy ludzie znają hotel Munck, poza tym nie miał pojęcia, jak miałby o niego spytać. To był ciągle ten sam problem, bo wymienienie tak po prostu pytającym tonem samej nazwy wydawało mu się naiwne, a nie chciał się komuś wydać jeszcze bardziej naiwny, niż trzeba. Postanowił więc przejść jeszcze kawałek, ale wtedy pojawił się kolejny problem, i to znacznie bardziej palący niż ten ze znalezieniem hotelu.

Musiał się wysikać.

To idiotyczne, że nie zrobiłem tego w restauracji, stwierdził w duchu. Tam na pewno była toaleta, we wszystkich restauracjach są toalety.

Trudno. Pomyślał o winie, które wyżłopał: dwa kieliszki. A do tego dwie szklanki wody, albo i trzy. Nic dziwnego, że pęcherz mu omal nie pęknie.

Czyli *pinkelieren*. Tylko gdzie? Wytrzymanie całej drogi do hotelu wydawało się niemożliwe, na szczęście w chwili kiedy zdał sobie z tego sprawę, doszedł do niedużego parku.

To jest dopuszczalne. Nie sika się na ścianę domu, ale drzewo czy krzaki w parku to co innego. Wziął kurs na niewielkie zarośla po lewej, zdążył zauważyć, że park nazywa się Fasanenpalats czy jakoś tak, i pomyślał o tym, jak tata opowiadał mu kiedyś o pastorze, któremu zachciało się sikać w czasie kazania w kościele. Ale choć bardzo się wysiłał, nijak nie mógł sobie przypomnieć, co w tej historii było takiego śmiesznego. Czy pastor, przyparty do muru, ukradkiem posikał się na ambonie, czy rozwiązał problem w inny sposób.

Dokładnie w chwili gdy znalazł się pod osłoną zarośli, sytuacja zrobiła się krytyczna. To była naprawdę ostatnia sekunda i Arne stwierdził, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie miał tak pełnego pęcherza. Strumień zdawał się nie mieć końca i kiedy ktoś nagle stuknął go w ramię, wciąż jeszcze się nie wyczerpał.

Wzdrygnął się. Niewiele brakowało, a opryskałby sobie i buty, i spodnie. Człowiek, który stał za nim, coś powiedział. Głos brzmiał szorstko i zdecydowanie. Arne poczuł, że uginają się pod nim kolana – już drugi raz tego wieczoru, w ciągu niecałej godziny, to naprawdę jakieś...

Ale dał radę, utrzymał się na nogach, skończył sikać i wetknął siusiaka w portki. Gdy się odwrócił, zobaczył nad sobą twarz: wyglądała tak, jakby była z asfaltu. Z jasnoszarego asfaltu. Znajdowała się dobre dziesięć centymetrów nad jego głową i tkwiła na górnym końcu umundurowanego ciała, które musiało ważyć sporo ponad sto kilo.

Usta w asfalcie otworzyły się znowu i dodały coś jeszcze. Arne nie zrozumiał ani słowa, postanowił jednak zagrać w otwarte karty.

– *Isch suche meine Mutter* – wydukał. – *Hier in Berlin* – uzupełnił.

Nowy, co prawda odrobinę mniejszy drań wyrósł za tym pierwszym. Miał na sobie podobny mundur, ale wydawał się mniej groźny, ponieważ się roześmiał.

– *Deine Mutter?* – spytał.

– *Genau* – odpowiedział Arne. – *Mutter. Guten Abend.*

Teraz śmiechem wybuchnęła też asfaltowa twarz i nagle Arne zrozumiał, że to są policjanci. W głębi, przy ulicy, stał zielono-biały policyjny samochód. Musieli się do niego podkraść, kiedy on spokojnie odlewał się w krzakach.

– *Schweden* – dorzucił i spróbował też nieśmiało się roześmiać. – *Isch bin Schweden. Guten Abend.*

Ostatnie dwa słowa wprawdzie już raz powiedział, ale zawsze lepiej być trochę za bardzo grzecznym niż za mało. Policjanci spojrzeli na siebie i wymienili kilka słów. Arne domyślił się, że się naradzają, czy go aresztować, czy nie. Prawdopodobnie sikanie w parkach jest zakazane, przynajmniej dla cudzoziemców. Uznał, że byłoby to wyjątkowo irytujące. Przez całe życie ani razu nie został aresztowany i gdyby coś takiego miało mu się przytrafić w pierwszy wieczór w Berlinie... w każdym razie nie miał zamiaru opowiadać o tym wujowi Lennartowi i ciotce Polly.

Mniejszy wielkolud coś powiedział, wskazując na samochód. Arne nie zrozumiał.

– *Wo wohnen Sie?*

– *Co?*

– *Hotel? Wohnen Sie vielleicht in einem Hotel?*

Arne wychwycił słowo hotel i wyjął z kieszeni kartkę. Podał ją mniejszemu olbrzymowi.

– *Hotel Munck – oznajmił, kiwając głową.*

– *Fasanenstraße?*

– *Genau.*

Całkiem nieźle, pomyślał Arne. Człowiek stoi sobie i gada po niemiecku, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

Większy policjant otworzył tylne drzwi radiowozu i powiedział coś, co chyba miało oznaczać, żeby wsiadł. Zrobił to, a obok niego zajął miejsce wielkolud. Jego kolega usiadł za kierownicą i ruszyli.

Nigdy tego nie zapomnę, pomyślał Arne. Jechać radiowozem przez Berlin – to przecież prawie jak w filmie. Wsunął rękę do kieszeni i wyczuł pudełko pastylek od bólu gardła, które kupił na Arlandzie i o których całkiem zapomniał. Otworzył wieczko i podsunął opakowanie wielkiemu policjantowi. Pokręcił głową.

– *Nein, danke.*

– *Kein Problem.*

Zawrócili na Fasanenstraße, minęli restaurację Martinus i minutę później zatrzymali się przed wejściem do hotelu Munck. Wielkolud dał Arnemu znak, aby wysiadł. Następnie rzucił coś, co pewnie znaczyło, że sikanie w parkach jest niedozwolone, ale że tym razem postanowili popatrzeć na to przez palce.

– *Danke schön* – odpowiedział Arne. – *Das will ich remember.*

Stojąc na chodniku, pomachał policjantom na pożegnanie, a potem patrzył, jak radiowóz oddala się, zmierzając ku nowym zadaniom w innych parkach, i pomyślał, że może jednak powinien wysłać esemesa do wuja Lennarta i opowiedzieć mu o swoim pierwszym wieczorze na niemieckiej ziemi. W wielkim skrócie oczywiście.

Albo lepiej nie. Ciągle jeszcze był trochę zły, że wuj zawsze chce o wszystkim decydować, a to przecież wcale nie wydawało się konieczne. Nagle poczuł, jak wzbiera w nim ogromna wdzięczność. Wdzięczność za to, że ludzie są tacy życzliwi dla niego. Policjanci. Personel restauracji. Kobiety w hotelu. Ludzie uczynni wcale nie są obciążeniem dla kogoś takiego jak on, kto przyjechał zupełnie sam – *Allein in Berlin* – aby w tym pulsującym życiu mieście wykonać swoje ważne zadanie.

Violetta Dufva... zawsze uważał, że to bardzo piękne nazwisko. Równie piękne jak jej twarz na tamtej starej fotografii. Miał trzy odbitki w kopercie w plecaku. Od jutra trzeba będzie zabrać się na poważnie do wykonania zadania. Kiedy tak stał i czekał na windę, odniósł wrażenie, jakby jego ojciec miał na niego oko z nieba i życzył mu powodzenia.

Nie zapomnij dać jej tej szkatułki – zdawał się mówić.

Jasne, że nie zapomnę, odpowiadał. Możesz na mnie polegać.

Winda nie przyjechała, nie wiadomo dlaczego. Ale tuż za nim były schody. Na pewno można wejść na górę także na piechotę, pomyślał, i miał całkowitą rację. Czterdzieści osiem stopni później znalazł się na trzecim piętrze, i kilka sekund potem wszedł do pokoju 312, bez żadnych problemów otworzywszy drzwi plastikową kartą. Po szybkiej wieczornej toalecie padł na łóżko, kompletnie wyczerpany po swoim pierwszym dniu w Berlinie.

Wyczerpany, ale zadowolony i pełen wiary. Esemes do wuja Lennarta w ogóle nie wchodził w rachubę.

Dzień drugi

Obudził się, ponieważ ktoś zapukał w okno. W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, po kilku sekundach zorientował się w końcu i podniósł do pozycji półsiedzącej. Pukanie nie ustawało i wreszcie Arne zobaczył, że to ptak siedzi na parapecie i stuka dziobem w szybę. Duży i wypasiony gołąb, o ile się nie mylił, ale ptaki nie były jego mocną stroną. Dziobał i zdawał się mu przyglądać jednym okiem. Arne ziewnął, też utkwiał w nim wzrok, zastanawiając się, czy między niemieckimi i szwedzkimi ptakami jest jakaś różnica. Czy różnią się w jakikolwiek sposób? Czy w Berlinie zachowują się inaczej niż w domu, w K.? Nie przypominał sobie, żeby widział kiedyś gołębia, który by tak stukał w okno. O ile to jest gołąb. Ale gdy tylko przetarł oczy i całkiem się rozbudził, nabrał prawie zupełnej pewności. Ptak był szary jak owsianka, tłusty i ociężały. Ciekawe, czy dał radę przyfrunąć tak wysoko, czy wdrapał się po czymś w rodzaju schodów przeciwpożarowych.

Nagle przypomniało mu się, że wiele, wiele lat wcześniej widział w telewizji dziwny film: chmara ptaków jakiegoś innego gatunku fruwała we wszystkich możliwych miejscach, a tak naprawdę to była kobieta albo może dziewczyna, która zginęła w wypadku, ale nie mogła zaznać spokoju w grobie... czy coś w tym rodzaju.

Dał spokój ptakom i wstał z łóżka. Tyle jest pytań... czasami lepiej trzymać się od nich z daleka. Było kilka minut po ósmej i Arne poczuł się głodny. Głodny i wypoczęty, to przyjemne uczucie, ale przede wszystkim był... pełen oczekiwania? Tak, właśnie tak się to nazywało: pełen oczekiwania. Co objawiało się mniej więcej tak jak działanie dwutlenku węgla w napoju gazowanym: jako miłe mrowienie w ciele, wędrujące z dołu do góry. Zrozumiał, że ma to związek z jego zadaniem. Dzisiaj się do tego zabierze. Tak naprawdę nie był przyzwyczajony do załatwiania takich ważnych spraw, ale z drugiej strony nikt do tej pory nie wykorzystywał jego pełnych możliwości.

Moich pełnych możliwości? – pomyślał, kiedy wyszedł spod prysznica i zaczął się wycierać jednym z dużych żółtych ręczników. Co to za słowa nagle pojawiają się w mojej głowie? Na pewno bierze się to stąd, że do tej pory nigdy nie dostałem prawdziwej szansy. Jestem co prawda powolny, ale nie taki głupi, jak się wszystkim wydaje. Wcale nie.

Śniadanie było wielkim wydarzeniem. Zjedzenie go zajęło mu prawie godzinę – bekon, jajecznica, parówki, jogurt, kanapki, gofry, kawa i herbata, trzy rodzaje soku i cała garść małych muffinek, które smakowały wszystkimi możliwymi owocami jagodowymi. Ledwo mógł się ruszyć od stołu, kiedy skończył, a potem, na górze, w pokoju, musiał leżeć jak długi na łóżku dobrą godzinę, żeby to wszystko przetrwać.

Gołąb zniknął z parapetu, odnotował Arne, gdy usiadł przy biurku i rozłożył przed sobą plan miasta. Może po prostu runął na dół. Nie wydawało się to wcale mało prawdopodobne. Stwierdził, że mu go brakuje, chociaż jednocześnie wcale nie brakowało. Z okna było widać niewiele, właściwie jedynie kawałek nieba i duży szarobrazowy budynek po drugiej stronie ulicy. To musiał chyba być jakiś biurowiec, bo widział w nim ludzi pochylonych nad biurkami tak samo jak on w swoim pokoju w hotelu Munck. Berlińczycy i berlinianki. Gdyby któryś albo któraś z nich podniosła wzrok, mógłby im pomachać, nikt jednak nie miał czasu na rozglądanie się. Pewnie zajmują się ważnymi sprawami, pomyślał, dokładnie tak jak ja. I na pewno żadna z tamtych kobiet nie jest jego mamą, bo to byłby cholernie dziwny zbieg okoliczności. Opuścił głowę, spojrzął na plan i skoncentrował się.

Kłębowisko ulic było wprost niesamowite, ale dwa krzyżyki sprawiały, że jednak wszystko wydawało się jasne. W każdym razie prawie jasne. Przesunął palcem wskazującym

wzdłuż linii między nimi i stwierdził, że właśnie tak powinien postąpić. Zabrać plan ze sobą, iść powoli ulica za ulicą i na każdym skrzyżowaniu sprawdzać palcem, czy nie zboczył z drogi. Czytać nazwy ulic i starać się zapamiętać kierunek. Wuj Lennart mówił, że zajmie mu to z godzinę, jeśli będzie szedł nie za szybko i nie za wolno. Czy może powiedział: dwie? Już nie pamiętał, ale to nie miało znaczenia. Zastanawiał się, czy nie mógłby w połowie drogi zrobić sobie przerwy i napić się kawy w jakiejś kawiarni. Uznał, że to całkiem dobry pomysł, taki podział trasy. Jakby na dwie połowy meczu.

Wstał i znowu spojrzął przez okno, tym razem na ulicę w dole. Zakładał, że to Fasanenstraße, tak, oczywiście, nie mogło być inaczej. Obrócił plan na biurku tak, aby ulica na mapie i ta prawdziwa biegly równolegle. Jeśli się nie mylił, po wyjściu z hotelu powinien iść w prawo, czyli w stronę przeciwną niż poprzedniego wieczoru.

Czy na pewno? Wysilek umysłowy sprawił, że dwutlenek węgla zaczął mocniej musować mu w głowie, Arne uznał jednak, że nie ma w tym nic dziwnego. Misja, którą powierzył mu ojciec, nie była wcale prosta, ale wystarczy tylko zachować spokój i postępować... jak to powiedział wuj Lennart? Metodycznie?

Właśnie. Spokojnie i metodycznie. Ma przed sobą wiele dni, nic go nie goni, i na przykład dzisiaj mógłby pozwolić sobie na trochę luzu, a drogę do Knobelsdorffstraße spróbowałby znaleźć dopiero jutro albo pojutrze. A przedtem zapoznałby się trochę lepiej z najbliższą okolicą. Może to dużo lepszy plan?

Ale z drugiej strony... czy to nie byłaby strata czasu? Przecież nie da się wykluczyć, że jego mama zmieniła adres i że trzeba będzie szukać jej dalej. Zaznaczyć na planie nowy krzyżyk i narysować ołówkiem nową linię. Może nawet kilka krzyżyków i kilka linii. Nie, to nierozsądne, żeby marnować cały pierwszy dzień. Obowiązek przede wszystkim. Usłyszał to kiedyś od kogoś albo nawet gdzieś przeczytał.

Zdecydowanym ruchem złożył plan miasta, wetknął go do kieszeni kurtki i zszedł schodami na dół. Portfel i komórka w kieszeniach wewnętrznych, w plecaku notes, słownik (niemiecko-szwedzki i szwedzko-niemiecki w jednym tomie), dwa ołówki i jabłko zabrane z jadalni, w której jadł śniadanie. Ale pudełeczko dla mamy Violetty zostało w pokoju, musiało poczekać, aż on wpadnie na jej trop. Wszystko ma swój czas i na razie wszystko było pod kontrolą.

Na początku szło mu znakomicie. Zadziwiająco łatwo, pomyślał. Szedł powoli, świadomy celu, chodnikiem, przystawał na każdym rogu i sprawdzał, czy trasa zgadza się z mapą. Jedyna uciążliwość polegała na tym, że wciąż musiał ją rozpościerać i znowu składać, co było trudne, zwłaszcza gdy powiał wiatr albo kiedy ludzie stali stłoczeni przy przejściu i czekali na zielone światło. Ponieważ jednak się nie spieszył, właściwie nie stanowiło to problemu. Szedł Fasanenstraße pod torami kolejowymi, do Kantstraße. Potem długi, długi odcinek w lewo. Aż do Leibnizstraße. Tam w prawo i do Schillerstraße. Później znowu w lewo.

Gdy doszedł aż tam i miał już za sobą spory kawałek Schillerstraße, zdecydował się zrobić sobie przerwę. O ile potrafił ocenić na podstawie mapy, pokonał już więcej niż połowę trasy. Zajęło mu to prawie godzinę i powoli zaczynał czuć, że zmęczyła mu się głowa. Nie nogi i nie ciało. Przecież nie był przyzwyczajony do tego, żeby musieć się koncentrować tak bardzo i tak długo. Poza tym solidne śniadanie zostało już chyba w połowie strawione, filiżanka kawy i coś dobrego na ząb nie byłoby więc wcale złym pomysłem.

Kawiarnia nazywała się Rick's Café Americain. Długa i skomplikowana nazwa jak na taki mały lokalik, stwierdził. W ponurym wnętrzu stały tylko trzy stoliki, ale wszystkie trzy były wolne, usiadł więc w rogu, najbliższej drzwi. Podeszła do niego kobieta z kręconymi włosami i zwróciła się uprzejmie po niemiecku, a po kilku chwilach wspólnie ustalili, że miałby ochotę na

dużą kawę z mlekiem i szarlotkę z bitą śmietaną. To ostatnie nazywało się chyba *Strudel* i Arne miał wrażenie, że wuj Lennart mówił mu kiedyś o tym typowo niemieckim specjale.

W samym środku pierwszego kęsa w jego wewnętrznej kieszeni rozległo się piknięcie. A niech to diabli, pomyślał. Że też nigdy nie dadzą człowiekowi świętego spokoju. Wyjął komórkę i otworzył wiadomość od wuja Lennarta.

„Powodzenia w twojej dzisiejszej misji. Podobno w Berlinie ma po południu padać. Weź to pod uwagę. Podrowienia od cioci Polly”.

Prychnął z irytacją i usunął wiadomość. Co oni mogą gdzieś tam daleko, w K., wiedzieć o pogodzie w Berlinie? Co za bezsens. Ale to typowe dla wuja Lennarta i ciotki Polly. Oni zawsze muszą się wtrącić i zawsze wszystko wiedzą najlepiej. A przecież cała ta operacja to sprawa wyłącznie między nim a ojcem. To on ma odszukać Violetę Dufwę, swoją zaginioną mamę, on i nikt inny. I ma to zrobić sam, tak brzmiało życzenie wypowiedziane na brzegu łóżka w szpitalnej sali numer osiem. Umowa między ojcem a synem. Czy to tak trudno zrozumieć?

Widocznie, pomyślał i wepchnął sobie do ust duży kawałek strudla, który smakował inaczej niż to, co zwykle piekła ciotka Polly, ale był dobry. Niemcy znają się na ciastach, ocenił życzliwie, i niech nikt nie próbuje twierdzić inaczej.

Kiedy zjadł szarlotkę i wypił kawę, nie zapominając o bitej śmietanie, spróbował rozłożyć plan, żeby się zorientować w dalszej marszrucie przez Berlin, stolik okazał się jednak na to zbyt mały. Nieważne, przecież i bez tego wiedział, jak ma iść: jeszcze kilkaset metrów Schillerstraße, a potem znajdzie się na Kaiser Friedrichstraße. Zastanawiał się, kim są ci wszyscy ludzie, którzy użyczyli nazwisk mijanym ulicom. Bo Kant i Leibniz, i Schiller to chyba musiały być nazwiska.

Przypuszczalnie gwiazdy hokeja albo nobliści, snuł domysły, ale pewności nie było. Niemcy mają swoje własne zwyczaje, tyle już zdążył zauważyć.

Skinął przyjaźnie głową do kobiety za ladą. Zapłacił już wcześniej, więc nie musiał się wdawać w żadne konwersacje. Opuścił Rick's Café Americain, a kiedy znalazł się na chodniku, stwierdził, że zaczęło mżyć.

Parszywa berlińska pogoda, pomyślał Arne Murberg. Raz taka, raz siaka.

Knobelsdorffstraße okazała się sympatyczną ulicą z cztero- lub najwyżej pięciopiętrowymi domami po obu stronach. Numer 38b znajdował się między dwiema przecznicami: jedna nazywała się Danckelmannstraße, druga – Sophie-Charlotten-Straße. Obie nazwy długie jak węże i na końcu pisane w ten dziwny sposób. Zaczynał podejrzewać, że to nie błąd, jak myślał wcześniej. Może to jest tak, że Niemcy mają też własne litery. Jak Chińczycy i Rosjanie, i kto tam jeszcze.

Ale jak ulice się nazywają, wiedział już na pamięć, bo przecież dokładnie studiował plan i w domu, w K., pod okiem wuja Lennarta, i tu, w Berlinie. Kiedy pchnął drzwi wejściowe pod numerem 38b, przekonał się, że są zamknięte. Zawahał się, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał na chodniku przed niedużą kwiaciarnią. Zaczął się zastanawiać, czy nie wejść i nie kupić bukietu – albo może jakiegoś kwiatka w doniczce – żeby nie być z pustymi rękami, gdy po tylu latach stanie oko w oko z mamą.

Potem jednak uznał, że może lepiej jeszcze nie dzwonić do jej drzwi. Dziś warto tylko zrobić rekone... nie pamiętał dokładnie, jak to się nazywało, ale chodziło mniej więcej o zbadanie sytuacji. I nic więcej. A to oznaczało, że tego dnia musi ustalić, czy Violetta Dufva w ogóle jeszcze mieszka pod adresem, pod którym osiadła ponad trzydzieści lat wcześniej. A jeżeli nie mieszka, spróbować się dowiedzieć, dokąd się wyniosła.

J a k ? Jak powinien postąpić?

Rozmawiali o tym z wujem Lennartem. Naturalnie. Wszystko omówił z wujem Lennartem, tam i z powrotem, i w poprzek, co nie znaczyło, że teraz wszystko gra. Bo kiedy tak stał w jednostajnie siąpiącym deszczu i przyglądał się, jak niemiecki pudel zadziera nogę przy koszu na śmieci, nagle nie mógł sobie przypomnieć nic a nic z tego, co ustalili. Wszystkie przygotowania wyparowały mu z głowy i zaczęło ogarniać go lekkie zniechęcenie. Dwutlenek węgla jakby przestał działać, a on był cały mokry, i kiedy się trochę zastanowił, poczuł się, musiał to przyznać, samotny i dosyć przybity.

No nie, stać w deszczu na jakimś chodniku w Berlinie, nie mając pojęcia co dalej – to naprawdę nic przyjemnego. Na dodatek zrobiło mu się zimno. Dopóki się ruszał, było jeszcze jako tako, ale teraz zauważył, że dzwoni zębami.

Co ja mam począć, Perry? – zadał w duchu pytanie. – Znasz się może na Berlinie?

Perry ukazał mu się w wyobraźni i wyglądał na dosyć strapionego. Potem oparł podbródek na dłoni i przyjrzał mu się: Chyba nie szedłeś tu taki kawał po to tylko, żeby sterczeć na ulicy, gapić się i moknąć? – spytał. Ale powiedział to jak zawsze trochę żartobliwie i całkiem po koleżeńsku.

I w tym samym momencie Arne zauważył, że drzwi pod numerem 38b się otwierają i ktoś z nich wyszedł. Dokładnie z t y c h drzwi. Szybko przebiegł na drugą stronę ulicy – na szczęście nie była zbyt ruchliwa – lecz i tak nie zdążył. Zielone drewniane drzwi zatrzasnęły się z powrotem. Kilka razy szarpnął za klamkę – na próżno. A mężczyzna, który właśnie wyszedł, zniknął za rogami. Wystawę sklepu tuż obok osłaniał nieduży wystający daszek i pod nim przynajmniej można było schronić się przed deszczem.

Chociaż tyle. Arne Murberg objął posterunek. Gdy tylko znów ktoś wyjdzie, skorzysta z okazji i wślizgnie się do środka. Wciąż jeszcze było mu zimno i czuł się trochę wystraszony. Właściwie czym? – zadał sobie pytanie. W domu, w K., nigdy się nie bał, ale przecież między K. a Berlinem jest różnica. Może ciotka Polly miała rację, kiedy ostrzegała go przed tym miastem? Siedlisko grzechu, mówiła, cokolwiek to znaczyło. Raczej nic dobrego. Poza tym nie miał

pewności, co powinien zrobić, jeśli rzeczywiście uda mu się wejść, dlatego chcąc dać sobie szansę, żeby móc na razie przed tym wszystkim uciec, spojrzął na zegarek (który dostał na Gwiazdkę od ciotki Polly dwa czy trzy Boże Narodzenia wcześniej) i postanowił poczekać dziesięć minut. Dokładnie dziesięć minut i ani sekundy dłużej. Jeżeli drzwi się w tym czasie nie otworzą, obróci się na pięcie i pójdzie do hotelu Munck. Tą samą drogą, którą przyszedł, tylko w odwrotną stronę.

Ledwie zdążył tak pomyśleć i zaczął obserwować powolną wędrówkę wskazówki sekundnika wokół tarczy, przypomniały mu się słowa ojca wypowiedziane na łożu śmierci.

„Odszukaj swoją matkę w Berlinie. To jest zadanie, które ci daję, mój synu”.

A potem jeszcze:

„Ale życie trzeba doprowadzić do końca, a są rzeczy, których nie wolno zostawić nieuregulowanych. Rozumiesz, co to znaczy nieuregulowane?”.

Miał wrażenie, jakby słyszał jego głos w swojej głowie albo jakby ten głos dochodził gdzieś z góry, z deszczowego nieba nad Berlinem. Niebo nad Berlinem – to brzmiało znajomo. A głos taty Torstena brzmiał jeszcze bardziej znajomo. Zrozumiał, że nie może go zawieść. Jego zmarły ojciec nie spuszcza go z oka, jakkolwiek to możliwe. Nie wolno mu więc się obijać i myśleć o sobie, mimo że jest całkiem sam, przemoknięty i zmarznięty jak pies i nie ma zielonego pojęcia, jak powinien... doprowadzić je do końca.

Ale musiał przynajmniej spróbować, tyle rozumiał. Musiał dać z siebie wszystko, inaczej tata Torsten wróci i będzie mu gderał w głowie dzień w dzień, wiecznie. Tak to już jest. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej powierzono mu jakieś zadanie, a już na pewno nie tak ważne. Dlatego powinien się spisać. Teraz albo nigdy.

Tak, tato, słyszę cię, wymamrotał, nie odrywając wzroku od zegarka. Jestem już blisko. A ty teraz idź i się połóż, i bądź martwy, możesz na mnie polegać.

Minęło osiem minut i trzydzieści pięć sekund, kiedy drzwi znowu się otworzyły. W tym czasie Arne zdążył odkryć, że na ścianie obok wejścia jest cała lista nazwisk z oddzielnymi przyciskami dzwonka przy każdym z nich. Ale nigdzie nie było nazwiska Dufva ani Lummersten – tak nazywał się ten śpiewak, z którym mama uciekła. Chociaż on już podobno nie żył, tak samo jak tata Torsten, toteż było raczej mało prawdopodobne, żeby jeszcze mieszkał w tym domu.

A może, pomyślał Arne, może by tak nacisnąć byle jaki przycisk, pierwszy lepszy. Wtedy uda mi się wejść, bo ktoś naciśnie przycisk w swoim mieszkaniu. Nie odważył się jednak spróbować. Kto to wie, za co można zostać aresztowanym w tym kraju.

Znowu ktoś wyszedł. Mówiąc dokładnie: kobieta. Mówiąc dokładnie: kobieta, która według jego pospiesznej oceny wyglądała na sto lat. Co najmniej.

Pchała przed sobą balkonik, a na głowie miała foliową torebkę. Arne domyślił się, że pewnie włożyła ją, żeby ochronić się przed deszczem, który wciąż równo padał. W koszyku balkonika leżała piłka do gry w nogę. Wyglądała na całkiem nową. Gdyby to było w Szwecji, na pewno zwróciłby starszej pani uwagę, że to nie jest dobra pogoda na to, żeby iść grać w piłkę, zwłaszcza jak się ma sto lat, ponieważ jednak nie przychodziło mu do głowy ani jedno niemieckie określenie, by mógł ująć tę życzliwą radę w słowa, dał sobie spokój. Przecisnął się tylko obok niej i w ostatniej chwili, zanim drzwi się zatrzasnęły, wsunął w nie stopę. Kobieta obróciła głowę, spojrzała na niego podejrzliwie i powiedziała coś niezrozumiałego.

– *Es regnen* – rzucił Arne i wśliznął się do środka. – *Danke bitte*.

Wszedł do klatki schodowej. Unosił się w niej zapach środków czystości. Wyglądała na zadbaną i dosyć ładną, a zaraz po prawej wisiała kolejna tablica, na której wypisano nazwiska wszystkich co do jednego mieszkańców domu. Prawdopodobnie te same co na zewnątrz, ale Arne zaczął je powoli czytać po kolei, od góry do dołu. Nic to nie dało. Także na tej liście nie

było ani Dufvy, ani Lummerstena.

Stwierdził to dokładnie w momencie, gdy w głębi klatki z windy wysiadła jakaś młoda para. Postanowił skorzystać z okazji. Tyle że niestety akurat zapomniał, jak mówi się po niemiecku przepraszam, wyciągnął więc rękę do góry, aby zasygnalizować, że chce o coś zapytać. Młodzi ludzie zatrzymali się i popatrzyli na siebie trochę zdezorientowani. Mężczyzna coś powiedział i Arne domyślił się, że pewnie chciał wiedzieć, o co chodzi, co wydawało się jak najbardziej rozsądne. Zsunął więc z ramion plecak i wyjął z niego notes.

– *Moment danke.* – Przypomniawszy sobie.

Młoda kobieta skinęła głową. Uśmiechnęła się do niego nieznacznie, co wydało mu się obiecujące. Miała ciemne włosy związane wysoko żółto-czerwoną wstążką. Arne uważał, że jest ładna. Mężczyzna wyglądał bardziej przeciętnie, mniej więcej jak zwykły klient sklepu tytoniowego.

Otworzył notes na ostatniej stronie, na której wuj Lennart z myślą o takich właśnie sytuacjach sformułował informację:

ICH SUCHE MEINE MUTTER. IHRE NAME IST VIOLETTA DUFVA ODER VIELLEICHT VIOLETTA LUMMERSTEN. SIE WOHNTE HIER IN DIE ACHTZIGEN, VIELLEICHT SPÄTER. KÖNNEN SIE MIR HILFEN?¹

Die Achtzigen to lata osiemdziesiąte, twierdził wuj Lennart. *Später* znaczy później. Młoda kobieta uniosła brwi i przyjrzała się Arnemu z miną, której nie potrafił zinterpretować. Jeden z kącików jej ust lekko drgnął. Potem popatrzyła na swojego partnera, który też wydawał się lekko zmieszany.

– *Sprechen Sie Deutsch?* – spytał.

– *Nur ein biss* – odpowiedział Arne. – *Isch bin Schweden.*

– Hm... – odparł mężczyzna. – *And you are looking for your mother?*

To było po angielsku, Arne zorientował się od razu i potwierdził kiwnięciem głową. Zgadza się, przyjechał tu i poszukuje swojej matki, o to właśnie chodzi.

Kobieta roześmiała się i wzruszyła ramionami. Wskazała palcem na zdanie w notesie, który Arne wciąż trzymał przed sobą, i powiedziała coś, co zabrzmiało jak *die Achtzigen*.

– *Ja, ja* – potwierdził. – Ona przyjechała tutaj tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dwa... tak około.

Powiedział to po szwedzku. Jeśli w języku niemieckim jest coś szczególnie trudnego, to są to daty, a zwłaszcza lata.

Mężczyzna rozłożył ręce.

– *Keine Ahnung, sorry.*

– *Wir sind... we have only lived here two years* – dodała kobieta, unosząc dwa palce.

Arne uświadomił sobie, że żadne z nich nie jest jeszcze w takim wieku, żeby mogli tu mieszkać trzydzieści lat temu, i domyślił się, że te dwa palce znaczą, że mieszkają tutaj dwa lata. Był zadowolony, że się tego domyślił, ale jednocześnie poczuł, że traci zapał. Bo jeśli nawet jego mama spędziła tu trochę czasu ze swoim tuba... trubadystą?... to pewnie strasznie dawno temu się wyprowadziła. Albo nie? Próbował sobie przypomnieć, jakie wskazówki dał mu wuj Lennart na wypadek gdyby stało się właśnie to, co się stało, ale jego mózg wydawał się kompletnie wyczyszczony i mniej więcej takiej wielkości jak kula bilardowa.

– *You look very wet* – powiedział mężczyzna.

– *Isch bin... very zmęczony* – wyznał Arne. W tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe. Do domu wracała stuletnia kobieta. Musiała mieć do załatwienia tylko jakiś drobiazg, pomyślał. Bo minęło co najwyżej pięć minut, od kiedy wyszła. Młody mężczyzna nagle się rozpromienił, jakby wpadł na jakiś pomysł.

– *Frau Hönchen!* – wykrzyknął. – *Vielleicht können Sie uns helfen?*

Arne milczał. Starsza pani zdjęła z głowy foliową torbę i wlepiała wzrok w całą trójkę. Piłka zniknęła z koszyka. Arne był ciekaw, co się z nią stało. Może oddała ją do napompowania w pobliskim sklepie sportowym, tak przynajmniej robi się w domu, w K. Albo przynajmniej robiło kiedyś. Nie miał pojęcia, skąd czerpał tę wiedzę, ale w tym momencie nie odgrywało to żadnej roli. Piłki nie było, i zupełnie obojętne, gdzie się podziało.

– *Guten Tag* – powiedział. – *Isch bin Arne und...*

Nie przyszedł mu do głowy żaden dobry ciąg dalszy, lecz młoda kobieta przytomnie sięgnęła po notes, który wciąż trzymał w ręce, i pokazała staruszce napisaną drukowanymi literami informację. Stulatka przestała się w nich wgapiać, tylko zmrużywszy oczy, wyciągnęła z kieszeni płaszcz okulary. Arne i młoda para czekali cierpliwie, aż włoży je na nos i zacznie czytać.

– *Ach, die Dufva?!* – wykrzyknęła w końcu.

Zdjąwszy okulary, dźgnęła swoim krzywym palcem Arnego w pierś, a potem wyrzuciła z siebie długi i skomplikowany potok słów zakończony bulgoczącym śmiechem. Czekwała na jego reakcję, na to, żeby się odezwał.

– *Nix verstanden* – bąknął Arne.

– *Sie hat hier gewohnt... deine Mutter, ja? Im dritten Stock.*

A potem powiedziała coś, co brzmiało jak data. Arne nie bardzo wiedział, co myśleć, na szczęście znowu włączyła się młoda kobieta. Wyjęła długopis i wzięła Arnego pod rękę. Wskazała na jego notes.

– *Deine Mutter?*

– *Ja?*

– *Violetta Dufva?*

Dziwnie wypowiadała nazwisko, ale może po niemiecku ten ptak nazywa się inaczej. Bez słowa kiwnął głową.

– *Sie hat hier... in diesem Haus... gewohnt...*

– *She has lived here* – wtrącił mężczyzna.

Znowu angielski, ale fakt faktem: zaczynał rozumieć. Zwłaszcza gdy widział ich przyjazne potakiwanie. Jego mama rzeczywiście mieszkała w tym domu. Ale to właściwie już chyba wiedział, tak czy nie?

Stuletnia kobieta dodała coś jeszcze, a ta znacznie od niej młodsza odpowiedziała. Potem zwróciła się znów do niego:

– *Bis...* – i powtórzyła datę, jednocześnie zapisując mu ją w notesie i na wszelki wypadek jeszcze podkreślając.

2005.

– *Dann pschutt* – uzupełniła staruszka. A przynajmniej tak to brzmiało. – *Putz weg!*

Wszyscy troje zaczęli o czymś z ożywieniem rozmawiać. Arne oparł się zmęczony o ścianę i utkwiał wzrok w zapisanej dacie. Szybko policzył i doszedł do wniosku, że od tamtego roku minęło jakieś dziesięć lat. Czy to znaczy, że jego mama mieszkała tutaj do tamtej pory, do roku 2005, a potem się wyprowadziła?

W takim razie dokąd? Nie rozumiał ani w ząb, co ta trójka Niemców mówi między sobą, ale przynajmniej sprawiali wrażenie, że interesuje ich jego problem. Po kilku minutach młody mężczyzna zwrócił się do niego:

– *Bitte warten Sie hier.*

– *Warten?* – powtórzył Arne.

– *Wait* – powiedział mężczyzna. – *Zostać.*

Wykonał uspokajający gest, i Arne zrozumiał, że coś się dzieje. Ma czekać.

Stał więc dalej oparty o ścianę. Tamten też się oparł, chociaż on akurat nie musiał. Wyglądał na dosyć dobrze wytrenowanego. Prawie jak sportowiec. Arne zaczął się zastanawiać, czy nie mógłby być tyczkarzem, bo przypominał mu takiego jednego, którego widział w telewizji. Chociaż pewnie większość tyczkarzy, wszystko jedno z jakiego kraju, wygląda podobnie... są dobrze wytrenowani, umięśnieni i w ogóle. Dlaczego stoję tutaj i dumam o tyczkarzach? – zapytał samego siebie. Przecież chyba nie po to tutaj przyszedłem?

Westchnął i próbował wymyślić cokolwiek, co mógłby powiedzieć. Młoda kobieta i starsza pani wsiadły do windy i zniknęły.

– *Schweden* – powtórzył młody mężczyzna i uśmiechnął się do Arnego przyjaźnie.

– *Genau. Schweden* – odparł Arne.

– Zlatan Ibrahimowic – rzucił mężczyzna.

– *Sehr schön* – bąknął Arne.

Potem zapadła cisza. Minęło kilka minut. Arnemu chciało się i sikać, i jeść, musiał jednak wytrzymać. W każdym razie na pewno nie zamierzał znowu popełnić błędu i sikać w parku. Ale jak tylko stąd wyjdzie, może znajdzie jakąś knajpkę, w której będzie też toaleta. Ta myśl trochę go ożywiła i wyzwoliła falę bąbelków. Zastanawiał się gorączkowo, z jakim by tu zdaniem wystrzelić po niemiecku, żeby przerwać ciszę, gdy nagle z windy wyszła młoda kobieta.

Wyglądała na zadowoloną. W ręce trzymała kartkę. Podała ją Arnemu. Zmarszczył czoło i przeczytał. Albo próbował przeczytać, bo to była jeszcze jedna z tych ulic ze zbyt dużą liczbą liter:

Kyffhäuserstraße 52 Tel. 030 131 2828

I w ciągu kilku sekund wszystko stało się dla niego jasne. Naprawdę mu się poszczęściło. Stuletnia kobieta mieszkała w tym domu przez całe życie i wszystko wiedziała. Wiedziała na przykład, że Violetta Dufva mieszkała tu do 2005 roku. Kiedy się wyprowadzała, zostawiła jej nowy adres i numer telefonu. Ponieważ były sąsiadkami.

Tak się robi. Na wypadek gdyby przyszła paczka albo zjawili się krewni, którzy nie wiedzieli, gdzie się ten ktoś podziewa. Oczywiście, pomyślał Arne. Sprawa jest jasna, teraz wiem, gdzie mieszka mama. Kyff...straße 52!

– *Sehr gut!* – powiedział, wtykając kartkę na sam koniec notesu. – Wszystko rozumiem. *Danke danke.*

Młody mężczyzna i młoda kobieta uśmiechnęli się do niego, po czym wszyscy troje wyszli na ulicę. Życie wydawało się proste i lekkie. Jak letni dzień dla motyla. Kiedyś, kiedyś, gdy jeszcze nie był melancholijny i zanim umarł, tak właśnie mawiał tata Torsten.

„Mój synu, życie powinno być jak letni dzień dla motyla”.

O ile Arne dobrze pamiętał, powiedział też, że gdzieś to wyczytał. To było zdanie z jakiejś książki, która na zawsze pozostała mu w pamięci. Arne pomyślał, że pewnie z jednej z tych dwudziestu czy trzydziestu, które stały w wydaniach kieszonkowych na półce przy jego łóżku.

I właśnie w tym momencie na Knobelsdorffstraße w sercu Berlina przestało padać.

Trzy godziny później był już z powrotem w swoim pokoju w hotelu Munck. Po drodze wstąpił do lokalu, który nazywał się Ristorante Italiano, i zjadł dużą pizzę z sosem berneńskim i kawałkami mięsa. Jego stolik był chybotliwy i trochę się kleił, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że mógł skorzystać z toalety, a do pizzy wypił pół litra coca-coli. Tak więc problem głodu został na razie rozwiązany. Cała uczta kosztowała osiemnaście euro, dodał jeszcze dwa i zostawił dwudziestkę. Wiedział, że tak się robi, wuj Lennart nie musiał mu nic mówić.

Poza tym znalazł drogę do hotelu i ani razu się nie pomylił. Zaczynam się całkiem nieźle orientować w Berlinie, stwierdził, kiedy wszedł do hotelowego lobby. Skinął przyjaźnie do dziewczyny z recepcji, jakby się znali całe życie.

– *Guten Abend, Herr Murberg* – powiedziała, posyłając mu uśmiech. Mógłby być jej szefem albo kuzynem, albo kolegą z dzieciństwa, a nie tylko gościem hotelowym.

– *Guten Abend* – odpowiedział Herr Murberg.

Języka też się jeszcze nauczę, wystarczy tylko mieć otwarte uszy, stwierdził w duchu.

Tymczasem pojawiły się dwa nowe problemy, z którymi musiał się uporać. Ale takie już jest życie, Arne Murberg to wiedział. Nigdy nie ma całkowitego spokoju i luzu, zawsze są jakieś sprawy, małe i duże, proste i bardziej skomplikowane, które trzeba rozwiązywać. Zwłaszcza kiedy się wyjeżdża w obce miejsca gdzieś w dalekim świecie.

Po pierwsze, jego plan Berlina ucierpiał od deszczu i wiatru i stopniowo rozpadał się na kawałki. Kiedy rozłożył go na łóżku i przez jakiś czas ostrożnie suszył gorącym powietrzem – z suszarki, którą ktoś zapomniał zabrać z jednej z szuflad w szafie – zaczął wierzyć, że dalej będzie mógł z niego korzystać. Mógłby gdzieś kupić rolkę taśmy klejącej i załatać nią najbardziej sfatygowane miejsca. Na przykład Tiergarten, gdzie powstała duża dziura.

Drugi problem polegał na tym, że nie mógł znaleźć swojego telefonu. Chciał go wyjąć z plecaka i spróbować zadzwonić pod nowy numer mamy Violetty, i może jeszcze sprawdzić, czy nie przysłała nowa wiadomość od mądrali wuja Lennarta.

Ale choć przekopał i wywrócił do góry nogami cały plecak, komórki nie było. Nie znalazł jej też w żadnej kieszeni kurtki, a tym bardziej spodni. To naprawdę wkurzające, pomyślał i zaczął odtwarzać w myślach cały dzień, żeby ustalić, gdzie się mogła podziać. Nie wyjmował jej ani kiedy jadł pizzę, ani na Knobelsdorffstraße. Tego był pewny. Ale niewykluczone, że wyciągnął ją, kiedy pił kawę, idąc w tamtą stronę. W tamtej kawiarni, wszystko jedno jak się nazywała, z kelnerką z kręconymi włosami, przy stoliku obok drzwi... czy to nie tam dostał wiadomość od wuja Lennarta?

Zgadza się, pomyślał. Tak było. To tam musiałem ją zostawić.

O ile sama nie wypadła mu tak po prostu z plecaka. W takim wypadku szanse na jej odzyskanie wydawały się całkiem małe.

Prawdopodobnie nie były też wcale takie spore, jeśli została w kawiarni. Skupił się, chciał sobie przypomnieć, jak się nazywała. Chyba coś z Ameryką, ale więcej nie pamiętał. Zresztą i tak nie miał ochoty iść z powrotem tak daleko i pytać, gdzie się da. Ani trochę. A czy to denerwujące urządzenie jest mi w ogóle potrzebne? – zadał sobie pytanie. Jedyny pożytek z niego to masa zbędnych wiadomości od wuja Lennarta i ciotki Polly. O pogodzie w Berlinie i innych bzdurach. Nie, mam gdzieś komórkę, do diabła z nią. Naprawdę.

Poza tym na szafce nocnej stał starodawny aparat, jak należy, z kablem, słuchawką i w ogóle. Jeśli będzie chciał zadzwonić, może przecież skorzystać z niego. To oczywiste.

Zadowolony ze swojej decyzji poszedł do łazienki i napuścił wody do wanny. Pora

porządnie się ogrzać. A potem ubrać w czyste rzeczy.

Z telefonem stojącym przy łóżku coś było nie tak. Kiedy próbował wykręcić numer, który dostał, po trzech czy czterech cyfrach w słuchawce zaczynało coś gorączkowo pisać. Nic też nie dało, gdy zmienił kolejność cyfr.

Nie to nie, zdecydował. Może zdoła wyjaśnić młodym kobietom z recepcji, że muszą wymienić aparat w jego pokoju, albo poprosić je, żeby mu pomogły zadzwonić z dołu. Jednocześnie doszedł do wniosku, że nie ma specjalnego pośpiechu. Zdażył się już przyzwyczaić do Berlina i raczej nic się nie stanie, jeśli przesunie spotkanie z matką o kilka dni.

Ubrał się i postanowił wyjść do miasta coś zjeść. Najchętniej *Bratwurst mit Kartoffelsalat*, to podobno klasyczna niemiecka rzecz. Umiał wypowiedzieć tę nazwę całkiem nieźle, mimo że była długa i skomplikowana, ale jeszcze tego nie spróbował. A jest dosyć duża różnica między zjedzeniem jakiejś potrawy a jedynie wypowiedzeniem jej nazwy, pomyślał. Niebotyczna, jak mówiła ciotka Polly. Tak czy owak dochodziło już wpół do siódmej i znowu burczało mu w brzuchu.

Zanim wyszedł, usiadł jeszcze przy biurku i przeliczył kasę. Banknoty ułożył w równych kupkach, monety w stosikach. Całość wyglądała bardzo ładnie, a kiedy porachował wszystko trzy razy z rzędu, doszedł do wniosku, że obecnie posiada pięćset trzydzieści osiem euro i siedemdziesiąt centów. Jeśli dobrze rozumiał wuja Lennarta, była to równowartość ponad czterech tysięcy koron szwedzkich, co oznaczało, że jeszcze przez wiele dni nie będzie musiał korzystać z tej niepewnej plastikowej karty. Od razu poczuł się lepiej, bo co prawda wuj wiele razy objaśniał mu, jak ona działa, a nawet własnoręcznie przetestował ją w automacie w K., mimo to nie miał przekonania, że równie łatwo poszłoby mu z nią w takim kraju jak Niemcy. Na przykład poprzedniego dnia wieczorem w restauracji była totalna kłapa.

To zmartwienie może jednak odsunąć na później i ewentualnie przedyskutować je z Perrym Masonem, kiedy już nie da się inaczej. Na razie niezbyt często korzystał w Berlinie z jego usług, poprosił go tylko o dwie drobne rady, sądził jednak, że znakomity adwokat wcześniej czy później będzie musiał porządnie go wesprzeć.

Ale dosyć tego. Najwyższa pora coś zjeść. Ponieważ nie planował długiego spaceru, zostawił w pokoju zarówno kartę, jak i słownik z plecakiem i wyposażony jedynie w pękaty portfel i własny rozsądek ruszył na poszukiwanie bratwurstu.

Plan okazał się równie nieudany jak telefon stojący na nocnej szafce. Arne obszedł wzdłuż i wszerz trzy albo cztery kompleksy budynków, przestudiował jadłospisy przed pięcioma albo sześcioma restauracjami, których akurat nie brakowało, żadna z nich jednak nie miała na tyle wyczucia, żeby umieścić w swoim menu tak typową niemiecką potrawę jak *Bratwurst mit Kartoffelsalat*. Były natomiast przeróżne tureckie – jak się zdaje – specjały, i chińskie, i libańskie, i Bóg wie jakie, ale nigdzie zwyczajnej, ale doskonałej pieczonej kielbasy z sałatką kartoflaną. Arne nie mógł rozumieć, co też kryje się za takim zaniedbaniem, ale gdy znowu zaczęło padać, postanowił całkowicie zmienić taktykę. Właśnie mijał coś w rodzaju kiosku albo sklepiku, a ponieważ wyglądało na to, że można w nim dostać dosłownie wszystko, wszedł do środka. Przecież równie dobrze mogą zjeść u siebie w pokoju, i to na przykład leżąc na łóżku i oglądając telewizję.

Sprzedawca kiepsko mówił po niemiecku, mimo to po dwudziestu minutach Arne miał torbę pełną produktów, które powinny go uratować przed śmiercią głodową w najbliższy wieczór i najbliższą noc.

Trzy paczki chipsów o różnych smakach, dwa opakowania suchych kielbasek, jedna podłużna paczka czekoladowych ciastek, dwie torebki cukierków, duża puszka mieszanych orzeszków i dwa litry coca-coli. Gburowaty mężczyzna ze sklepu wbił wszystko po kolei na

kasę, zapakował do foliowej torby i oznajmił, że do zapłacenia jest... no właśnie, ile? Jego niemiecki był naprawdę fatalny. Arne podał mu pięćdziesiąt euro w jednym banknocie i dostał kilka mniejszych i parę monet reszty.

– Dobranoc, mały człowieku – powiedział po szwedzku i wyszedł na deszcz, który rozpadał się już na dobre. Przystanął na chodniku, przez chwilę niezdecydowany, w którym kierunku powinien się udać, ale kiedy po drugiej stronie ulicy, prawie naprzeciwko, zobaczył sklep meblowy, zrozumiał, że musi jedynie skręcić za róg i już będzie w hotelu Munck.

Kein Problem, pomyślał i ruszył najszybciej, jak potrafił, aby uciec przed podstępny berlińskim deszczem.

Dzień trzeci

– *Currywurst?* – spytał mężczyzna z rudym wąsem. Włosy miał czarne, ale wąsy czerwone jak wóz strażacki.

– *Genau* – odpowiedział Arne.

– *Mit Brot?*

– *Jawohl.*

Stał przed budką z kielbaskami w Tiergarten, w dużym parku w samym centrum Berlina. Przez całe przedpołudnie czuł się nie najlepiej, nawet śniadanie w hotelu niezbyt mu smakowało. Podejrzewał, że coś mogło być nie tak z suchymi kielbaskami, które spałaszował wieczorem. Albo zaszкодziły mu ciastka bądź chipsy. Ale dochodziła już druga i teraz znowu był w dość dobrej formie. Deszcz wyjątkowo nie padał, a on z czegoś, co nazywało się Bahnhof Zoo, wszedł do parku, minął dwa potoczki i ruszył na chybił trafił krętymi ścieżkami. W parku było cicho i spokojnie, co po wszystkich wydarzeniach i kłopotach pierwszych dni bardzo mu odpowiadało.

Zrobię sobie dzisiaj wolne, postanowił. Wuj Lennart upominał go, żeby coś sobie też obejrzał, skoro już będzie w Berlinie. Byłby wstyd, gdyby tego nie zrobił. Brandenburger Tor, Unter den Linden, Potsdamer Platz, Friedrichstraße, Museuminsel. Miał w notesie całą listę. A notes w plecaku. A plecak na plecach.

I Tiergarten. To park, w którym mogło się zdarzyć dosłownie wszystko i gdzie Niemcy mieli zwyczaj opalać się nago. Chociaż tego dnia Arne nie widział ani jednego Niemca opalającego się nago. Co prawda niebo było częściowo niebieskie, a słońce wychodziło i zachodziło, ale było nie więcej niż dziesięć stopni. W takich warunkach chyba raczej nie leży się na trawie, dygocząc z zimna, na kocach i ręcznikach kąpielowych? Uznał, że decydująca była w tym wypadku temperatura, chociaż oczywiście trudno mieć pewność.

Dostał tekturowy talerz z kawałkami kielbasy w czerwonym zawieszonym sosie. I okrągłą bułkę.

– *Etwas zu trinken?*

– *Nein* – odpowiedział i podał sprzedawcy pięć euro. Otrzymał półtora euro reszty. Tanio. *Currywurst*, zapamięta sobie. A nawet *Berliner Currywurst*.

To znaczy jeśli będzie dobra, a już po pierwszym kęsie przekonał się, że jest. Naprawdę dobra. Budka z sympatycznym sprzedawcą nazywała się *Imbiss*. Może to jego nazwisko. Helmut Imbiss – dlaczego nie? Postanowił zapamiętać i jego.

A więc miał wolny dzień. Obowiązki mogą poczekać do jutra, w końcu numer telefonu i adres przechowuje w bezpiecznym miejscu. Poza tym naniósł na plan miasta nowy krzyżyk, tak więc na pewno odnajdzie mamę w któryś z najbliższych dni. Violetta Dufva... znowu ujrzał oczami wyobraźni, jak siedzi z nią w kawiarni, ona jest ubrana w swój gołębioszary kostium (ten kolor nie nazywa się gołęboniebieski, zdecydował, bo przecież gołębie nie są, do cholery, niebieskie, tak czy nie?) i razem piją kawę, i jedzą ciastka. Ona uśmiecha się do niego i opowiada o swoim życiu w Berlinie, on włącza się z sympatycznymi i celnymi anegdotami z K., a między nimi, na stoliku, stoi to tajemnicze płaskie pudełeczko.

Usiadł na ławce i zjadł do końca kielbaskę i bułkę. Poczuł, że od długiego chodzenia zmęczyły mu się nogi i stopy. Nigdy w całym swoim życiu Arne Murberg nie chodził na piechotę tyle co podczas tych pierwszych dni w Berlinie. Wiedział, że jego kondycja nie jest klasy światowej. W domu, w K., rzadko pokonywał odcinki dłuższe niż ten od sklepu tytoniowego do Frithiofs gata, a teraz zostawiał za sobą przecznicę za przecznicą, przemierzał kilometr za kilometrem to gigantyczne miasto w poszukiwaniu swojej mamy, wykonując zadanie, którego

nie mógł zawalić. Czuł się niemal tak, jakby grał główną rolę w jakimś filmie, jakby... jakby to wszystko tutaj nie było prawdziwe, ludzie przechadzający się po parku, odległy zgiełk miasta, dwaj joggerzy w czerwonych dresach, którzy go minęli, pani z psem, na pewno owczarkiem niemieckim, tamci gorączkowo rozmawiający i gestykulujący mężczyźni, którzy wyglądali na Chińczyków, a może byli Japończykami, tak samo jak kelnerka z restauracji, w której siedział pierwszego wieczoru i...

Zauważył, że chyba zaraz zaśnie. Wyrzucił papierowy talerz (*Pappteller*, przypomniało mu się nagle) do kosza na śmieci przy ławce, a ponieważ akurat w tym momencie zza cienkiej zasłony chmur wyjrzało słońce, zdecydował, że utnie sobie krótką drzemkę. Dziesięć minut albo kwadrans, zasłużył na to. Podłożył plecak pod głowę jak poduszkę, buty postawił pod ławką i wyciągnął się na plecach. Jak przyjemnie, pomyślał, jak niesamowicie przyjemnie jest leżeć na ławce w parku w Berlinie, machać palcami u nóg i trawić to, co się zjadło, *Currywurst mit Brot*, czuć słońce na twarzy, tak, naprawdę...

Raptem się ocknął. Ktoś zawołał jego imię.

A przynajmniej tak to brzmiało. Kobięcy głos, jeśli się nie mylił. Usiadł i rozejrzał się dookoła. Przy wejściu do parku – jednym z wielu – nadal kłębiło się dużo ludzi, nie widział jednak nikogo, kto wyglądałby tak, jakby czegoś od niego chciał. Nikt nie machał ku niemu ani się nie zbliżał. Musiało mi się przyśnić, pomyślał, ale to nawoływanie nie dawało mu spokoju. W każdym razie była to starszawa pani, i nagle zrozumiał, że to musiała być jego mama.

Tak, na pewno. Mama Violetta przyszła do niego we śnie, gdy leżał i drzemał na ławce w parku akurat w tym samym mieście, w którym ona mieszka – i mieszkała tak naprawdę mniej więcej tak długo, jak długo Arne Murberg, jej syn, żyje. Istnieją rzeczy, których nie da się zrozumieć, nie potrafią tego nawet normalni ludzie, tacy, którzy nigdy nie skoczyli na główkę do jeziora, ani nawet Perry Mason, i to właśnie była jedna z takich rzeczy. Może jego mama czekała na niego przez wszystkie te lata i wiedziała, że kiedyś się zjawi, sama zaś z wielu różnych powodów nie mogła się z nim skontaktować... tak, kiedy się lepiej zastanowił, czując na twarzy solidnie grzejące niemieckie słońce, nie potrafił znaleźć nic, co przemawiałoby przeciwko takiej wersji wydarzeń. *L o s*, stwierdził zadowolony, ale i trochę zasmucony, to wspólny los mojej mamy i mój, i nic innego. Trzeba żyć dla siebie nawzajem.

Pochylił się, aby włożyć buty, i nagle wszystko się zmieniło.

Nie było ich. Jego szaro-czarne buty Ecco nie stały już pod ławką. To przecież...

Stanął na ziemi w samych skarpetkach, zgiął się w pół i sprawdził dokładnie. Po prawej i po lewej, zajrzał nawet do kosza na śmieci, tak na wszelki wypadek, ale butów nigdzie nie było. Dobrze pamiętał, gdzie je postawił, dokładnie pośrodku pod ławką, ale pośrodku pod ławką w tym momencie znajdowało się jedynie... nic.

Usiadł z powrotem.

Ktoś musiał je ukraść, kiedy spał. Jakiś niemiecki złodziej przyciął się i capnął mu oba buty, kiedy on leżał sobie w najlepsze, trawił *Currywurst* i śnił o swojej mamie Violetcie. Prawdopodobnie tak to się odbyło. To naprawdę przykre. Spojrzał na swoje stopy w niebieskich skarpetkach. Niewątpliwie wyglądały na zasmucone. Pomyślał, że trudno się dziwić. Umordowały się tutaj, w Berlinie, jak nigdy dotąd, nachodziły po ulicach, jakby miały obejść dookoła całą kulę ziemską, a teraz... teraz ktoś podprowadził ich jedyną pociechę, ich jedyną radość: buty. Niech to szlag.

Bez butów w Berlinie, pomyślał Arne. Przypomnił sobie, że kiedyś zaczął oglądać film *Bez majtek w Tyrolu*, ale to tutaj – to było zupełnie co innego. Tamten film go zmęczył i zmęczony czuł się także teraz. Zmęczony i smutny. Do tej pory Niemcy robili na nim dobre wrażenie, okazali się ludźmi bardzo sympatycznymi i uczynnymi, ale to zdarzenie obniżało im

ocenę. Odjęło dwie gwiazdki z pięciu, pomyślał. Co najmniej.

Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Perry Mason, pomyślał. Co ty na to powiesz?

Trwało to chwilę, w końcu Perry pojawił się w jego głowie. *Problemy?* – spytał.

Problemy, przyznał Arne. Ukradli mi buty. *Aha?* – powiedział Perry. I co ja mam teraz zrobić?

– spytał Arne. *Musisz kupić nowe*, odrzekł Perry. Też tak uważam, przyznał Arne. Tylko gdzie?

Może w sklepie obuwniczym? – zaproponował Perry. Okej, powiedział Arne, a jak się tam dostanę? *Chcesz tam iść w skarpetkach?* – spytał Perry. Nie, dziękuję, zaprotestował Arne, chyba lepiej nie, myślisz, że powinienem? ...*wziąć taksówkę*, dokończył Perry.

To było w rozmowach z Perrym Masonem najlepsze, stwierdził. Perry jakoś tak umiał mu pomagać, że nagle on sam wpadał na najlepsze rozwiązania. Albo prawie sam. Przypominało to sytuację, kiedy adwokat przesłuchuje ludzi podczas procesu jako świadków: oni też mieli odpowiedzi w sobie, chociaż o tym nie wiedzieli.

Dopóki Perry ich z nich nie wydobył.

Świetnie, pomyślał Arne. Dzięki za pomoc, Perry. Oczywiście, że wezmę taksówkę i pojedę do sklepu obuwniczego. W końcu, do diabła, tam stoi cała masa taksówek.

Kiedy siadał na tylnym siedzeniu, taksówkarz rzucił okiem na jego stopy, ale nic nie powiedział. Arne nie miał pojęcia, jak jest sklep obuwniczy po niemiecku, toteż przez chwilę wyjaśniał, co się stało, po szwedzku i gorączkowo kartkował słownik. Chociaż nie znalazł odpowiedniej nazwy, mimo to przekaz chyba w końcu dotarł. Włączyli się do ruchu, który był dosyć duży, kierowca jechał ostro i wydawał się gburowaty, może był spokrewniony ze sprzedawcą ze sklepiku – rzeczywiście wyglądali trochę podobnie: te same mięsiste nosy i te same cierpkie kąciki ust. Po niecałych pięciu minutach zatrzymali się przed budynkiem, który musiał chyba być domem towarowym. I to raczej gigantycznym. Wyglądał na co najmniej dziesięć pięter i był tak masywny, że zajmował całą szerokość ulicy. Masy znajdowały się też przed wejściem. Ludzi. Z dziesięć tysięcy albo coś koło tego, oszacował Arne.

– KaDeWe – oznajmił taksówkarz.

Arne nie wiedział, co to znaczy, ale taksometr pokazywał 8,70, podał mu więc dziesięć euro.

– Jest w porządku.

Mężczyzna zrozumiał także i to bez tłumaczenia. Arne podziękował, wysiadł i zaczął się przepychać do domu towarowego.

Jeśli na chodniku przed wejściem było z dziesięć tysięcy ludzi, to za drzwiami kłębiło się co najmniej dwadzieścia. Wszyscy w butach. Arne miał nadzieję, że nie jest zabronione chodzenie w samych skarpetkach. Nie chciałby zostać znowu aresztowany, za nic w świecie, toteż na wszelki wypadek starał się, jak mógł, ukrywać swoje stopy. Było to trochę skomplikowane, ale ponieważ wszyscy zdawali się pochłonięci tym, co chcieli znaleźć w chaosie błyszczących towarów, a na dodatek było ich tylu, zakładał więc, że mu się uda. Nikt nie patrzył w dół. Niemcy to naród trzymający się prosto, patrzą przed siebie i w górę. Przynajmniej podczas zakupów, a wyglądało na to, że tego popołudnia robili je chyba wszyscy. Wszyscy berlińczycy z całego Berlina.

Nasuwało się pytanie, jak ma trafić do działu z butami. Na parterze raczej go nie było, tam rozchodziły się najrozmaitsze piękne zapachy perfum, dezodorantów i mydeł toaletowych. Na szczęście w końcu udało mu się znaleźć drogę do rzędu schodów ruchomych. Trochę na oślep wjeżdżał kilka razy na górę i zjeżdżał z powrotem w dół, wypatrując czegoś, co by przypominało buty, lecz bez powodzenia. Szybko zrezygnował i postanowił przeczytać informacje na ogromnej tablicy na parterze, która, jeśli dobrze widział, wisiała mniej więcej obok miejsca, gdzie wszedł. W końcu znalazł na niej niemieckie słowo *Schuhe*... Był raczej pewny, że kryje się za nim to, czego szuka. Obok widniała cyfra 3, co powinno znaczyć, że właśnie tam sprzedawane są buty. Wrócił na schody, bez szczególnych problemów wjechał na piętro, które wydawało mu się trzecim, i ruszył między regały. Powoli znowu zaczynało go ogarniać zmęczenie. Czuł się też trochę zniechęcony i przegrany, bo to naprawdę żadna przyjemność łączyć w samych skarpetkach po tak eleganckim domu towarowym. Ale pomyślał, że musi dać radę i znaleźć ten piekielny dział, w którym na pewno jest wielki wybór najprzeróżniejszych butów, nawet w jego rozmiarze (czterdzieści pięć), i...

...i to był ten moment, kiedy ją zobaczył.

Właśnie obszedł dookoła gigantyczną piramidę pomarańczowych konewek, gdy ponad długim stołem ze stosami ręczników w wielu kolorach wyłoniła się kobieca twarz.

To była ona.

O n a. To jego mama tam stała. Poczul, że uginają się pod nim nogi. Wszystkie odgłosy zlały się w krzyczącą breję, która atakowała jego biedne uszy jak... tak, jak pijana karetka pogotowia albo coś w tym rodzaju. Zamigotało mu przed oczami, żółte cętki płały na skraju pola widzenia i żeby się nie przewrócić, chwycił jakąś niedużą kobietę, która tuż obok obracała w rękach staromodny żółty budzik.

J e g o m a m a. To była jego mama, Violetta Dufva, to ona tam stała. Nie dalej niż siedem, osiem metrów od niego, a skąd on wiedział, że to ona – to było coś niepojętego, nie wymagało żadnych wyjaśnień. On to po prostu w i e d z i a ł.

Po kilku sekundach sytuacja się ustabilizowała. Odzyskał władzę w nogach, wzrok i słuch znowu działały jak trzeba, puścił więc kobietę z budzikiem, która pokazała górne zęby i przyjrzała mu się podejrzanie, ale nic nie powiedziała. Nie przejmował się nią, całą swoją uwagę skupił na mamie stojącej za stołem z ręcznikami. Przecież pierwszy raz w życiu widział ją żywą (jeśli pominąć pierwszych dwanaście czy piętnaście miesięcy, czy ile ich tam było). Miała ciemne włosy, jak na zdjęciu, ładną, dosyć delikatną twarz o żywych oczach, cienki zielony płaszcz, cały rozpięty, i żółty szal w jakieś drobne wzorki, czerwone i czarne. W grzyby czy coś takiego? A może w palce?

Wszystko to rejestrował, tkwiąc nieruchomo przy piramidzie konewek. Chociaż odzyskał

równowagę i jego zmysły zdawały się funkcjonować normalnie, czuł się dziwnie. Bardzo dziwnie, stwierdził, no bo jak to możliwe, że stoję sobie w jakimś domu towarowym w Berlinie i patrzę na swoją mamę? Skąd mogę wiedzieć na sto procent, że to ona? Przecież tamto zdjęcie i tę kobietę w żółtym szalu musi dzielić więcej niż... trzydzieści lat. Jak to możliwe, że ją rozpoznaję?

Jak już wspomniano, to rzecz trudna do pojęcia. Ale Arne przywykł do rzeczy niepojętych, toteż był zdziwiony zdecydowanie mniej, niż byłby na jego miejscu każdy normalny człowiek.

Co? – pomyślał. – N o r m a l n y c z ł o w i e k? O co mi chodzi? Czy ja nie jestem...

Nagle odeszła od stołu. Najwyraźniej zdecydowała, że nie kupi żadnego z ręczników, bo odwróciła się plecami zarówno do kolorowych stosów, jak i do Arnego. Poprawiła torebkę, którą miała przewieszoną przez ramię, i szybko podeszła do gabloty z serwetkami. Albo może to były chusteczki do nosa, Arne nie potrafił rozpoznać. To oczywiście nie miało żadnego znaczenia. O wiele istotniejsze było to, że on nie potrafił się ruszyć. Stał w swoich niebieskich skarpetkach jak wrośnięty w ziemię i patrzył, jak jego mama znika w morzu ludzi przetaczającym się przez dom towarowy.

Boże drogi, pomyślał. Co jest ze mną? Czy jeszcze na dodatek mnie sparaliżowało? Doznałem jakiegoś szoku? Sterczę tu jak popsuta lodówka w samych skarpetkach, zamiast pędzić za mamą. I to teraz, kiedy ni z tego, ni z owego, całkiem bez uprzedzenia, ją znalazłem. Niech to szlag.

Przymknął powieki, zacisnął pięści i to pomogło. Odzyskał swoje normalne energiczne ja, a jego stopy znowu ożyły. Lecz zanim to nastąpiło, minęło kilka dobrych sekund i stracił ją z oczu. Szybko ruszył w kierunku, w którym poszła. Brawurowo przepchnął się przez skupisko starszych kobiet, które stały i porównywały kieliszki do jajek, ominął gromadkę małych dzieci, chyba rodzeństwa, które leżały na kupie na podłodze, i o mały włos nie przewrócił młodego mężczyzny fotografującego się z narzeczoną w nowych czerwonych kapeluszach.

Ale jego mama zniknęła. Przez kilka minut krążył między klientami i towarami, wypatrując jej gorączkowo i rozglądając się na wszystkie strony, aż w końcu dojrzał ją na ruchomych schodach jadącą na górę. Udało mu się dopchnąć do podnóża schodów, lecz tam niestety nie sposób było się przecisnąć przez tłum klientów, którzy stali stłoczeni jak śledzie, a kiedy wreszcie dotarł na następną kondygnację, znowu nie mógł jej dojrzeć. Nie miał pojęcia, czy pojechała jeszcze wyżej – ten gigantyczny dom towarowy liczył chyba ze sto pięter – ponieważ jednak musiał coś postanowić, zdecydował, że najpierw przeszuka działą znajdujące się na tej kondygnacji, a potem... hm, co potem, tego nie wiedział. Może mógłby zjechać na dół i spróbować pilnować wyjścia, tyle że wyjść było oczywiście więcej niż jedno. Na pewno cztery albo pięć, albo osiemnaście.

Znów zaczął kręcić się w tłumie, wypatrując żółtego szala lub zielonego płaszcza. Widział całą masę najrozmaitszych szali i płaszczy, ale nigdzie tych właściwych, tych na jego mamie, Violetcie Dufvie. Przedzierał się coraz dalej i dalej między berlińczykami na shoppingu, wyciągał szyję jak żuraw, nie, raczej jastrząb... jastrząb polujący na gołębia, fioletowego gołębia, nie, słowa zaczęły robić w jego głowie, co chciały, na dodatek ktoś dwa razy nadepnął mu na palce, co okropnie bolało, bo przecież łąził mniej lub bardziej na bosaka... Panował beznadziejny chaos.

W końcu miał już dość. Serce dudniło mu w piersi jak przekręcony silnik motorówki, kiedyś widział coś takiego z wujem Lennartem i ciotką Polly, wreszcie silnik oderwał się od łodzi i opadł na dno jeziora, po którym pływali, jak ono się nazywało... ale teraz to on opadł. A dokładnie rzecz biorąc, opadł na ławkę obok filara w czarne i białe pasy. Kręciło mu się

w głowie, był kompletnie wypompowany i stwierdził, że chyba na razie wystarczy. Na każdy dzień przypada odpowiednia dawka morozu i byłoby naprawdę głupio zemdleć bez butów na nogach w najelegantszym domu towarowym w całym Berlinie, bo wreszcie się domyślił, że chyba w takim właśnie się znajduje. A może i w najelegantszym na świecie. Lepiej już skapitulować, zanim straci przytomność i zrobi z siebie pośmiewisko. Perry Mason na pewno by mu tak poradził, gdyby miał siłę go o to spytać. Ale on i tak był co do tego przekonany. *Podдай się, przyjacielu! Uspokój się! Zrób sobie przerwę!*

Oparł łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. Oddychał głęboko i równomiernie, żeby uspokoić serce. W domu, w K., czasami mierzył sobie puls, jeśli nie miał nic lepszego do roboty, dlatego wiedział, jaki powinien być. Sześćdziesiąt cztery uderzenia do sześćdziesięciu sześciu. Dał sobie trochę czasu i teraz też zaczął liczyć. Najpierw miał sto dziesięć, a dopiero po kilku dobrych minutach siedemdziesiąt pięć. Nie ma się co dziwić. Pewnie tak się czuje ktoś, kto wygrywa Bieg Wazów, pomyślał.

Potem podniósł wzrok i zobaczył, że dookoła są buty.

Kwadrans później sprawa była załatwiona. Początkowo nie umiał się zdecydować, ale kiedy sprzedawca, sympatyczny młody mężczyzna, który śmigał między regałami jak wiewiórka, pokazał mu parę butów z żółtej skóry z czarnymi sznurowadłami, zrozumiał, że właśnie coś takiego zawsze chciał mieć. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział żółte buty, w każdym razie nie tak błyszczące i eleganckie jak te, na dodatek leżały na jego zmęczonych stopach jak ulał. Cena, sto dziewięćdziesiąt dziewięć euro, to, rzecz jasna, czysta okazja. Tego samego zdania była chyba pani w kasie, chociaż nie do końca zrozumiał, co do niego powiedziała... usłyszał coś w rodzaju *lebenslang*. Przypuszczał, że to znaczyło tyle, że te buty wytrzymają całe życie.

Udany zakup sprawił, że znowu poczuł się lepiej i odzyskał sympatię do Niemców. Poza tym przecież wcale nie było pewne, że to Niemiec ukradł mu buty – których teraz wcale mu nie brakowało, a nawet raczej się cieszył, że się ich pozbył – równie dobrze złodziejem mógł być Włoch albo Norweg, który przyjechał zwiedzać Berlin.

Postanowił skończyć poszukiwania mamy po domu towarowym. Prawdopodobnie załatwiła już wszystko i wyszła. Jutro on uda się na Kyff...strasę i zadzwoni do jej drzwi, a to, że dzisiaj przez przypadek ją zobaczył, było jedynie... domenem? Nie, chyba omenem.

Wrócił na ruchome schody i kilka minut później stał przed wejściem. Nie miał pewności, czy przed tym samym, którym wszedł, ale nie było to ważne. Przeciął ulicę i ruszył w stronę placyku z kawiarnią, który według tablicy informacyjnej nazywał się Wittenbergplatz, i usiadł na brzegu dużej cementowej skrzynki na kwiaty. Po drugiej stronie nieco szerszej ulicy znajdowało się coś, co musiało być zejściem do stacji metra. *U-Bahn*. Przeszły mu ciarki po plecach, kiedy pomyślał, że gdyby zagłębił się w taką dziurę, z całą pewnością już nigdy nie wróciłby na powierzchnię ziemi. Gdy ludzie przepadali bez wieści, najczęściej wszystko zaczynało się od tego, że wsiadali do metra. Słyszał to wiele razy.

Rozłożył plan miasta. Znalazł zarówno Wittenbergplatz, jak i krzyżyk oznaczający hotel Munck. Co prawda zajęło mu to chwilę, ale się udało. Następnie ustalił kierunek i ruszył sprężystym krokiem w swoich nowych butach. Jego stopy wydawały się ożywione i zadowolone. Jeszcze nigdy nie tkwiły w czymś równie wygodnym i eleganckim. Mamie na pewno strasznie się spodobają, kiedy jutro je zobaczy, pomyślał. *Oto mój zagubiony syn odwiedza mnie w żółtych butach!* – wykrzyknie. – *Tak długo na ciebie czekałam!*

Uważam, że kiedy jest się w podróży, trzeba mieć na nogach coś ładnego – odpowie jej może.

Od pani z recepcji, blondynki w okularach, dostał małą kopertę, i kiedy znalazł się w swoim pokoju, otworzył ją. Była w niej wiadomość od wuja Lennarta.

Arne, co się z tobą dzieje? Przecież się umówiliśmy, że codziennie będziesz pisać i opowiadać, co u ciebie. Od kiedy jesteś w Berlinie, odezwałeś się tylko raz. Ciotka Polly i ja bardzo się martwimy. Czy wszystko w porządku? Coś się stało? Zgłoś się natychmiast.

Twój wuj Lennart

Przeczytał tekst dwa razy, po czym zgniótł kartkę i wyrzucił do kosza.

Nie zdejmując butów, wyciągnął się na łóżku i zasnął.

Kiedy się obudził, nad miastem zalegała ciemność. Znowu przyśniła mu się mama. Byli razem na wakacjach, ona i on, polecili dokądś samolotem i mieszkali w hotelu przy długiej piaszczystej plaży nad błękitnym morzem. Siedzieli obok siebie na leżakach i pili drinki z małymi parasolkami, i wszystko było w ogóle i w szczególności wspaniałe – lecz kiedy usiadł na brzegu łóżka, sen zniknął. Morze, plaża i drinki.

Ale mama Violetta nie zniknęła. Nadal istniała w jego głowie i zajmowała w niej tyle miejsca, że prawie nie starczało go już na nic innego. Zielony płaszcz i żółty szal we wzorek w palce... wyglądała niezwykle elegancko, kiedy tak stała w domu towarowym i wybierała serwetki, nie, ręczniki. Violetta Dufva, której przyglądał się tyle razy, kiedy stała na komodzie w domu w K., za szkłem i w ramce, wtedy, kiedy wciąż jeszcze nie żyła po tamtym wypadku w Danii.

To niesamowite, że po ponad trzydziestu latach rozpoznał ją tak na mur-beton! Że spośród milionów ludzi żyjących w tym mieście akurat na nią rzucił okiem, to niemal zakrawa na cud, no nie? Tylko dlatego, że akurat wszedł do tego domu towarowego... tylko dlatego, że taksówkarz podrzucił go akurat tam... tylko dlatego, że ktoś mu akurat ukradł buty, kiedy uciał sobie drzemkę na ławce w parku... tylko dlatego, że był najedzony i zadowolony po kiełbasce z czerwonym sosem, jak to ona się nazywała? *Currywurst*, no jasne! *Berliner Currywurst!*

Gdy myślał o tym w ten sposób, jak jedno zdarzenie następowało po drugim, jak różne rzeczy ząbowały się jedna z drugą, aż do chwili, kiedy... kiedy stanął obok piramidy konewek i zobaczył swoją mamę pierwszy raz w życiu (w każdym razie w późniejszym wieku)... tak, to wszystko sprawiło, że w głowie Arnego Murberga zaczęła się kręcić karuzela. Wirowało w niej, dzwoniło i trąbiło, a tempo było tak szalone, że nie chciało się pędzić dalej, chciało się zeskoczyć i... i, no właśnie, co dalej? Co należało zrobić? Co zrobić?

No bo tak to bywa. Czasami życie toczy się tak szybko i jest tak zakręcone, że po prostu trzeba stanąć w ciemnym kącie i zamknąć oczy, żeby nie stracić przytomności. Nie da się nadążyć. Nie da się zrozumieć. Tyle tego wszystkiego, co atakuje biedną czaszkę, że można by pomyśleć, że zaraz pęknie.

Ale, jak wspomniano, to uczucie nie było obce Arnemu. Chodziło tylko o to, aby odnaleźć siebie na nowo. I z reguły to rzeczywiście pomagało – postać chwilę w kącie i zamknąć oczy. Wypróbował to już wcześniej. Postać albo posiedzieć, albo poleżeć, i poczekać, aż wszystko się uspokoi, a jeśli nie ma odpowiedniego ciemnego kąta, to wystarczy zamknąć oczy. Ewentualnie jeszcze zasłonić uszy dłońmi. To trwało kilka sekund, czasami pół minuty, potem cały ten mętlik zniknął, karuzela zwalniała i znów mógł spokojnie wysiąść i pomyśleć o tym, o czym chciał pomyśleć.

Myśl za myślą, po kolei. Albo wcale.

Także tym razem zadziało. Po kilku minutach usiadł na brzegu łóżka, z głową wolną od wszelkiego szumu, ale z wyraźnym burczeniem w brzuchu, które sygnalizowało, że pora wyjść i coś zjeść. Wszystko ma swój czas.

Tak więc znowu siedział przy stoliku.

Chodzenie do restauracji weszło mu już niemal w zwyczaj. Po zaledwie dwóch dniach w Berlinie czuł, że opanował wszystko, co było do opanowania, jeśli chodzi o tę pro... procedurę. Robiło się tak: najpierw upatrywało się sobie jakąś knajpkę, których były tysiące: niemieckie, tureckie, włoskie, francuskie i tak dalej, i tak dalej. Przechodziło się obok niej ulicą, trochę zwalniało kroku i przez szybę rzucało okiem do środka, żeby ocenić, czy jest sympatycznie. Najczęściej menu wisiało przy wejściu, więc można było się zorientować, co podawano i za ile. Chociaż większość potraw i tak wciąż stanowiła zagadkę – dla wszystkich poza Niemcami.

Jeśli już się weszło i znalazło miejsce, należało jeszcze raz przestudiować kartę, a kiedy już się to zrobiło i do stolika podszedł kelner albo kelnerka, i spojrzeli pytająco, wskazywało się palcem danie, które sprawiało wrażenie, że może być smaczne. To, co Arne jadł do tej pory, smakowało wyśmienicie, toteż nie ryzykowało się wiele, wybierając na chybił trafił.

Do posiłku najlepiej było zamówić coca-colę, jej nigdzie nie brakowało, jednak tym razem, w wieczór, kiedy zobaczył swoją mamę w najwytworniejszym domu towarowym na świecie i kupił sobie najpiękniejsze na świecie buty, postanowił spróbować piwa. Niemieckie piwo jest znane wszędzie, słynie jako najlepsze w całej Europie, twierdził wuj Lennart, a jednocześnie przestrzegał go, żeby pod żadnym pozorem nie pił nigdy więcej niż jedną szklankę. Mówił, że na pewno będzie mu smakowało, ale powinien mieć się na baczności, ponieważ może zdać sobie sprawę z tego, ile ono zawiera alkoholu, dopiero wtedy, kiedy będzie za późno. Odniósł wrażenie, że wuj Lennart wiedział bardzo dobrze, o czym mówi, i że co najmniej raz w życiu wypił zdecydowanie za dużo niemieckiego piwa i porządnie się wstawił. Dobrze mu tak, swoją drogą. Może nawet wdał się w bijatykę, bo tak też się zdarzało.

– *Ein Bier* – zdecydował.

Kelnerka skinęła głową i wydawała się być zdania, że to mądry wybór. Że piwo świetnie pasuje do tego, co miał zjeść, cokolwiek to miało być.

Piwo pojawiło się najpierw, na długo przed jedzeniem, i to na tak długo, że zdążył opróżnić szklankę, zanim parujące danie – podpiekane ziemniaki, zielona fasolka i solidna porcja mięsa w sosie – stanęło na stole. Pospieszył się i zamówił jeszcze jedną szklankę.

Znowu wszystko jest smaczne, stwierdził z zadowoleniem, choć trochę bardziej słone i bardziej poprawione, niż był przyzwyczajony. Pobudziło to pragnienie, toteż gdy uporał się z połową słusznej porcji, również drugiego piwa już nie było, ale ponieważ wciąż czuł się wyśmienicie, machnął na kelnerkę i dostał trzecią szklankę.

Niesamowicie przyjemnie jest tak sobie siedzieć, jeść i popijać piwo w berlińskiej knajpie, stwierdził Arne Murberg. Nie mieściło mu się w głowie, dlaczego nigdy do tej pory nie oddawał się tak satysfakcjonującemu zajęciu. W gruncie rzeczy nigdy nie dano mu takiej szansy, taka była prawda. Jego ojciec, wuj Lennart i ciotka Polly nigdy nie chcieli wypuścić go w świat. Z powodu tego, co nazywali jego handicapem. Zawsze wmawiali sobie i jemu, że jeśli się nie będzie miało na niego oka, nie da sobie rady. Że... że napyta sobie biedy i wpadnie w sidła złodziei, oszustów, alfonsów i jak oni się tam nazywali.

Najzwyczajniej w świecie go nie doceniali. I narzucali mu swoją wolę. Taka była prawda.

A Arne Albin Hektor Murberg panował zarówno nad sobą, jak i nad otoczeniem dużo lepiej, niż się powszechnie przyjmowało. W taki wieczór jak ten czuł to całkiem wyraźnie. Być może był trochę powolny, ale nie był półgłówkiem. *Kein Dummkopf* – nawet wiedział, jak to jest

po niemiecku. Minęło raptem dwa i pół dnia, od kiedy jest w Berlinie, a już zdążył znaleźć mamę. Na przykład. Miał zapisany czarno na białym jej adres i numer telefonu i po południu prawie ją złapał w tamtym domu towarowym. Przy okazji udało mu się kupić nowe buty, tak zwykone, że nikt w K. i okolicy nigdy nie widział czegoś podobnego. Już sobie wyobrażał, jak klientów sklepu tytoniowego zatyka na ich widok.

Wysunął nieco nogi spod stołu, żeby było widać buty i by inni goście restauracji też mogli je podziwiać, jeśli przypadkiem kątem oka zerkną w jego kierunku. Jestem mężczyzną w żółtych butach, pomyślał. To nie byle kto. Oddelegowany do Berlina pomocnik Perry'ego Masona, można by wręcz powiedzieć. Dlaczego nie? W służbie sprawiedliwości, postrach wszystkich bandytów i ulubieniec pięknych kobiet...

Gdy kelnerka przechodziła obok, skorzystał z okazji i zamówił jeszcze jedno piwo. Głupie gadanie wuja Lennarta, że powinno się poprzestać na jednej szklance, było czystym idiotyzmem, jak cała reszta. Co ten przemądrzałek mógł wiedzieć o świecie? Czy kiedykolwiek był w Berlinie? Akurat! Najwyżej w Hamburgu, a może też nie. Poza tym upił się tam i wdał w bójkę. Arne po raz kolejny pogratulował sobie, że pozbył się komórki, bo dzięki temu oszczędził sobie tych rozgadanych wiadomości. O wiele lepiej jest brać sprawy we własne ręce i nie pozwalać nikomu się wtrącać. Prawda, Perry? Co byś na to powiedział? Uważasz tak jak ja?

I Perry Mason oznajmił, że tak. Oprócz tego stwierdził, że ten wieczór wydaje się wręcz idealny, by jego niezawodny partner mógł sobie posiedzieć i odprężyć się parę godzin po wszystkim, co do tej pory osiągnął. Naprawdę na to zasłużył.

Arne trochę żałował, że Perry nie może naprawdę siedzieć naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu, bo wtedy miałby okazję zaprosić go na prawdziwe niemieckie piwo, a potem mogliby przedyskutować wszystko, co trzeba. Na przykład zdarzenie w domu towarowym. I jak ma się zachować podczas pierwszego spotkania z mamą, co powinien powiedzieć, czy powinien jej kupić kwiaty czy nie, i tak dalej... jutro czy może pojutrze?

A właściwie dlaczego nie? – pomyślał nagle. Jeśli umiał udawać, że Perry jest w jego głowie, to równie dobrze mógłby udać, że siedzi naprzeciwko niego w restauracji w Berlinie. Czemu nie? Wiedział, że to wymaga wyobraźni i fantazji, a w tym momencie czuł, że stać go na więcej fantazji niż kiedykolwiek przedtem.

Wypił piwo, znowu kiwnął na kelnerkę i zamówił jeszcze dwa piwa. Jedno dla Perry'ego, jedno dla siebie. Zauważył, że kelnerka wygląda na trochę zdziwioną, ale uśmiechnął się tylko do niej miło i uniósł dwa palce. Wskazał na miejsce po drugiej stronie stolika i powiedział:

– *Ein für Perry, ein für mich.*

– *Ach so* – rzuciła kelnerka nieco zagadkowym tonem, a minutę później na stole stały kolejne dwie szklanki.

– Na zdrowie, Perry Masonie! – powiedział Arne Murberg. – Miło, że znalazłeś czas, żeby wpaść.

Na zdrowie, Arne Murbergu! – odparł Perry Mason. – *Dla ciebie zawsze mam czas, przecież wiesz.*

I każdy z nich pociągnął po dużym łyku. Doskonałego niemieckiego piwa z pianką. Co działo się potem, przez resztę wieczoru i nocy, wciąż pozostaje zagadką.

Przygotowania I

Czas był wynalazkiem.

Czas j e s t wymysłem.

Nie przestrzeń. Przestrzeni właściwa jest stabilność, której brak czasowi.

W gruncie rzeczy są to dwie strony tej samej monety. Bez jednej nie ma drugiej.

I odwrotnie. Mówiąc prosto.

Mieszkanie było idealne. W pierwszych dniach po przeprowadzce Anatolis Litvinas nie mógł się nacieszyć powtarzaniem sobie tego raz po raz. Umeblowanie było proste, barwnie niespójne i funkcjonalne. Żadnego telewizora, żadnego telefonu. Staroświecka wanna na lwich łapach i sporej wielkości lodówka. Elektryczny i w pełni wyczuwalny ślad zapachu ozonu, zwłaszcza w dużym pokoju. Przypuszczał, że dochodzi z czegoś w rodzaju systemu wentylacyjnego, ale to była sprawa drugorzędna. Na podłodze linoleum. Żadnych niepotrzebnych tkanin, które łatwo się palą, żadnych zamontowanych na stałe luster. Wątpił, czy cokolwiek – choćby najmniej istotny detal, ręcznik, talerz czy lekko chwiejąca się komoda w sypialni z symetryczną intarsją – przybyło tu po tym, jak poprzedni lokator, mężczyzna, który został zamordowany, zniknął z Kyffhäuserstraße 52.

Ale co najmniej jedna rzecz – poza zwłokami – zniknęła. Litvinas wiedział, że nad łóżkiem w pokoju, w którym dokonano przestępstwa, morderca napisał: „Barbarossa żyje!”, co właścicielowi mieszkania się nie spodobało. Pokrył ścianę tapetą.

Nic dziwnego, pomyślał. Nic dziwnego.

Ostrożnie kręcąc się między kuchnią, pokojem dziennym i sypialnią, usiłował wyczuć, czy jest tu coś, co mu przeszkadza, jakaś wrogość czy anachroniczna dysharmonia, ale nie wychwycił niczego w tym rodzaju. Równie dobrze mógł znajdować się w połowie lat osiemdziesiątych, jak i dzisiaj: trzydzieści lat później.

A kiedy zgasił wieczorem światło – jeszcze głębiej w przeszłości. W swego rodzaju rozciągniętym, perforowanym i niezdefiniowanym czasie, który nie musiał być zapisywany w latach ani nawet w dziesięcioleciach. Albo nie dawał się zapisywać. Dom został zbudowany na przełomie stuleci, ale nie był oczywiście pierwszym budynkiem, który tam stał. Mieściło się w nim szesnaście mieszkań, gospodarz nazywał się Hummler i mieszkał na parterze, od podwórza. Był stary, trochę głuchy i raczej nie powinien sprawiać kłopotów. Jego żona umarła sześć lat wcześniej i od tamtej pory – jeśli Litvinas dobrze widział – po szóstej wieczorem rzadko bywał trzeźwy.

W ciągu pierwszych kilku dni zrobił dyskretny research. Porozmawiał z sąsiadami, zwłaszcza z panią Morgenstern z trzeciego piętra i z państwem Polanski z czwartego (mieli głuchoniemego synka, ale za to rozgadana papugę dla rekompensaty, i chętnie z tego żartowali). Zaprosił Hummlera na piwo i łyk koniaku i w ogóle starał się okazać miłym i przyzwoitym nabytkiem. Był spokojnym emerytowanym profesorem, który osiadł tu, aby w jesieni życia poświęcić się własnym badaniom. Sympatycznym i niezależnym finansowo. Najważniejsze, żeby – gdy nadejdzie dzień V – miano do niego zaufanie.

V jak Valetta.

Powrót Valetty.

I Georga? To wciąż otwarte pytanie. Może zjawią się oboje, trzymając się za ręce, może Georg będzie już dorosłym mężczyzną? Albo przynajmniej młodzieńcem?

Tak czy inaczej po zakończeniu eksperymentu nikt z nich nie zostanie przy Kyffhäuserstraße 52. Ani Valetta, ani Georg, ani on. Będą mnożyć się pytania. Anatolis Litvinas

pomyślał, że wynająć tego mieszkania w żadnym razie nie będzie potem łatwiej, i poczuł, jak napinają mu się mięśnie twarzy. Może nawet ktoś wpadnie na pomysł, żeby zburzyć całą tę rudere.

W okolicy znajdowały się zarówno apteka, jak i rzeźnik i przejrzyste zorganizowany sklep z farbami. Już po trzech dniach zdobył i zniósł do domu większość potrzebnych składników. Ziemia i siarka musiały poczekać, został jeszcze tydzień, a on doskonale wiedział, co kiedy ma zrobić. Najbardziej kłopotliwe będzie zgromadzenie krwi. Według dostępnych analiz litr powinien wystarczyć, więc co wieczór upuszczał sobie ze zgięcia lewego łokcia sto mililitrów. Procedura była prosta, a krew mógł przechowywać w zamrażarce. To oczywiste.

Najważniejsze ze wszystkiego było znalezienie pomocnika, ale dla niego nie ulegało kwestii, że również ten problem zostanie rozwiązany. Tym razem bowiem moce były z nim, czuł ich pulsującą obecność podczas cowieczornych rytuałów wykonywanych przed pójściem spać. Obecność i przychylność. Dobroduszne mamrotanie odźwiernych, kiedy wybijała północ, przedziurawiona Biblia i samotna świeczka. Gdy nadejdzie pora na otwarcie, pomocnik stawi się na miejscu. Po prostu trzeba czekać, aż się pojawi. Wcale nie byłoby dobrze, gdyby przybył zbyt wcześnie. Tak zatem wyglądały warunki wstępne. Niewykluczone, że nie nauczył się od Mordecaia Bluuma niczego innego, ale przynajmniej nauczył się tego.

O mieszkaniu dowiedział się od Hartwiga Finka-Bodemanna, jedyne go ze starych kolegów, który go nie porzucił po tym, co się stało w Auerbachs Keller. Fink-Bodemann sam był odludkiem, specjalistą od mniej lub bardziej wymarłych języków, takich jak wschodniogocki, koptyjski i wocki. W Aarlach był zamieszany w jeden czy dwa skandale. Młodzi chłopcy sprowadzani z Afryki Północnej i inne tego rodzaju rzeczy. Nigdy nie poznał go bliżej, ale po niepowodzeniu w Lipsku Fink-Bodemann odwiedził go w zakładzie psychiatrycznym nie raz, a kilka razy, i jak Litvinas zdążył zauważyć, okazywał pewne zainteresowanie jego badaniami. Okultystyką, interdyscyplinarnością. Fink-Bodemann to type poszukiwacza, w jego postaci było coś intensywnego i jednocześnie szczerzego. Poza tym bił od niego nieokreślony zapach, który brał się nie tylko z niedostatecznej higieny, choć oczywiście ten czynnik wydawał się decydujący. Brakowało mu kilku dolnych zębów, nikt nie wiedział dlaczego. Litvinas pamiętał, że na jego biurku stało popiersie Swedenborga.

– Domyślam się, czego szukasz – powiedział. – I chyba mógłbym ci polecić jedno miejsce. Kyffhäuserstraße. Berliński Schöneberg, będzie pasować jak dłoń do rękawiczki. Ten dom ma swoją historię, i starą, i niedawną. Ale chyba nie muszę ci wyjaśniać związku... o ile miejscem akcji ma być Berlin.

Litvinas dziwił się, że Fink-Bodemann ma tak szczegółową wiedzę. Czy posiadał jakieś doświadczenie w tej dziedzinie nauki? Niewykluczone. Mógł mieć nie więcej niż czterdzieści pięć lat, ale sprawiał wrażenie starszego. O dziesięć albo dwadzieścia lat. Albo i więcej, jeśli dodatkowo policzyć k r ę g i – to dużo więcej.

W każdym razie Litvinas na dwa dni dostał przepustkę z zakładu i pojechał do Berlina, żeby osobiście rzecz sprawdzić. Zanim go wtedy wypuszczono, doktor Maertens ostrzegł go, że jeśli coś pójdzie nie tak, może się spodziewać, że zostanie w zakładzie do końca życia.

Ale nic nie poszło nie tak. Cztery czy pięć godzin spędził w najbliższej okolicy mieszkania przy Kyffhäuserstraße, krążył po ulicach, robił swoimi instrumentami pomiary i dosyć szybko stwierdził, że rzeczywiście jest tak, jak utrzymywał Fink-Bodemann. To było w ł a ś c i w e miejsce, bez najmniejszych wątpliwości. Chociaż od tamtej chwili do krytycznej daty miały minąć jeszcze cztery miesiące, zarówno waskograf, jak i bautometr pokazywały wszystko precyzyjnie. 4,2 lub 16,6 na skalach, które sam opracował, opierając się na Kuhn-Farmerze i Savonaroli.

A potem, kiedy już na dobre wprowadził się do mieszkania, obie te wartości uległy podwojeniu. Neptun znajdował się we właściwym miejscu, Merkury się zbliżał.

Wyraźne znaki. Nieomyślne znaki.

I B a r b a r o s s a.

Późnym wieczorem na pięć dni przed właściwą datą wyjął z zamszowego woreczka pępowinę. Na Białej Wyspie straciła niecałe dziesięć centymetrów długości, ale wciąż jeszcze liczyła prawie trzydzieści, a ponieważ miała zostać wykorzystana po raz ostatni, ten ubytek był do zaakceptowania. Starannie ułożył cienki zwinięty sznur w srebrnym naczyniu z czerwonym winem – dwie butelki Chateau Mercasse, razem kosztowały ponad sto euro, ale żadna fuszerka nie wchodziła w rachubę – po czym postawił je na kuchennym stole i przykrył czarnym materiałem. Zapalił świeczkę i zaczął czytać z Księgi Objawienia. Słowa, wypowiedane mocnym, ale powściąganym głosem, działały jak gorący wiatr wiejący z pustyni.

„A zarazem byłem w zachwyceniu ducha, a oto stolica była postawiona na niebie, a na stolicy siedziała osoba. A ten, który siedział, podobny był na wejrzeniu kamieniowi jaspisowi

i sardynowi; a około onej stolicy była tęcza, na wejrzeniu podobna szmaragdowi”².

Siedział tak ze dwie godziny i czytał. Także z Kaznodziei Salomona i Pieśni nad Pieśniami. Mnóstwo słów, mnóstwo powstającego mięsa, a kiedy uniósł tkaninę i dotknął pępowiny, stwierdził, że zmiękła. Doprawdy. Przeciągnął ją delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym i poczuł lekkie wibrowanie, oznakę życia. Nabrał do szklanki dwa łyki wina i wypił je. Wypił, a kiedywino spłynęło w dół jego krtani, poczuł takie same wibracje.

D o p r a w d y.

Zdławił pokusę, żeby ugryźć kęs pępowiny.

Nakrył kielich. Zdmuchnął płomień świecy i położył się do łóżka.

Czas jest fikcją. Nie przestrzeń.

Dzień czwarty

Kiedy się obudził, nie wiedział, gdzie jest.

Pomyślał jednak, że to nie ma znaczenia, ponieważ jest chory.

Ciężko chory.

Bolało go wszystko: głowa, żołądek, całe ciało.

Nigdy dotąd nie czuł się tak źle. Przez kilka sekund myślał, że chyba umarł i trafił do piekła. Albo przynajmniej leży w szpitalu, ponieważ został przejechany przez pociąg.

Ale gdy objął spojrzeniem swoje ciało aż po czubki palców u nóg i odkrył, że ma na sobie własne ubranie i na dodatek jeszcze żółte buty – uznał, że nie jest w szpitalu. Orientował się przecież, jak wyglądają pacjenci: wepchnięci pod cienkie jasnoniebieskie koce, z plastikowymi rurkami w przedramionach i z uchwytem do podciągania się dyndającym nad łóżkiem spod sufitu.

Nie był jednak ubrany kompletnie. Na oparciu krzesła wisiała jego kurtka. Wywrócona na lewą stronę, jeśli dobrze widział. Wyglądała niechlujnie, ale w taki dzień jak ten nie miało to żadnego znaczenia.

Poza tym w pokoju unosił się nieprzyjemny zapach. A on w ustach miał nieprzyjemny smak.

Wymiocin.

Na pewno. Ktoś zwymiotował, najprawdopodobniej on. Gdy ostrożnie przesunął palcami wokół warg, poczuł coś lepkiego, ale i jakby trochę zaschniętego, musiało już minąć trochę czasu, od kiedy puścił pawia. Może kilka godzin i niewykluczone, że zrobił to nawet kilka razy, bo miał też coś na koszuli na piersi.

To także nie miało znaczenia. Najważniejsza była głowa. W jego biednej czaszce dudniło tak przeraźliwie, że chciał wręcz wezwać pomoc.

Zamknął oczy i to uczynił. Zawołał:

– Niech mi ktoś... pomoże!

Brzmiało to żałośnie i rozpaczliwie.

O n był żałosny i zrozpaczony.

I chciało mu się pić. R o z p a c z l i w i e chciało mu się pić, można by powiedzieć, że paliło go w gardle, a język wydawał się suchy jak podeszwa. Gdyby tylko tak przeraźliwie nie dudniło mu w głowie, od razu poszukałby czegoś do picia.

Bo gdzieś przecież musi być przynajmniej woda. Niezależnie od tego, gdzie się znalazł. Jakiś kran albo coś... cokolwiek, mimo cierpienia nie mógł przestać się nad tym zastanawiać. Gdzie, do diabła, on wylądował? Co to za miejsce?

Nie odważył się jednak przekręcić głowy ani jeszcze raz unieść powiek. Bo wywołałoby to za duży ból.

Chyba musiał zasnąć, bo znowu się obudził.

Sytuacja była mniej więcej niezmienną. Pozostałości wymiocin na koszuli i wokół ust wydawały się bardziej zaschnięte. Czuł ogień w żołądku, był zlany zimnym potem, całym ciałem wstrząsały dreszcze, a czaszka była tykającą bombą.

Chcę umrzeć, pomyślał Arne Albin Hektor Murberg. Nie miałbym nic przeciwko temu. Pewnie rąbnąłem głową w skałę w jakimś innym jeziorze i znowu straciłem pamięć. Nie wiem, gdzie jestem, ale jeśli o mnie chodzi, wszystko może się zaraz skończyć. Niech to szlag.

Jednak nie umarł. Bo życie jest z natury uparte, pamiętał, że tak mówił tata Torsten. „Ludzie myślą, że łatwo jest umrzeć, ale to nieprawda. Życie jest jak... – co to on powtarzał? – życie jest jak brodawka, której nie da się pozbyć tak w mgnieniu oka”.

A potem, ostrożnie jak bąk puszczonego po cichu w kościelnej ławce (to też słowa jego ojca), pamięć zaczęła wracać.

Zadanie.

Berlin.

Hotel Munck.

Sikanie w parku i policja.

Dom towarowy... mama Violetta!

Żółte buty.

Restauracja! Tamta restauracja wczoraj wieczorem... aha? Wspomnienie mocno się poruszyło, choć równocześnie pobladło w jakiś dziwny, trochę zawstydzający sposób. Niemieckie piwo. Niemieckie piwo z pianką. Kilka kufli... Perry Mason... Twoje zdrowie, Perry Masonie!

I wtedy się skończyło.

Ale kiedy nieśmiało otworzył oczy i rozejrzał się dookoła, zrozumiał przynajmniej jedno: jest w swoim pokoju. Leży w swoim łóżku w swoim pokoju w hotelu Munck. Numer trzysta dwanaście, jeśli dobrze pamiętał.

Jak do niego trafił? Nie miał pojęcia.

Która może być godzina? Nie miał pojęcia.

Jaki jest dziś dzień? Nie miał pojęcia.

Keine Ahnung.

Sturlał się z łóżka, na czworakach doczołgał do łazienki i zwymiotował.

Za piętnaście dziewiąta wieczorem Arne Albin Hektor Murberg w pokoju 312 w hotelu Munck w Berlinie wyszedł z wanny. Pół godziny później opuścił hotel i do kosza na śmieci na rogu Fasanenstraße i Pariserstraße wcisnął foliową torbę z cuchnącym ubraniem: ze wszystkim, co miał na sobie poprzedniego wieczoru, poza kurtką i żółtymi butami, które wyczyścił ręcznikiem i odrobiną hotelowego mydła w płynie.

Nadal był chory i nadal nie pamiętał, jak poprzedniego wieczoru dostał się do hotelu. Zaczął już być trochę głodny, ale wciąż czuł się zbyt słaby, by poszukać czegoś do jedzenia. Będzie musiał z tym poczekać do jutra. Wszystko mogło poczekać do jutra.

W końcu powolnym krokiem i lekko dygocząc, zrobił rundkę wokół hotelu, po czym wrócił do swojego pokoju. Sprawdził, czy w jego posiadaniu jest nadal koperta z paszportem i biletem, i przeliczył pieniądze.

Zostało mu nie więcej niż dwieście szesnaście euro. Zastanawiał się, gdzie podziała się reszta. Powinien mieć więcej, widocznie wczoraj wieczorem wydałem dwieście euro – dwa tysiące szwedzkich koron! – pomyślał zdziwiony. I nagle przypomniało mu się, jak klęczał na trawniku, trzymając się cienkiego pnia drzewa, żeby nie paść do przodu. Czyli to dlatego na spodniach były plamy po ziemi i glinie, dobrze, że je wyrzucił, i wielkie szczęście, że ma jeszcze jedną parę.

Ale nic ponad to nie wyłoniło się już z zakamarków jego pamięci. Jedyne ten nędzny kawałek trawnika w ciemności i zimny, chudy pień drzewa. O mateńko.

Wysupłał się z ubrania, włącznie z butami, wśliznął do łóżka i zasnął jak nieżywe prosię. Zmarnowany, zdążył jeszcze pomyśleć. To był naprawdę zmarnowany dzień.

Dzień piąty

Znowu siedział na ławce w parku. Trochę osłabiony, ale już całkiem zdrowy. Choroba opuściła go w nocy.

Bogu dzięki, pomyślał. Byłoby niedobrze, gdyby przez kilka dni leżał w łóżku, ucierpiałoby na tym jego zadanie. Na stratę jednego dnia mógł sobie ostatecznie pozwolić, zwłaszcza że w to popołudnie spotka swoją mamę. Miał nadzieję, że tak właśnie będzie, chociaż oczywiście nie można wykluczyć, że ona nie mieszka już także pod tamtym adresem. Że znowu się przeprowadziła. Mogło nawet być aż tak źle, że wcale nie ma jej w Berlinie, i co on w takiej sytuacji powinien zrobić, hm? Na to nie miał pomysłu sam wuj Lennart.

Ale przecież widział ją w domu towarowym – czy może jednak nie? Problem polegał tylko na tym, że... jeśli miał być szczery, a należy być szczerym, na przykład ciocia Polly mówiła zawsze o sobie, że jest uosobieniem szczerości, że jeszcze nigdy w swoim życiu nie powiedziała nieprawdy i dlatego nigdy nie miała z żadnego powodu nieczystego sumienia i spała co noc jak niewiniątka... jednak to było kłamstwo i czysta bajeczka, jak któregoś razu wuj Lennart zdradził mu w tajemnicy, jak mężczyzna mężczyźnie, cokolwiek to mogło znaczyć. Ale co tam ciocia Polly i wuj Lennart, obecny problem polegał na tym, że jego, Arnego Albina Hektora, zaczęły nachodzić wątpliwości. Czy w domu towarowym rzeczywiście widział swoją mamę? Jak mógł być tego tak bardzo pewny? Był o tym stuprocentowo przekonany, kiedy ją zobaczył, gdy stała tam w zielonym płaszczu i żółtym szalu i wybierała serwetki, nie, ręczniki, dobrze to pamiętał, lecz teraz, dwa dni później, wkradły się wątpliwości. Czy rzeczywiście można rozpoznać kobietę, której nie widziało się ponad trzydzieści lat, zwłaszcza jeśli kiedy zniknęła, było się niemowlęciem? Nawet jeśli chodziło o własną matkę? Czy to możliwe?

Dobre pytanie, pomyślał Arne Murberg. Tak zawsze mówili w serialach telewizyjnych, które czasami oglądał w domu, w K.

Dobre pytanie. Mówili tak wtedy, gdy nie mieli zielonego pojęcia, co odpowiedzieć.

Rano w recepcji czekała na niego nowa wiadomość.

Odezwij się, Arne!

Twój wuj Lennart

Nie odezwał się. Może by to zrobił, gdyby nadal miał komórkę, ale przecież nie miał. Wyrzucił kartkę i pomyślał, że trochę później wypróbuje telefon, który jest w pokoju, i zadzwoni do zarządzającego wuja i zarządzającej ciotki, i wyjaśni im sytuację – wieczorem albo jutro rano, w zależności od tego, jak przebiegnie dzień. Jeśli telefon w pokoju nadal nie będzie działał, poprosi o pomoc panie z recepcji. Może wykręci też numer do mamy Violetty, skoro już będzie w akcji.

Gdyby jej wcześniej nie spotkał. Jeśli o to chodzi, zaczynał być trochę pisymistyczny. Czy jak się to mówi... Może p o s t m o d e r n i s t y c z n y? Boże drogi, tyle jest długich słów, i to nie tylko niemieckich. W każdym razie czuł się trochę samotny i opuszczony, to miał na myśli, w takim był stanie tego dnia.

Jest, jak jest, pomyślał i westchnął, siedząc na swojej ławce. Z życiem i ze mną. Nawet w domu, w K., zdarzało się, że się budził i nie chciał wstać z łóżka tylko dlatego, że wszystko wydawało mu się takie smutne. Pozbawione sensu i smętne. Jaki sens był w tym, żeby Arne Murberg wstawał z łóżka i żył? Nie miał żadnych przyjaciół, ani jednego, dlatego że jest taki, jaki jest. Przez dziewiętnaście dni na dwadzieścia nic go nie trapiło, ale dwudziestego, na przykład w jeden z tych przygnębiających jesiennych poranków, kiedy padał deszcz i wiało małymi igiełkami, i bolało gardło, wtedy ciążyło mu to jak kamień. Duży i ciężki kamień, który

musiał wszędzie ze sobą dźwigać i który nazywał się s m u t e k.

Czasami dawało się go odrzucić, czasami nie.

Czasami, właściwie nawet całkiem często, pomagało wypełnienie czymś żołądka. Choćby filiżanką kawy i cynamonową drożdżówką. Dwoma naleśnikami.

I teraz oto siedział i właśnie to robił: wypełniał sobie żołądek. Wprawdzie nie cynamonową drożdżówką ani naleśnikami: przeżuwał *Currywurst*, jak to w Berlinie. Ledwie włożył do ust kilka pierwszych kawałków – posługując się żalonym małym plastikowym widelcem – od razu, jeśli się nie mylił, poprawił mu się humor. Droga do szczęścia prowadzi przez żołądek, zwykły mawiać tata Torsten – to znaczy, zanim popadł w melancholię i umarł, ale Arne bardzo dobrze to pamiętał, chociaż było to wiele lat temu. Może to rzeczywiście jest takie proste. Nie można być jednocześnie głodnym i szczęśliwym. Ani sytym i nieszczęśliwym.

Pomyślał, że brakuje mu taty.

Ale jak się nie żyje, to nieodwołalnie.

Tak więc siedział na ławce w rogu Tiergarten. Na tej samej co dwa dni wcześniej. Stała wolna także dzisiaj – właściwie się zwolniła, bo dwie drobne starsze panie z dwoma małymi pieskami salonowymi opuściły ją akurat w chwili, gdy nadszedł z tacką z *Currywurst*. Była pora lunchu, wcale nie planował tam pójść, ale jego nogi jakby nabrały wolnej woli. Może to zasługa żółtych – lubił myśleć o swoich butach: moje żółte – bo rzeczywiście można było odnieść wrażenie, że one same znalazły drogę do Helmuta Imbissa i do ławki. Co oczywiście wydawało się trochę dziwne, bo przecież nie było ich w parku, kiedy stracił swoje stare s z a r e. Tak czy owak nie należy zmieniać dobrych nawyków, więc znowu przyszedł.

Ani razu nie zerkając na mapę! *Isch bin ein Berliner*.

Świeciło słońce. Ściągnął plecak i wkładając sobie do ust kawałki pysznej kiełbasy (była równie dobra, jeśli nie lepsza), rozglądał się za podejrzanymi indywiduami, za ludźmi, którzy mogliby być złodziejami butów, trudno jednak powiedzieć, jak ktoś taki wygląda. Może jak całkiem zwyczajny człowiek, jak każdy inny. A może to ktoś, kto chodzi boso? Arne przeżuwał i myślał. Tak, może właśnie taki biedaczyna ukradł jego stare buty, a kiedy spojrzał na swoje żółte (które rano znowu wypucował do połysku balsamem do ciała), pomyślał, że w gruncie rzeczy nie jest na tego łobuza szczególnie wściekły. Bo w ostateczności można to uznać prawie za coś w rodzaju... k o n i e c z n o ś c i, nawet jeśli popełniono przestępstwo. Nie kradnie się butów, jeśli się ich nie potrzebuje.

– Nie uważasz, Perry? – spytał w pustkę.

No objection, odpowiedział Perry Mason.

– Zabierać bogatym i dawać biednym. Jak Robin Hood, prawda?

No further questions, odparł Perry.

Perry Mason się wycofał, ale tuż po nim pojawił się tata. Arne niemal natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. No bo siedzi sobie tak w słońcu, na ławce w parku, i zajada kiełbaskę, a tak naprawdę powinien szukać mamy. W końcu po to przecież jest w Berlinie, a wyglądało na to, jakby chciał o tym zapomnieć. Zlekceważył zadanie i zajął się czymś zupełnie innym. Dookoła roi się od ludzi, dlaczego akurat on musi szukać Violetty Dufvy? Równie dobrze mogłaby go zastąpić tamta kobieta w białej kurtce albo mężczyzna, który siedzi na trawie i czyta gazetę, albo...

„Dlatego, że ona jest TWOJĄ mamą, ty bałwanie! – przerwał mu ojciec z irytacją. – Nie jest matką żadnego innego człowieka. Ty jesteś, kim jesteś, i ona też jest, kim jest”.

Tak, zgadza się, pomyślał Arne, wymazując z tacki resztki sosu curry. Jest tylko jeden człowiek, który siedzi właśnie tutaj, właśnie teraz, i to jestem ja. I tylko jeden człowiek jest moją matką – i jest nią Violetta Dufva.

To były dwie nowe, całkiem nieoczekiwane myśli, i na chwilę się na nich zatrzymał. Jest tak: siedzi sobie na ławce, która stoi gdzieś w świecie, w mieście, które nazywa się Berlin, a wszystko wokół niego, ludzie, drzewa, domy, ptaki i ta budka z przekąskami są jakby... g d z i e ś d a l e k o. Może jednak ta myśl nie była wcale dziwna, właściwie to nawet nie myśl, tylko cała masa zbłąkanych słów, które wypadły z jakiejś puszkii potrąconej przez kogoś i przypadkiem znalezionej przez niego. A później raptem zachciało mu się spać. Jeśli jest coś, co różni go od innych ludzi – oczywiście istnieje cała masa takich rzeczy, ale jedną z najważniejszych jest niewątpliwie to, że on strasznie dużo śpi. Arne może spać dwadzieścia pięć godzin na dobę – pamiętał, że tak kiedyś powiedziała ciotka Polly, ale przecież wiadomo, że nie miała racji, bo nawet on wie, że doba liczy dwadzieścia cztery godziny.

Tak czy owak po kiełbasce przyszła pora na krótką drzemkę. Spanie na ławce weszło mu już niemal w nawyk, jakby to w pewnym sensie była jego własna ławka, tyle że akurat dzisiaj zrezygnował ze zdjęcia butów.

Człowiek uczy się na błędach, a słońce wciąż świeciło. Podłożył sobie plecak pod głowę, wyciągnął się, zamknął oczy i miał nadzieję, że przyśni mu się mama Violetta.

Ale nic z tego, nie przyśniło mu się zupełnie nic. Na dodatek obudził się niedługo potem, kupił sobie u Herr Imbissa jeszcze jedną kiełbaskę, skoro już tam był, popił fantą i ruszył w drogę. Jak to mówią: obowiązek przede wszystkim.

Niecałą godzinę później dotarł na Kyffhäuserstraße i zatrzymał się przed numerem 52. Z planem w ręce wielkie miasto to po prostu bułka z masłem. Kto twierdził, że Arne Murberg nie poradzi sobie w świecie? Wydawało mu się, że nawet zna już na pamięć skomplikowaną nazwę ulicy. Oczywiście nie wypowiedziałby jej na głos, tylko tak dla siebie, w głowie.

Numer też, bo dokładnie tyle samo kart używało się w jednej z gier. Bez dzokerów.

Dom był zielony, trochę wyblakły, kilkupiętrowy. Drzwi wejściowe pomalowane na czerwono. Na samym rogu, przy Frankenstraße, znajdował się sklep, w którym sprzedawano wypchane psy. Arne zastanawiał się, po co komu wypchany pies, jeśli można mieć żywego. Ale może to dobre wyjście dla ludzi starych lub niepełnosprawnych, którzy nie są w stanie tak często wychodzić. Psy potrzebują ruchu i w przeciwieństwie do kotów nie załatwią się w domu, każdy to wie.

Jednak on nie przyszedł tam, żeby kupić psa, wypchany mops (wuj Lennart i ciotka Polly przez jakiś czas mieli właśnie takiego, tyle że żywego, przynajmniej na początku) na pewno nie był odpowiednim upominkiem powitalnym dla mamy, której nie widziało się całą wieczność. Potrząsnął głową, żeby przerwać ten potok myśli. Powinien się skoncentrować. Bo może Violetta Dufva akurat w tej chwili wygląda przez okno na ulicę, tak, to całkiem prawdopodobne. Może stanęła przy nim, żeby sprawdzić, jaka tego popołudnia jest pogoda w Berlinie, zanim wyjdzie do sklepu po jajka, kawę i papierowe ręczniki – i właśnie zadaje sobie pytanie, kim jest ten sympatyczny młody mężczyzna po drugiej stronie. Ten w eleganckich żółtych butach. Wydaje się jakiś znajomy.

Wyprostował się i poprawił włosy. Spojrzał w górę i powiódł wzrokiem po rzędach okien. Pięć szeregów szyb w górę, czyli pięć kondygnacji, i co najmniej osiem okien na szerokość należało do numeru 52. Policzył raz i drugi po cichu i doszedł do wniosku, że w takim razie musi być ich w sumie czterdzieści pięć. Mniej więcej. Czterdzieści pięć ciemnych okien, za którymi mogło kryć się dosłownie wszystko.

Może jednak źle policzył. Po wypadku nigdy nie opanował do końca tabliczki mnożenia, ale w tym momencie nie miało to znaczenia. Tak czy inaczej za żadną z szyb nie dostrzegł twarzy kobiety, zresztą dziecka ani mężczyzny też nie, uznał więc, że trzeba się zebrać na odwagę i spróbować wśliznąć do budynku.

„Są rzeczy, które trzeba doprowadzić do końca” – przypomniał mu tata Torsten z tajemnej kryjówki między uszami. Arne zgodził się z nim, spojrzął w prawo, potem w lewo i przeciął Kyffhäuserstraße.

Tym razem miał szczęście. Z jakiegoś powodu drzwi były otwarte. A przynajmniej uchylone, bo ktoś wsunął w nie zwiniętą gazetę i nie mogły się zatrzasnąć. Pomyślał, że pewnie któryś z mieszkańców zamówił pizzę i nie chciało mu się schodzić na dół, aby ją odebrać. Tak robiono we wszystkich miastach na całym świecie.

Wszedł do klatki schodowej, na której podobnie jak przy Knobelsdorffstraße wisiała tablica z nazwiskami lokatorów. Stanął przed nią i zaczął czytać, piętro po piętrze.

Zajęło mu to chwilę, ponieważ lista była długa. Widniały na niej takie nazwiska, jak Zimmermann, Polanski i Brahms-Bergh. Caravaggio i Hummel. Knackebach i Runke. Najwyraźniej w Niemczech można było mieć najrozmaitsze nazwiska.

Nie widział jednak nikogo o nazwisku Dufva i nikogo o nazwisku Lummersten. Chociaż był raczej przekonany, że jego mama nigdy nie nazywała się Lummersten, bo jak się ma takie ładne nazwisko jak Dufva, to na pewno chce się je nosić całe życie.

Na dole, na parterze, panował spokój. Ściany były wyłożone zielonymi kafelkami, podłoga w ciemniejszej zielonej tonacji, pokryta dużymi kwadratowymi płytami w esy-floresy. Uważał, że jest naprawdę ładnie, poza tym pachniało tak, jakby ktoś dosłownie przed chwilą przetrął posadzkę szmatą i jakimś środkiem do mycia, tak zawsze robiła ciotka Polly w domu, w K., mimo wszystkich swoich chorób, dlatego dobrze znał ten zapach. Nieco w głębi stały rower i wózek dziecięcy, były tam też drzwi prowadzące na wewnętrzny dziedziniec. Prawdopodobnie, bo w górnej części miały przydymioną szybę, więc można było jedynie przypuszczać, co jest po drugiej stronie. Przypuszczenia, przypuszczenia, pomyślał Arne filozoficznie. Istnieje tyle rzeczy, co do których można jedynie coś przypuszczać. Gdzieś z wyższych pięter dochodziły dźwięki fortepianu, uznał więc, że ktoś chyba ćwiczy, ponieważ co jakiś czas następowała przerwa i ten sam muzyczny motyw powtarzał się raz za razem.

Ponownie przeczytał listę nazwisk, tak na wszelki wypadek. Od dołu do góry, czyli odwrotnie niż wcześniej.

Nic z tego. Znów nie znalazł nikogo o nazwisku Dufva, ale na trzecim piętrze mieszkał ktoś, kto nazywał się Vogel. Coś mu świtało, że po niemiecku *Vogel* znaczy ptak, chyba się nie mylił? Powoli zaczęły obracać mu się w głowie dwa koła zębate. Dufva³ i *Vogel*? Gołąb i ptak? To się przecież łączy, z całą pewnością... bo jeśli jest się gołębiem, to jest się też ptakiem. Jakby automatycznie i... no tak, i co z tego? Była to zależność, do której właśnie krok po kroku doszedł, podobnie jak Perry Mason odkrywał powiązania, na które wcześniej w ogóle nikt nie wpadł. Których inni nie zauważali. Bo jeżeli... j e ż e l i sprawy miały się tak, że mama Violetta postanowiła po zmianie adresu – z Knobelsdorffstraße na Kyffhäuserstraße – zmienić nazwisko, to trudno o wybór bardziej naturalny niż Vogel. Jasne, wszystko pasuje idealnie. Tak czy nie?

T a k c z y n i e ? Wciąż stał przed tablicą, łamiąc sobie głowę nad tą argumentacją, i w końcu doszedł do wniosku, że nie ma nic do stracenia. Jeśli zadzwoni do drzwi lokatora o nazwisku Vogel, a on okaże się kimś zupełnie obcym, na przykład potężnym niemieckim rzeźnikiem albo konduktorem, no cóż, wtedy chyba będzie musiał powiedzieć, że chodzi i sprzedaje świąteczne gazetki na jakiś cel charytatywny i że pomylił drzwi.

Nie, to byłaby głupia wymówka, poza tym prawdopodobnie nie dałby sobie rady z niemieckim. Tak czy owak musi wybać, jak to jest z tą zagadką Dufva–Vogel. Perry Mason nigdy nie przepuściłby takiej okazji.

I Arne Albin Hektor Murberg też nie.

Wszedł na trzecie piętro po schodach, ponieważ nie ufał windom. Niemcy to z całą pewnością naród zdolnych rzemieślników, którzy znają się na robieniu wind, ale nigdy nie wiadomo. Może akurat w tym domu wynajęto do zainstalowania windy jakiegoś Szweda ze Skanii czy Hiszpana, a on nie miał najmniejszej ochoty utknąć między piętrami.

Stopni było więcej, niż potrafił policzyć, a kiedy dotarł na właściwą kondygnację, najpierw musiał chwilę odpocząć, żeby dojść do siebie. Nie zamierzał przecież stanąć naprzeciw własnej mamy i dyszeć przed nią jak chory słoń. Przeciwnie, chciał zrobić jak najlepsze wrażenie, żeby mama Violetta nie posiadała się z zachwytem, że wreszcie może zobaczyć swojego syna, którego nie widziała tak długo.

Prawie nigdy, ściśle biorąc.

Rozejrzał się. Na piętrze było czworo błyszczących drzwi, wszystkie w identycznym jasnobrązowym kolorze. Na jednym widniało nazwisko Zimmermann, na drugim Brahms-Bergh, na trzech – Vogel, a na czwartych w ogóle nie było tabliczki. Z tylnej kieszeni

spodni wyjął grzebień i przeciągnął nim kilka razy po włosach, poprawił ubranie i plecak, sprawdził, czy żółte są porządnie wypucowane i czy puls spadł mu już do siedemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę.

Następnie dotknął palcem dzwonka i wysłał przeciągły buczący sygnał.

Cofnął się o krok i czekał.

Nic się nie wydarzyło.

Spróbował jeszcze raz.

I czekał.

Nic.

Na pewno siedzi w wannie, pomyślał. Poczekam jeszcze pięć minut, dam jej czas, żeby mogła się wytrzeć i narzucić na siebie płaszcz kąpielowy.

Jednak nie zdążyło upłynąć pięć minut. Po mniej więcej trzech otworzyły się drzwi po prawej, te, na których nie było tabliczki z nazwiskiem. Wyszedł z nich starszy pan. Był wysoki i chudy, ubrany w czarny wymięty garnitur i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Włosy miał siwe i bujne. Arne stwierdził, że przypomina mu aktora, którego widział w wielu filmach, i to zawsze w rolach łajdaka. Zdaje się, że nie golił się od trzech czy czterech dni. Zarost też miał siwy, a na czole, tuż nad jedną brwią, siedział mu ciemnoczerwony motyl.

Nie, to na pewno nie był motyl, tylko jedna z tych plam, które nigdy nie znikają... znamię. No jasne, bo po co ktoś miałby chodzić z motylem na czole?

Stali i patrzyli na siebie – mężczyzna w drzwiach swojego mieszkania, Arne przy sąsiednich, plecami do nich. Minęło wiele sekund, i w końcu powoli, bardzo powoli, zaczęło się coś dziać. Arne czuł, jak jego ciało ogarnia paraliżujące odrętwienie, jakby dostawał gorączki, a kiedy szukał w głowie czegoś, co mógłby powiedzieć, tylko szumiało w niej pusto i samotnie, mniej więcej tak samo jak wtedy, kiedy dawno temu siedział przy łożu śmierci taty Torstena.

Chociaż tak naprawdę to wcale nie było tak dawno temu. Gdy zastanowił się chwilę, uświadomił sobie, że od tamtej pory minęło nie więcej niż kilka...

Mężczyzna coś powiedział. Przytłumionym, trochę ochryłym głosem, prawie szeptem. Arne go nie rozumiał.

Mężczyzna westchnął. Wzruszył ramionami i pokazał mu swoje dłonie od wewnątrz. Arne wciąż nie rozumiał, co to może znaczyć. Ale w końcu przypomniało mu się kilka słów po niemiecku.

– *Isch suche mein Mutter.*

– Aha – syknął mężczyzna. – *Deine Mutter?*

– *Genau* – odpowiedział Arne. – *Mutter.*

Zdjął z ramion plecak i wyciągnął notes. Podszedł do nieznajomego, który wciąż stał w drzwiach swojego mieszkania, i podał mu notes otwarty na informacji:

ICH SUCHE MEINE MUTTER. IHRE NAME IST VIOLETTA DUFVA ODER VIELLEICHT VIOLETTA LUMMERSTEN. SIE WOHNTE HIER IN DIE ACHTZIGEN, VIELLEICHT SPÄTER. KÖNNEN SIE MIR HILFEN?

Podczas gdy tamten czytał z lekko osłupiałą miną, Arnemu przyszło do głowy, że to, co jest napisane na kartce, nie całkiem jest prawdą. Przecież mama Violetta nie mieszkała w tym domu w latach osiemdziesiątych, przeprowadziła się tutaj dużo później, jakieś dziesięć lat temu albo coś koło tego. Nie wiedział jednak, jak miałby temu osobliwemu panu to wyjaśnić.

Osobliwemu?

Tak, o s o b l i w e m u. Bo dlaczego na przykład na jego drzwiach nie ma tabliczki z nazwiskiem? I dlaczego z kieszonki na piersi wystaje mu strzykawka, no i dlaczego nagle zrobił się taki zadowolony? Przeczytał informację i z uśmiechem oddał mu notes. Z krzywym

uśmiechem, jakby go bolał ząb, pomyślał Arne, ale jednocześnie w jego oczach pojawiło się coś przyjaznego i... jak to się mówi?... przychylnego?

Wtedy przypomniał sobie o zdjęciu. Wyjął je z wewnętrznej kieszeni i mu je wręczył.

– *Mutter* – powiedział. – Violetta Dufva.

Mężczyzna wziął fotografię do ręki. Podniósł ją do samych oczu i przyjrzał się dokładnie. I nagle – mniej więcej tak samo jak zawsze bywało w przypadku Perry’ego Masona, kiedy wreszcie udało mu się zrozumieć, kto jest mordercą – wyraz jego twarzy się zmienił. Usta się otworzyły i wyraźnie było słycać ciężki, niemal dyszący oddech. Brwi uniosły się wysoko i wydawało się, jakby motyl na czole się poruszył. Nieznajomy długo wpatrywał się w zdjęcie mamy Violetty.

– *Was hast du gesagt?* – spytał z ociąganiem. – Violetta Dufva? *Aber... das hier ist Valetta... Valetta Pates. Genau wie sie war, wenn wir...*

Urwał i wpatrzył się w Arnego. Badawczo, rozgorączkowanym wzrokiem. Arne nie rozumiał, co tamten przed chwilą powiedział, ale jedno nie ulegało wątpliwości: ten człowiek ją rozpoznał.

Rozpoznał Violetkę Dufwę.

Wiedział, kim jest.

Wiedział, że... może być Violetką Vogel? Że są sąsiadami? Że ona mieszka za drzwiami, do których on właśnie zadzwonił? Albo...

Znowu poczuł, że robi mu się słabo. Karuzela w jego mózgu zaczęła wirować i ugięły się pod nim kolana. Na wszelki wypadek przysunął się do ściany i oparł o nią. Mężczyzna podszedł do niego i otoczył ramieniem.

Powiedział coś o *hilfen* – co, Arne to wiedział, znaczyło pomagać, zresztą to słowo było też w informacji na kartce – a wolną ręką wskazał na swoje mieszkanie, którego drzwi nadal stały otwarte na oścież.

On chce mi pomóc, pomyślał Arne. Pewnie da mi szklankę wody, a potem pokaże drogę do mamy. Dzisiaj naprawdę mam szczęście.

– *Isch bin Schweden* – dodał, po czym weszli razem do środka.

Mieszkanie było dziwne. Małe i ciemne, z ciężkimi zasłonami we wszystkich oknach, jedyne światło, jakie Arne zauważył, pochodziło z dwóch zapalonych świeczek stojących na stole w kuchni.

I właśnie tam poszli, do kuchni. Mężczyzna chwycił go od dołu za lewe przedramię, poprowadził do stołu i kazał usiąść na krześle. Sam zajął miejsce na drugim, krzesła były w ogóle tylko dwa, oparł się łokciami o blat i zaczął się przyglądać swojemu gościowi, nic nie mówiąc. Ani słowa, ale za to co rusz kiwał głową, jakby o czymś myślał, o czymś, co miało związek z Arnem, albo może jednak nie. Nie było to... nie było to szczególnie przyjemne.

– Hm, i co teraz zrobimy? – spytał Arne po szwedzku. Dobrze było przerwać milczenie, nawet jeśli Mężczyzna z Motylem (Arne postanowił tak go od tej pory nazywać) nie rozumiał nic a nic. – No więc, jak wspominałem, chodzi o moją mamę – ciągnął po szwedzku. – To dlatego tu przyjechałem...

Mężczyzna z Motylem nie rozumiał go, to było widać, mimo to uśmiechał się i kilka razy kiwnął głową. Zaczął cicho nucić pod nosem, turlając tam i z powrotem po blacie metalową kulkę, którą wyjął z kieszeni marynarki. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

– *Kein Problem* – powiedział. – *Ich kenne gut deine Mutter.*

– Słucham? – spytał Arne.

– *Ich kenne gut deine Mutter. Violetta Dufva... verstehst du?*

Arne starał się, jak mógł, pojąć jego słowa, i w końcu doszedł do wniosku, że muszą znaczyć, że ten mężczyzna naprawdę zna jego mamę. I chyba jeszcze spytał, czy go zrozumiał.

– *Jawohl* – odpowiedział. – *Verstanden alles.*

Mężczyzna z Motylem oddał mu fotografię i znowu się uśmiechnął. Arne miał wrażenie, że ten jego uśmiech jest trochę dziwny. Może to przez zęby, które jak gdyby chciały wypełznąć z ust, a kiedy unosił górną wargę, coś działo się także z jego oczami, rozpały się w nich iskry, jakby gdzieś na końcu długiego tunelu ktoś włączył latarkę.

Dziwne, pomyślał Arne. Nachodzą mnie dziwne myśli. Ale ostatecznie wypełniam w Berlinie misję, więc wszystko może się zdarzyć.

– Hipnoza – powiedział Mężczyzna z Motylem.

W każdym razie tak to brzmiało. Hipnoza? Co miał na myśli?

Arne nie miał pojęcia. *Keine Ahnung*, tak to się chyba mówi, ale ponieważ ten dziwny człowiek najwyraźniej dysponował informacjami, które mogły go doprowadzić do mamy Violetty, najbezpieczniej było robić dobrą minę do złej gry.

Tak pomyślał Arne Murberg, wziął dwa głębokie wdechy i skinął głową.

– *Hypno... sehr gut!*

Mężczyzna z Motylem wykrzyknął jakieś słowa z mnóstwem dźwięków sz. Potem klasnął w dłonie i dodał:

– *Heute probieren.*

– *Probi...?* – spytał Arne.

– *Kommen Sie bitte mit!*

Podniósł się i pociągnął Arnego za sobą z kuchni. Wprowadził go do ciemnego pokoju i od razu zapalił małą lampkę na komodzie. Było tam jeszcze łóżko przysunięte do ściany, a u jego wezglowia stało krzesło. Mężczyzna z Motylem usiadł na nim i dał Arnemu znak, aby położył się na łóżku. Ponieważ Arne czuł się już trochę zmęczony, bez protestu wykonał polecenie. Wyciągnął się na plecach, zawahawszy się najpierw, czy powinien zdjąć buty, czy nie.

Ponieważ jednak miał złe doświadczenia, jeśli chodzi o spanie bez butów w Berlinie, a poza tym jego żółte wyglądały na nowsze i piękniejsze niż kiedykolwiek, postanowił w nich zostać.

Mężczyzna z Motylem nie miał nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, wyglądał na zadowolonego i jednocześnie skupionego. O czym myślał, niełatwo było zgadnąć, naprawdę niełatwo, ale oto właśnie wyjął z jednej z licznych kieszeni garnituru jeszcze jeden mały przedmiot. Arne z zaskoczeniem stwierdził, że był to taki szklany pojemnik z piaskiem... minęło kilka sekund, zanim sobie przypomniał, jak to coś się nazywa. Klepsydra, no jasne! Jeśli się nie mylił, czegoś takiego używano kiedyś, jeszcze przed wynalezieniem zegarków, do mierzenia czasu. Ale do czego to coś potrzebne jest teraz temu człowiekowi... hm, to kolejna ciekawostka.

Chociaż miał wrażenie, że powoli zaczyna się oswajać. W gruncie rzeczy w Berlinie mogło wszystko się zdarzyć, a ponieważ był okropnie zmęczony, postanowił już niczemu się nie dziwić. Lepiej skorzystać z okazji i przez chwilę się zdrzemnąć, skoro już leżę na łóżku, stwierdził w duchu, i wyglądało na to, że Mężczyzna z Motylem też miał to na oku... tak się chyba mówi. Co masz na oku? – pytała zawsze ciotka Polly, kiedy go przyłapała, jak stał przed lodówką i szukał czegoś dobrego do przegryzienia.

Tak więc Mężczyzna z Motylem chyba miał na oku to, aby Arne zrobił coś, o czym akurat w tym momencie wręcz marzył. Chciał się zdrzemnąć.

– *Schlafen* – syknął swoim zachrypniętym głosem. Arne wiedział, że po niemiecku to słowo znaczy spać. – *Schlaaafffeeen...* – powtórzył tak przeciągle, że wprost nie sposób było nie opuścić powiek. Następnie uniósł klepsydrę i poruszył mu nią delikatnie przed oczami.

Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

– *Eins... zwei... drei... vier... schlaaafffeeen...*

Arne zamknął oczy i w tej samej chwili mężczyzna zaczął mamrotać całą litanię zupełnie niezrozumiałych słów. Arne, zanim zasnął, pomyślał jeszcze, że to chyba nawet nie był niemiecki. Z niewiadomego powodu uznał, że to język używany przez zmarłych, kiedy leżą po nocach w tych swoich grobach na cmentarzach i nie mają do roboty nic innego jak tylko rozmawiać ze sobą o tym, jak zimno i mało przytulnie jest w ziemi. To była dziwna myśl, strasznie dziwna, nigdy wcześniej coś takiego nie przyszło mu do głowy.

Ale to nie miało znaczenia. Sen otulił go jak ciężki ciepły koc i niemal od razu zaczęło mu się coś śnić. Nie był to jednak zwykły sen, zaraz to zauważył. Wszystko było zbyt wyraźne, za bardzo... oczywiste?

Może to wcale nie był sen.

Jest młodym chłopakiem.

Jest gdzieś na prowincji, chyba na skraju jakiejś wsi. W powietrzu czuć wiosnę, prawdopodobnie cofnął się daleko w czasie.

Stoi przy pniaku do rąbania drewna i rąbie szczapy, zdaje się, że jest zupełnie kimś innym. W każdym razie jest zdrowy, młody i krzepki, ma na sobie ubranie, które wygląda na staroświeckie i wiejskie. Koszula z surowego szarego płótna, wytarte spodnie kończą się tuż pod kolanami, na łydkach ma grube skarpety, a na stopach chodaki.

I jest silny. Z lekkością wywija siekierą, zgrabnie rozłupuje kolejne kloce drewna. Jeden jedyny dobrze wymierzony cios i wystarczy. Słońce świeci wysoko na jasnym niebie. Jest spocony, ale nie zmęczony. Pracując, nuci sobie coś pod nosem.

Za nim widać skupisko szarych niskich domów, w jednym z nich pewnie mieszka. Ptaki płasają w zaroślach na opadającym poniżej zboczu, po którym biegnie prosta droga. Właściwie to tylko dróżka, chociaż wystarczająco szeroka, aby iść nią we dwójkę albo we trójkę. Albo żeby przejechał wóz ciągnięty przez konia.

Robi krótką przerwę, ociera pot z czoła i rozgląda się. Przestaje śpiewać. Z lasu, który sięga niemal do domów i w którym droga znika niczym wąż w stercie kamieni, dobiegają jakieś odgłosy. Słyszy ujadanie psa, ale także coś innego. Coś, co skrzypi i trzeszczy, a niedługo potem rozlegają się też głosy ludzi: mężczyzny, który mówi zdecydowanie i władczo, i drugiego, który mu odpowiada. Ten drugi to ktoś mniej ważny, można by powiedzieć: poddany.

Poza tym parskanie konia.

Stoi przy swoim pieńku do rąbania drewna i czeka, czeka, aż powóz pokaże się na drodze. Siekiera na ramieniu, słońce prosto w twarz, aż musi kichnąć.

Wszystko tak rzeczywiste, że czuje własny oddech i bicie serca w piersi. Nie, to nie jest sen.

Serce ma trochę strwożone. Jakby oczekiwał niebezpieczeństwa, ataku.

Wyłaniają się z lasu. Dwa mocne konie pociągowe, jeden szaroczarny, drugi brązowy, a za nimi odkryty powóz. Woźnica w skórzanej kamizelce i czapce z daszkiem, a na siedzeniu za nim dwie osoby urzędowe. Trzymają się prosto, ubrani w czarne płaszcze i wysokie kapelusze, mimo że jest ciepło.

A na podłodze, ze spętanymi rękami, leży przywiązana młoda kobieta w szarej sukience i z rozpuszczonymi ciemnymi włosami. Bosa.

Rozpoznaje ją.

Beate. Najstarsza córka Greivaldów.

Ona też go zna. Oczywiście. Przecież są sąsiadami. Chociaż ich zagrody dzieli dziesięć minut drogi przez las. Są mniej więcej rówieśnikami, ale ojciec zawsze go przed nią ostrzegał. Z Greivaldami jest coś nie tak. Zwłaszcza z Valettą, gospodynią, i z pozostałymi kobietami też. Kiepsko jest z ich chodzeniem do kościoła, ale to nie wszystko.

Gdy tylko Beate go zauważyła, jak stoi z siekierą na ramieniu i patrzy na nią, próbuje się podnieść, ale sznur, którym ją przywiązano, jest za krótki, więc tylko przykłęka. Z jego ust dobywa się jęk – ona wygląda jak pełna dzikuska. Jest dzika i piękna. Gardło mu się ścisza, a w spodniach robi się ciasno, jak często mu się zdarza, gdy o niej myśli. Ostatnio. Widział ją nagą, jeden raz, kiedy kąpała się w rzece pod koniec zeszłego lata.

Takie to kuszące.

Takie realne. Takie dziwne.

A on sam kim jest na początku tej opowieści?

Nie wie tego. Ile ma lat? Może piętnaście. Nie wie ani skąd pochodzi, ani gdzie przynależy. Nie wie, w jakim kraju mieszka.

I nie zna też własnego imienia, dopóki ona nie zawoła nagle z drogi:

– Aron!

Nie, to wszystko nie może być snem.

Przełyka nerwowo i odrzuca siekiere. Puszczą się pędem za powozem, który już znika za zakrętem. Psy skaczą dookoła i ujadają, to muszą być psy z Greivaldu, bo one zawsze robią mnóstwo hałasu...

Woźnica smaga konie batem, a on dogania powóz dopiero wtedy, gdy jest już prawie przy kościele, który w swojej majestatycznej okazałości stoi po tej stronie wsi. Kościół na wzniesieniu, wieś na skarpie opadającej do ujścia rzeki i do brzegu jeziora. Zajeżdża na plac przed plebanią i zatrzymuje się.

On też przystaje, w stosownej odległości, dwudziestu, trzydziestu kroków. Nie ma odwagi podejść bliżej. Ale i tak słyszy, co krzyczy Beate:

– Chcą mnie spalić, jak czarownicę! Zamierzają mnie zamordować!

Słyszał tę plotkę, oczywiście. Przekazywano ją sobie na ucho i nawoływano do milczenia. Ostrożne poszeptywanie i nerwowe upominanie. Przez dwa lata z rzędu zbiory były marne, ziemia niemal przestała rodzić, zaczęło brakować jedzenia. Działy się też inne rzeczy. Choroby zabrały do grobu wielu młodych ludzi. Czarna magia i Bóg wie co jeszcze. Nocne schadzki. Proboszcz grzmiał z ambony. Nawiasem mówiąc, to on był jedną z tych dwóch osób urzędowych. Aron widzi, jak ten zastępca Boga na ziemi ciężko dyszy, wysiadając niezdarnie z powozu. Z plebanii nadbiega wikary, wygląda niczym chrząszcz oparty na dwóch chudych tylnych nogach, i wyciąga swoją chudą dłoń, a Maximander zdecydowanie ją odtrąca.

Kim jest drugi ubrany na czarno osobnik w powozie, Aron nie wie, ale to nieważne. Nie odrywa wzroku od Beate, która właśnie znowu coś do niego krzyczy.

– Niech mi ktoś pomoże! Nie chcę spłonąć, niech mnie ktoś uratuje!

O n. On jest tym k i m ś. Kimś, kto powinien ją uratować, zdaje się, że Beate to ma na myśli. Młody Aron ma sprawić, aby stos nie został podpalony, aby kapłani i władze zmienili decyzję i uwolnili ją, zamiast skazywać na śmierć. Tylko jak tego dokonać? Jak ona to sobie wyobraża?

Beate wykrzykuje coś jeszcze, lecz głos jej się załamuje, a ona sama kuli się we wstrząsany szloch tłumoczek zwinięty na podłodze powozu. Wikary i dwaj parobcy, którzy pospiesznie do niego dołączyli, zwlekają ją na ziemię i ciągną w kierunku plebanii, dokąd zmierzają już oba czarne płaszcze.

Tak, muszą naprawdę w l e c Beate, ponieważ robi wszystko, żeby jej nogi nie robiły tego, co do nich należy. Aron stoi bezradnie i patrzy, jak ciągną ją po piasku. Każdy z parobków trzyma ją mocno za rękę, obaj są wielcy i silni, jeszcze gwałtowniejsze przeciwstawianie się im nie miałoby sensu. Teraz Aron zauważa, że także jej stopy są spętane sznurem, więc nawet gdyby chciała iść, nie mogłaby zrobić kroku dłuższego, niż robi nowo narodzone cielę.

Kilka metrów od domu stoi niepomalowany drewniany budynek, obszerny magazyn albo spichlerz i to tam ją prowadzą. Wikary – zdaje się, że nazywa się Carambolius, doprawdy dziwne imię – z trudem otwiera ciężkie drzwi kluczem, który wyłowił z kieszeni. Wpycha Beate do środka i przekręca klucz w zamku. A potem wszyscy trzej czyszczą się szczotką, jakby powalali się czymś zaraźliwym, i idą za tymi ubranymi na czarno. Znalazłszy się na werandzie, zdejmują z głów czapki, Carambolius puka w pociągnięte na białą drzwi i po chwili zostają wpuszczeni przez służącą.

Aron stoi nadal na drodze.

Kim on jest? Co ma zrobić? Co tu się wydarzy?

To miał być sen, a jednak nie jest. Gdzieś w oddali widzi wysokie góry.

Obchodzi spichlerz dookoła, wie, że w tylnej ścianie jest małe okienko. Pokrzywy sięgają mu do pasa, parzą go w łydki, ale on przebija się przez nie niezmordowanie. Dociera do okienka, które nie jest na tyle duże, aby człowiek mógł się przez nie przecisnąć w jedną albo w drugą stronę. Poza tym zasłania je masywna krata. Żeby móc zajrzeć do środka, musi się wspiąć na palce i wyciągnąć szyję. Ale i tak nie widzi nic poza belkami stropu i kawałkiem ściany. W środku jest ciemno, odrobina dziennego światła wpadającego przez okienko nie jest w stanie rozproszyć mroku i beznadziei wypełniających wnętrze.

Robi kilka głębokich oddechów, a potem szeptem wypowiada jej imię. Boi się, aby nie usłyszał go ktoś poza nią. Wie, że to miejsce... ten magazyn jest czymś w rodzaju aresztu. Więzieniem. Dla bluźnierców i złodziei.

I czarownic.

– Beate?

Odpowiada mu natychmiast. W jej głosie słychać i strach, i butę:

– Aron?

Beate przyciska twarz do surowej kraty, jej palce oplatają kurczowo dwa pionowe żelazne pręty. Jej wargi dzieli od jego ust jedynie szerokość dłoni, prawdopodobnie musiała na czymś stanąć, bo przecież nie jest aż tak wysoka. On też znajduje jakiś kamień, wyciąga go z pokrzyw i wspina się na niego. Nigdy jeszcze nie był tak blisko niej i nigdy tak daleko.

– Oni chcą mnie spalić. Oskarżają mnie...

Aron zapomina o swojej nieśmiałości.

– O co?

– O czary... mówią, że jestem czarownicą i mam konszachty... no wiesz...

– Ale przecież to nieprawda.

– Jasne, że nieprawda, ale ich to nic nie obchodzi.

Nie wie, co powiedzieć. Serce mocno bije mu w piersi, jakby chciało się koniecznie wydostać. Tak, właśnie tak, jego serce chce wyrwać się z ciała – a potem przeniknąć do niej, za kratę. Nie da się temu zaprzeczyć.

– Musisz mnie uratować, Aron. Miałam wizję. Jeśli mnie ocalisz, moglibyśmy... razem uciec.

– Wizję?

– Tak. Przyszłości.

Co ona wygaduje? Wizja? Przyszłości? I że oni... on i ona... że Beate z Greivaldu i on, Aron jakiś-tam, mają razem wyruszyć w świat? To byłoby naprawdę... nagle czuje się przepelnięny tęsknotą, odwagą i... wolą działania.

– Ale co ja miałbym zrobić? Chyba nie będzie z tobą aż tak źle, jak mówisz? Przecież oni nie mogą...

A jednak właśnie m o g ą, podobne rzeczy zdarzały się już w innych wsiach w kraju.

W tym momencie ona wpada mu w słowo:

– Dobrze wiem, co będzie, Aron, uwierz mi. To Carambolius, ten przeklęty mięczak, wymyślił to wszystko, a proboszcz wierzy w każde jego słowo. A co znaczy moje słowo przeciwko jego słowu? Tyle co nic, mniej niż wszy, jeśli mam być szczerą. Jeżeli mnie stąd nie wyciągniesz, będę zgubiona. Na pewno.

– A twoja matka?

– Moja matka nie odważy się wtrącić. Ani nikt z mojej rodziny. Bo też by spłonęli.

– Czy oni naprawdę mogą, tak po prostu...

– Nie, sami nie mają prawa skazywać nikogo na stos, ale za dwa dni przyjedzie królewski wysłannik. I on już ma taką władzę, może mnie skazać na śmierć w płomieniach. Na pewno da posłuch ich kłamstwom, podpisze dokument i tak to się skończy. Trzy dni, Aronie, tyle nam zostało. Wysłannik przybędzie w Wielki Czwartek, a ja mam zginąć w Wielki Piątek. Taki jest plan. Trzy dni!

Nagle głos jej się załamuje i zaczyna płakać. Aronowi udaje się wsunąć rękę za kratę i dotknąć jej policzka. Ona kładzie dłoń na jego dłoni i przytrzymuje ją. Kręci mu się w głowie. Mija dłuższa chwila.

Beate tłumii szloch.

– Wiem, gdzie jest klucz – mówi.

– Klucz?

– Klucz do drzwi tutaj. Carambolius ma go w pokoju.

– Wikary?

– Tak, musisz go zdobyć. Musisz mu go wykraść i mnie uwolnić. Przed piątkiem, bo potem będzie za późno.

– Obiecuję – mówi Aron. – Gdybym tylko wiedział, jak się do niego dostać.

Beate otrząsa się i puszcza jego dłoń. On zachowuje w pamięci jej dotyk, nie chce go zapomnieć. Opuszki jego palców drżą z radości i mrocznego oczekiwania.

– Wiem, gdzie go trzyma. W płaskim pudełku w biurku, zawsze go tam chowa.

– Skąd wiesz?

– O Caramboliusie wiem więcej, niżbym chciała – odpowiada Beate ponuro. – Nieduża płaska szkatułka, musisz ją znaleźć. I nie pytaj już o nic więcej, bardzo cię proszę, tylko idź do jego pokoju i wykradnij klucz! Potem wypuścisz mnie stąd i razem uciekniemy.

– Obiecuję... obiecuję ci, Beate. Obiecuję.

– Przed piątkiem – powtarza jeszcze. – Bo wtedy zjawi się człowiek króla i będzie za późno.

Aron kiwa głową. Cofa rękę. Ale ona wyciąga swoją przez kratę i... co ona takiego robi? Dotyka jego warg i wpycha mu w usta dwa palce. Aron zadaje sobie pytanie, co oznacza ten gest. Jej palce nie smakują prawie niczym, może są odrobinę słone i trochę słodkie.

Wizje?

Przyszłości?

Potem ją zostawia. Toruje sobie drogę przez morze pokrzyw, ale zanim dochodzi do rogu, ona woła za nim:

– To nie jest sen, Aronie! Pamiętaj, że to na pewno nie jest sen. Czekam na ciebie.

Mniej więcej wtedy zaczyna słyszeć drugi głos, z innego świata.

– ...pięć... cztery... trzy... dwa...

Między jeden a zero otwiera oczy i już jest na jawie.

Nie, myśli. To nie był sen. Żaden sen. Bo on nie spał.

To co to było? O co tu chodzi?

– Wszystko w porządku?

To ochryply głos Mężczyzny z Motylem. W pokoju jest niemal całkiem ciemno. Zamiast lampy pali się samotna świeczka. Arne wciąż leży na plecach na łóżku. Czuje się tak, jakby jego głowa była telewizorem, który właśnie wyłączono po dobrym, ale trudnym filmie.

Jeszcze jedna dziwna myśl. Nigdy wcześniej w jego czasce nie mieściło się tyle dziwnych myśli.

Mężczyzna z Motylem podchodzi do niego ze szklanką wody, na co on podnosi się

i opróżnia ją do dna.

Mężczyzna z Motylem coś mówi. Arne nie rozumie.

Wracają razem do kuchni i siadają przy stole. Arne miałby ochotę na jeszcze jedną szklankę wody, ale nie wie, jak to powiedzieć po niemiecku. Najważniejsze, żeby się stąd jak najszybciej wydostać, myśli. Muszę wyjść, inaczej zemdleję.

Mężczyzna z Motylem wyjmuje coś podobnego do kalendarza. Tak, to kalendarz.

– *Heute* – mówi i obrysowuje kółkiem jakąś datę. Trzynasty marca, jeśli Arne dobrze widzi. Niewykluczone, że to właśnie dzisiaj, myśli, ale nie najlepiej orientuje się w rachubie dni i miesięcy.

Mężczyzna z Motylem zaznacza kółkiem kolejną datę: trzeci kwietnia.

– *Dann kommst du noch einmal hier, verstehst du?*

– *Mein Mutter?* – rzuca nagle Arne. Zupełnie jakby zapomniał, po co tu przyjechał.

– *Genau* – odpowiada szybko tamten i uśmiecha się tym swoim dziwnym uśmiechem.

– *Am dritten!*

Rysuje jeszcze jedno kółko: wokół trójki.

I Arne rozumie. Tak mu się przynajmniej wydaje. Ma wrócić trzeciego kwietnia, ponieważ wtedy będzie tu także Violetta Dufva.

A może ona nazywa się Vogel?

Za cztery dni.

– *Neun Uhr am Abend! Am dritten! Sie kapiieren, ja?*

Wrywa kartkę z kalendarza i zapisuje mu to. Arne czyta, jest przekonany, że rozumie.

Ma przyjść trzeciego kwietnia o dziewiątej wieczorem. Ni mniej, ni więcej. Składa kartkę na pół i wciska do portfela.

Ale co z resztą? Z tym, co się stało wtedy, kiedy leżał na łóżku w ciemnym pokoju?

Do Beate z Greivaldu zostały tylko dwa dni. A może trzy?

„To nie jest sen. Czekał na ciebie”.

Jej głos jest zaskakująco wyraźny w jego głowie.

Obraz też. Jej palce w jego ustach.

Przed opuszczeniem Kyffhäuserstraße mówi Mężczyźnie z Motylem, jak się nazywa.

Podaje też nazwę i adres hotelu. Mężczyzna zapisuje sobie wszystko.

Na wypadek gdyby musieli skontaktować się przed piątkiem, przynajmniej Arne przypuszcza, że taki jest powód. Mężczyzna z Motylem pyta też, czy ma *Handy*. To jest słowo, którego Niemcy używają na określenie telefonu komórkowego, Arne to wie.

Kręci głową. Nie ma *Handy*. Zapodział go gdzieś kilka dni temu.

– *Bis Freitag dann. Neun Uhr am Abend.*

Arne potakuje. Zrozumiał. Podają sobie ręce na pożegnanie.

Wracając na Fasanenstraße, do hotelu Munck, gubi się po drodze. Po głowie krąży mu tyle myśli, że nawet nie zwraca uwagi na to, dokąd go prowadzą żółte. W końcu ląduje w ulicznej kawiarence przy Brandenburgische Straße. Czekać na kawę, kilkakrotnie próbuje powtórzyć nazwę ulicy. Na ścianie, zaledwie pięć metrów od niego, wisi tabliczka.

Nie bardzo mu to idzie. Czuje się kompletnie wypompowany, lecz kiedy w końcu na stoliku przed nim staje filiżanka kawy (w towarzystwie szarlotki z sosem waniliowym), usiłuje mimo wszystko pojąć. Pojąć, czego doświadczył w tym bladezielonym domu przy Kyffhäuserstraße. Wydaje mu się, jakby znalazł się w dwóch snach z rzędu. Albo w filmach. Najpierw objawienie Dufva–Vogel i Mężczyzna z Motylem, a potem Beate, dziewczyna, która zostanie spalona na stosie, jeżeli nie zdoła jej uratować. Wtedy, dawno, dawno temu.

A mimo to nie chodzi tu o sny czy o filmy, ani o jedno, ani o drugie. Skąd to wie z taką pewnością – to oczywiście kolejna zagadka. Co prawda Arne Murberg często odbiera życie w mniej więcej taki sposób – jako pełne dziwacznych i skomplikowanych związków – nigdy jednak nie wyglądało to aż tak. Przenigdy.

Z drugiej strony jest przecież pierwszy raz w Berlinie. W mieście, w którym może się zdarzyć wszystko.

Nie byłoby źle, gdybym miał z kim o tym pogadać, pomyślał. Wyglądało jednak na to, że poza Perrym Masonem nikt nie byłby zdolny rozplątać wszystkich tych nici.

Nie, to musiałyby być p r a w d z i w i e inteligentny i p r a w d z i w y człowiek... nie taki, który mieszka tylko w jego wyobraźni, i na pewno nie taki ważniak jak wuj Lennart czy ciotka Polly... tak, byłoby naprawdę super.

Myśli sobie Arne Murberg. Bo nie ma pojęcia, jak miałby to wyjaśnić na własną rękę. Co ma teraz zrobić? Gdzie tu sens?

Wypija kawę i zjada ciasto. Potem rozkłada swój sfatygowany plan miasta, żeby przynajmniej spróbować się zorientować, gdzie, do diabła, w ogóle jest. Nie takie to proste, świat to mrowisko.

Zmierzcha już, kiedy wreszcie dociera do hotelu Munck. Po południu nie nadeszły żadne nowe wiadomości od wuja Lennarta, co sprawia, że z jakiegoś powodu czuje się trochę zawiedziony. Jakby w domu, w K., przestali się o niego martwić.

Jakby było im obojętne, jak mu się wiedzie.

Robi sobie ciepłą kąpiel i postanawia, że tego wieczoru zje kolację w hotelowej restauracji. Po takim dniu jak ten nie robi się ani jednego niepotrzebnego kroku, jeśli nie jest to niezbędne.

Nawet w żółtych.

Dzień szósty

Kiedy się obudził i spojrzął na zegarek, stwierdził, że spał trzynaście godzin.

Ale to i tak daleko do dwudziestu pięciu ciotki Polly, a kiedy zszedł na dół, do jadalni, podawano jeszcze śniadanie. Tak więc nic złego się nie stało.

Zjadł z dosyć sporym apetytem, próbując sobie przypomnieć, co spożył na kolację poprzedniego wieczoru. Dokładnie przy tym samym stole, przy którym siedział. Ale pamięć go zawodziła. W każdym razie nie była to *Bratwurst mit Kartoffelsalat*, co do tego nie miał wątpliwości, bo czegoś takiego na pewno by nie zapomniał. Wróciło natomiast wspomnienie tego, co przeżył wcześniej.

Niestety, trzeba niestety powiedzieć. Ponieważ nie wpłynęło to korzystnie na jego apetyt.

Kyffhäuserstraße. (Nadal pamiętał nazwę, jeszcze nawet tego ranka widział literę po literze, co oczywiście musiało zatrzeć cały szereg innych wspomnień).

Kwestia Dufva–Vogel.

Mężczyzna z Motylem.

Sen, który nie był snem.

Beate... jak to ona się nazywała? Beate Greivald? Tak, chyba tak.

Która w piątek ma spłonąć na stosie, jeżeli jej nie pomoże.

Jeżeli nie uda mu się wykraść klucza i jej uwolnić.

W innym... tak, w innym świecie. W innym czasie.

To była bez dwóch zdań najdziwniejsza rzecz, jaką Arne Murberg kiedykolwiek przeżył. Dzisiaj jest wtorek, to wiedział – w t y m czasie i może także w tym i n n y m. Musi uratować Beate Greivald najpóźniej w czwartek. W przeciwnym razie w piątek zostanie spalona.

W Wielki Czwartek, bo właśnie trwał Wielki Tydzień. Tak było i tak jest. A Wielki Piątek jest tym dniem, kiedy Jezus Chrystus został ukrzyżowany i umarł na krzyżu. Trochę się jednak orientował. Wiedział to i owo o chrześcijaństwie i o podobnych rzeczach.

Ale czarownice?

Ale uciekać?

Wtedy i dzisiaj?

Ma uciec z tą Beate?

On, Aron?

Ja przecież jestem Arne, pomyślał Arne, nie jestem tamtym Aronem.

A jednocześnie miał wrażenie, jakby chciał nim być. Wpatrzony w połowę porcji jajecznicy, którą wciąż miał na talerzu, zastanawiał się. Tak, to nie jajecznicą się zastanawiała, tylko Arne. Mówiąc dokładniej: *Arne Albin Hektor Murberg z K. w Szwecji*. Trzeba zawsze i cały czas być sobą, myślał. Nic dziwnego, że to może wydać się nudne. A gdyby tak mógł być tamtym zdrowym młodzieńcem, Aronem, który rąbie drewno jak półbóg, który jest zdrowy, silny i piękny i który... ma szansę ocalić młodą Beate Greivald z rąk szatańskich księży, a potem razem z nią wyruszyć w świat? Na samą myśl o tym poczuł w całym ciele dziwne pulsowanie.

Chociaż to wszystko było, rzecz jasna, dosyć obrzydliwe, trudno zaprzeczyć. Spalić kogoś na stosie! Faktycznie wypadało temu zapobiec. Powinien zrobić to Aron albo ktoś inny – za wszelką cenę, jak to się mówi. Wciąż przyglądając się jajecznicy, Arne westchnął ciężko i niespokojnie.

Wizje przyszłości – powiedziała. Ciekawe, co to mogło znaczyć. Przecież to było gdzieś głęboko w przeszłości. Zdaje się, że setki lat temu. Ale tak czy inaczej, niezależnie od tego, co to wszystko znaczyło i jak miało się skończyć, życie Arona było bez dwóch zdań o wiele bardziej

interesujące i ekscytujące niż monotonne i zupełnie nieciekawe życie Arnego Murberga. Prawda?

To znaczy nieciekawe do teraz, poprawił się w myślach. Bo od kiedy przyjechał do Berlina, zaczęło się przecież dziać to i owo, nie da się zaprzeczyć. Albo...

...albo między Arnem a Aronem nie istniała żadna różnica. To tylko kwestia innego... czasu?

Tak jakby.

Co za pytania!

Westchnął znowu i stwierdził, że nic a nic z tego nie rozumie, co – jak już wspomniano – nie było dla niego obcym doznaniem. Ludzi, którzy uważają, że prawie wszystko jest niepojęte, trudno zaskoczyć – powiedział kiedyś tata Torsten, i chyba miał rację. Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, Arne dobrze pasował do tej roli.

Roli? Zmarszczył czoło i przełknął ostatni kęs już trzeciego croissanta z masłem i dżemem malinowym. Jakiej znowu roli? Przecież to chyba nie były zdjęcia do filmu?

A w piątek miał być znowu u Mężczyzny z Motylem, bo wtedy będzie mógł się zobaczyć z mamą. Z Violetką Dufwą. W realnym czasie.

W realnym czasie? – pomyślał. Wielki Boże.

Czy to znaczy, że wtedy będzie już za późno? Czy jeśli poczekam do piątku, tamta Beate zostanie spalona?

Strzepał ze spodni górę okruchów po croissantach i przygryzł wargi. Potrząsnął głową tak mocno, że prawie w niej zatrzęszczało. Jak to się stało, że znalazł się w takiej sytuacji? Co się dzieje? Jak ma się z tym wszystkim uporać?

Odsunął talerz, jajecznica będzie musiała sobie poradzić bez niego. Energicznie wstał od stołu i opuścił jadalnię. Dokąd powinien się udać – tego nie wiedział, ale jedno wiedział na pewno: musiał wyjść.

Musiał się ruszyć. Jego nogi musiały popracować. Nie przypominał sobie, by czuł coś takiego w ciągu ostatnich dwudziestu lat, albo jeszcze dłużej.

Ale wciąż nie mógł przestać łamać sobie głowy. I to nie tylko z powodu tego, co się stało poprzedniego dnia, ani dlatego, że spał trzynaście godzin: chodziło chyba o istnienie w ogóle. Kiedy znalazł się na chodniku przed hotelem, na Fasanenstraße, nie upłynął jeszcze nawet tydzień od jego przyjazdu do Berlina, a wydawało się, jakby minęło ze sto lat.

Jak to możliwe? Czy czas nie mija zawsze w jednakowym tempie?

I jak to się stało, że wylądował w tamtej wiosce dawno, dawno temu, a jednocześnie leżał na łóżku w mrocznym mieszkaniu przy Kyffhäuserstraße? Czy tamten Aron w jakiś sposób mógł być nim? Tylko jak? Swoją drogą takie odnosił wrażenie, nie dało się zaprzeczyć.

– Co się dzieje, Perry? – spytał na głos, stojąc w tłumie Niemców, którzy czekali na zielone światło i też chcieli przejść na drugą stronę Kantstraße.

Nie mogę ci odpowiedzieć – odrzekł Perry. – *Dzisiaj mam wolne, musisz się zgłosić jutro.*

– Typowe – wymamrotał. – Nawet na Perrym Masonie nie można polegać.

A może, pomyślał, kiedy już przeciął Kantstraße, może mieszkał o wiele za długo w K.? To znaczy on, Arne, nie Perry. Prawdopodobnie na tym mógł polegać problem. Wystarczyło, że opuścił dom na kilka dni, i nagle w jego życiu zaczęło się coś dziać. No czy tak nie jest? Działo się dosłownie wszystko, co tylko możliwe, chodziło jedynie o to, aby starać się dotrzymać kroku.

Na pewno?

A dlaczego nie? Przecież w szybkim tempie nie ma nic złego, stwierdził, idąc dalej Fasanenstraße, na północ. Mimo to trochę się martwił. Właściwie to porządnie się martwił, jeśli mam być szczerzy. Bo czy na przykład temu Mężczyźnie z Motylem można zaufać? Kim on tak

naprawdę jest? Kim tak naprawdę był człowiek, który pojawił się dokładnie w chwili, kiedy on zadzwonił do drzwi pani Vogel?

Violetty Vogel. Jego mama zmieniła nazwisko, jednego ptaka zamieniła na innego, czy to też nie jest całkiem dziwna historia?

Co wydarzy się w piątek?

Tak, pytania kłębiły się nieprzerwanie za czołem Arnego Murberga, on zaś, nie planując tego wcale, skierował kroki w stronę Tiergarten. Potrafił już dotrzeć tam bez mapy, a świadomość, że skoro się tam znajdzie, będzie mógł spędzić chwilę na swojej ławce i kupić sobie *Currywurst* u Herr Imbissa, sprawiła, że poczuł się bezpieczny. Mimo że nie był ani trochę głodny.

Czy kiedy człowiek za dużo myśli, traci apetyt? Tata Torsten nigdy nic nie mówił na ten temat, ale może rzeczywiście tak jest. Ponieważ jednak Arne nie był szczególnie przyzwyczajony do wysiłku umysłowego, nie mógł wypowiedzieć się w tej kwestii.

Mimo to było przecież, jak wspomniano, sporo spraw, nad którymi musiał się zastanowić. Całkiem sporo.

Także tego dnia pogoda była ładna i wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi, zwłaszcza w parku. Arne nie wiedział, czy w niemieckich szkołach też są ferie wielkanocne, tak jak w Szwecji. W każdym razie trawniki były oblężone: młodzi ludzie wylegiwali się na trawie, jak to nastolatki, grali w piłkę, przepychali się, jedli chipsy, obściskiwali się i korzystali ze słońca.

Nastolatki? – pomyślał Arne. Tamten Aron na pewno był nastolatkiem. Co się stało z moimi nastoletnimi latami?

Nie pamiętał. On w każdym razie nigdy się z nikim nie obściskował. Zostawił tę myśl w spokoju i szedł dalej ścieżką, którą zawsze wybierał. Od czasu do czasu dostrzegał ponad koronami drzew dużego złotego anioła, który – o ile mu wiadomo – stał dokładnie w centralnym punkcie Berlina i nazywał się Victoria. A potem dotarł wreszcie do swojej ławki.

Nie była wolna.

Siedziała na niej co najmniej dwudziestka młodych ludzi. I dookoła niej. Wyglądało na to, że coś świętują, wydawali radosne okrzyki, śmiali się i... no tak, jedli chipsy i obściskiwali się.

Westchnąwszy, pomyślał, że gdyby był Aronem, mógłby się do nich przyłączyć. Ale dzisiaj nie był Aronem, tylko Arnem, więc ruszył w kierunku Herr Imbissa. Trzeba umieć zadowolić się tym, co się ma, powtarzał zawsze wuj Lennart.

Zniknęła.

Budka z kiełbaskami Herr Imbissa zniknęła. Arne Murberg stał jak wryty z bezradnie opuszczonymi rękami i rozdziawionymi ustami.

Tego już za wiele.

Nie ma ławki i nie ma *Currywurst*.

Zdezorientowany rozejrzał się dookoła. Może Herr Imbiss przesunął tylko swoją budę kawałek dalej? Stała na kółkach, dobrze to pamiętał, no bo jaki mógłby mieć powód, żeby tak na łapu-capu się ulatniać?

Umarła mu żona? Albo pies niechcący połknął skarpetę i musiał pilnie trafić do weterynarza? Takie rzeczy się zdarzają, Arne miał tego świadomość, ale czy musiały przytrafić się akurat wtedy, kiedy bardzo czegoś takiego potrzebował... tego poczucia bezpieczeństwa, które dawało mu siedzenie na własnej ławce i wcinanie smacznych czerwonych kawałków kiełbasy... hm, to naprawdę wcale nie było zabawne. Ani trochę.

To jak dostać prosto w pysk, stwierdził Arne Murberg. Człowiek ma ochotę usiąść i po prostu się poddać.

Arne jednak tego nie zrobił. Wziął się w garść i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. W takim razie zjem lunch z Perrym Masonem, postanowił. To jedyny sposób, żeby poradzić sobie z takim pechowym dniem. Perry musi się włączyć, mimo że właściwie ma wolne.

Także przy okienku baru na wysokości Bahnhof Zoo kłębili się ludzie. Przechodził już obok niego, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby się przy nim zatrzymać. Wyglądało na to, że najpierw trzeba stanąć w kolejce, aby potem, kiedy już dojdzie się do otworu w ścianie, zamówić, co się chce.

Zatem tak zrobił. Stał na końcu długiego ogonka i czekał na swoją kolej. Na dużych tablicach wypisano listę rozmaitych potraw, a było ich tak dużo i ich nazwy były tak niezrozumiałe jak choroby ciotki Polly. Poza tym nie wystarczyło wskazać na którąś palcem, bo panie w okienku nie mogły zobaczyć, co się pokazuje. Kiedy więc wreszcie przyszła kolej na niego, nie miał pojęcia, co ma powiedzieć albo zrobić.

– Eee... nie za bardzo wiem... – zaczął po szwedzku. – *Isch heisse Arne... Schweden.*

Kobieta, do której się zwrócił, uniosła oczy do góry i coś bąknęła.

– *Bratwurst* – wykrztusił.

– *Tut mir leid. Gibt keine Bratwurst.*

To najwyraźniej brzmiało tak, jakby nie mieli *Bratwurst*. Czyli nic z tego. Kiedy już postanowił opuścić kolejkę i poszukać sobie innego lokalu, usłyszał za sobą głos:

– Pomóc ci? Jak chcesz, mogę przetłumaczyć.

Odwrócił się do tyłu. Młoda kobieta na wózku inwalidzkim mówiła do niego po szwedzku. Uśmiechała się przyjaźnie i rozkładając ręce, próbowała dać mu do zrozumienia, że dla niej to żaden problem.

On też się do niej uśmiechnął. To prawdziwy anioł ocalenia – w zastępstwie Perry’ego Masona (który swoją drogą nie był orłem w niemieckim, bynajmniej).

– Mówisz po szwedzku? – spytał Arne. – Co za szczęście!

– Owszem – potwierdziła kobieta. – Rozumiem całkiem nieźle. Co chcesz zjeść?

– Nie za bardzo wiem, jaki jest wybór – przyznał.

– Mają tu dużo różnych rzeczy. Na co miałbyś apetyt?

Chwilę się zastanawiał.

– Wszystko mi jedno – powiedział. – Byle było dobre.

Kobieta się roześmiała. Za nimi utworzyła się całkiem spora kolejka i Arne zauważył, że ludzie zaczynają już szemrać. Zwłaszcza niewysoki mężczyzna w zielonym kapeluszu z piórkiem – wąsy drżały mu od ciągłego dogadywania. Oczywiście blokowanie kolejki nie było rozsądne, Arne zdawał sobie z tego sprawę.

– A ty co będziesz jadła? – spytał.

– Chyba wezmę *Flammkuchen* – powiedziała. – I *Apfelschorle*.

– A to dobre?

– Mnie smakuje.

– Wobec tego zdecyduję się na to samo.

– Z łososiem i paroma innymi drobiazgami.

– Łosoś jest smaczny – rzucił.

– Okej – roześmiała się kobieta. – Wobec tego zamówię dla nas obojga.

W tym momencie Arne wpadł na genialną myśl. Ale zdał sobie z tego sprawę dopiero później, ponieważ to była jego pierwsza genialna myśl od dwudziestu trzech lat.

– Zapraszam cię – oznajmił. – W podziękowaniu za pomoc.

Nie wiedział także, że to odmieni jego życie. No bo skąd miałby to wiedzieć?

Chwilę później siedzieli przy jednym stoliku, kobieta na wózku, Arne na krześle, i czekali

na swoje *Flammkuchen*. Podpłomyki. Arne przetłumaczył to sobie na szwedzki. Interesujące.

– Podobają mi się twoje buty. – Wskazała na jego żółte i znowu się roześmiała.

– Prawda, że ładne? – odpowiedział z dumą. – Musiałem kupić sobie nowe, bo stare mi skradziono.

– Skradziono?

– Tak.

– Tutaj, w Berlinie?

– Tak, ale to nieważne. Gdybym ich nie stracił, nigdy nie znalazłbym tych.

– Masz rację – odrzekła. – Tak czy owak są super. Nie tak często widzi się buty w takim kolorze.

– To prawda – potwierdził. – Jak to się stało, że mówisz po szwedzku? Bo przecież chyba nie jesteś...

– Nie, nie – zaprzeczyła. – Jestem Niemką. I nigdy nie byłam w Szwecji, chociaż chętnie bym się tam kiedyś wybrała.

Zauważył, że jego wybawczyni mówi trochę zabawnie, mniej więcej jak wdowa Bollig, która przychodziła do ich sklepu co piątek i kupowała paczkę papierosów, ponieważ także w minionym tygodniu nie udało jej się rzucić palenia.

Ale jej szwedzki brzmi sympatycznie, stwierdził. Jakoś pogodniej niż w wydaniu rodowitego Szweda.

– Za to mój niemiecki jest żaloszny – oświadczył. – Dobrze, że akurat się tu znalazłaś, bo gdyby nie ty, nic bym nie zjadł.

Kolejny raz wybuchnęła śmiechem.

– A co robisz w Berlinie? I jak masz na imię?

– Mam na imię Arne i przyjechałem tutaj, żeby odszukać swoją mamę.

– Słucham? Co masz na myśli?

– No tak, jestem tutaj z tego powodu – potwierdził. – Próbuję odnaleźć mamę. Nazywa się Violetta Dufva.

– A dlaczego musisz jej szukać? Zaginęła?

– Tak. Chociaż to stało się wiele lat temu. Wtedy jeszcze prawie nie było mnie na świecie.

– Aha... – Kobieta spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Wysłał mnie tutaj mój tata. Ale on już nie żyje.

Na jej twarzy odmalowało się jeszcze większe zdziwienie. Arne domyślił się, że jego wyjaśnienia musiały zabrzmieć trochę zagadkowo.

– To wszystko wydaje się pewnie odrobinę pokręcone – przyznał. – Ale ja też jestem... trochę pokręcony.

Uśmiechnęła się. A kiedy się uśmiecha, wygląda naprawdę słodko, stwierdził Arne. Oceniał, że chyba jest mniej więcej w jego wieku, ponieważ jednak nigdy wcześniej nie rozmawiał z kobietą jeżdżącą na wózku inwalidzkim, mógł się mylić.

Kiedy zastanowił się głębiej, doszedł do wniosku, że tak naprawdę jeszcze nigdy nie siedział tak i nie rozmawiał w ogóle z żadną kobietą. Nie licząc, rzecz jasna, ciotki Polly, czego naprawdę nie musiał robić.

– A ja mam na imię Beate – przedstawiła się. – I wcale nie uważam, że jesteś pokręcony. Raczej zabawny. Takie jest moje zdanie.

Arne poczuł, że się czerwieni. Dopiero po chwili dotarło do niego, jak ma na imię.

– Beate? Naprawdę masz na imię Beate?

– Tak. A co w tym takiego dziwnego?

Pokręcił głową.

– Chodzi tylko o to...

– Tak?

– Nie, nie, to jest tak dziwne, że... że sam nie wiem, czy powinienem w to wierzyć.

Kiedyś na mojej ulicy mieszkała dziewczyna... a potem... nie, to jest arcydziwne.

Siedziała naprzeciwko niego, nic nie mówiąc, i przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem.

– A nie mógłbyś mi tego wszystkiego opowiedzieć? – spytała po chwili. – Wyjaśnić, co jest takie arcydziwne.

Próbował się zastanowić.

– Nie wiem, od czego miałbym zacząć – powiedział.

– Może od początku? – zaproponowała, ale właśnie w tym momencie przyniesiono im duże placki z lososiem, kaparami, sosem chrzanowym i całą masą innych dodatków.

Nastąpiła krótka pauza.

– Pyszne – rzucił Arne, kiedy już spałaszował połowę swojego. Jedli w milczeniu, co mu bardzo odpowiadało, ponieważ potrzebował czasu, żeby poukładać sobie w głowie to, co miał powiedzieć. Żeby się zastanowić, jak ma to wszystko wyjaśnić tej sympatycznej kobiecie.

Kobiecie, która – nie sposób uwierzyć – miała na imię Beate.

– Miło, że jesteś tego samego zdania co ja – powiedziała. – Przepadam za *Flammkuchen*. Ale teraz zamieniam się w słuch. Musisz mi po prostu wszystko po kolei opowiedzieć.

Uwielbiam opowieści. Właśnie dlatego nauczyłam się kiedyś szwedzkiego.

– Ach tak? – zdziwił się Arne. – To po to trzeba znać szwedzki?

Zdecydowanie kiwnęła głową.

– Przynajmniej jeśli się lubi Astrid Lindgren. Wtedy woli się czytać jej książki w tym języku, w którym zostały napisane.

– Astrid Lindgren? No tak, nie przeczytałem w życiu zbyt wielu książek, bo... ach, nieważne. Ale Astrid Lindgren czytałem. *Fizję Pończoszankę*, *Braci Lwie Serce* i...

– *Bracia Lwie Serce* to pierwsza jej książka, którą przeczytałam! – wykrzyknęła Beate, klaszcząc w dłonie. – Prawda, że jest cudowna? Wracam do niej co najmniej trzy razy w roku.

– Ja lepiej pamiętam film – przyznał Arne. – Widziałem go nie tak dawno...

– Fantastycznie! – rzuciła Beate, uśmiechając się promiennie całą swoją drobną okrągłą buzią.

Tak, fantastycznie, stwierdził w duchu Arne. Ona jest naprawdę niesamowicie miła i serdeczna.

– Dlaczego jeździsz na wózku? – spytał.

– Cierpię na pewną chorobę.

Więcej nie chciała powiedzieć. Przynajmniej wtedy. Obiecała, że później mu to wyjaśni, i zwróciła uwagę, że ona pierwsza zadała pytanie. Najpierw on musi jej wyjaśnić, co, u licha, porabia w Berlinie, a potem mogą porozmawiać o czymś innym.

I Arne zaczął. Zaczął od samego początku, tak jak zaproponowała. Na wstępie opowiedział o wypadku w jeziorze tysiąc lat temu i o tym, dlaczego jego życie wyglądało tak, jak wyglądało, po czym szybko przeszedł do tego, co ojciec wyznał mu w szpitalu tuż przed śmiercią.

O zadaniu.

O szkatułce, którą miał przekazać mamie.

O wizytach na Knobelsdorffstraße i Kyffhäuserstraße. (Pominął sikanie w parku i wieczór, kiedy stracił pamięć. Mimo najlepszych chęci nie da się wiele powiedzieć o rzeczach,

których się nie pamięta).

I o wydarzeniu w wielkim domu towarowym o takiej dziwnej nazwie.

– Może KaDeWe? – podsunęła Beate.

– O, właśnie – przytaknął. – To było tam.

No i oczywiście o Mężczyźnie z Motylem... i o tym, co się stało, gdy leżał na łóżku w ciemnym pokoju. O uwięzionej dziewczynie i o danej przez niego obietnicy, że ją ocali przed stosem. O kluczu, który miał wykraść wikaremu Caramboliusowi.

Najpóźniej w czwartek, bo w Wielki Piątek zamierzali ją spalić.

– Spalić czarownicę na stosie? – przerwała mu Beate, która do tej pory wsłuchiwała się w każde jego słowo z szeroko otwartymi oczami i ustami. Najwyraźniej bardzo ją interesowało to, co mówił: – Chcesz powiedzieć, że miała spłonąć na stosie, bo była czarownicą?

– Tak – przytaknął. – Tak twierdziła. Tyle że ja tam nie byłem Arnem... miałem na imię Aron... i byłem... i młodszy, i normalniejszy, niż jestem w rzeczywistości.

– Normalniejszy?

– Tak.

– I to wszystko działo się kilkaset lat temu?

– Tak myślę.

– Rany boskie! – Beate z niedowierzaniem pokręciła głową. – Czy nie tak mówiła mama Emila ze Smalandii? Co za niesamowita historia. W co ty się wpakowałeś?

Arne westchnął.

– Nie mam pojęcia. Nie jestem przyzwyczajony do takich sytuacji, coś takiego przydarza mi się pierwszy raz... przynajmniej po wypadku. Muszę przyznać, że czuję się trochę zagubiony.

– Wcale mnie to nie dziwi – odpowiedziała Beate z uśmiechem.

A potem zrobiła coś, czego on jeszcze nigdy nie doświadczył: wyciągnęła rękę ponad stołem i dotknęła jego dłoni.

– Chciałbyś, żebym ci trochę pomogła? Chętnie to zrobię, jeśli będę w stanie, poza tym cała ta historia brzmi niesamowicie intrygująco. Prawda?

Arne poczuł, że znowu się zaczerwienił. A zaczerwienił się dlatego, że ucisnęła mu lekko rękę, doskonale to wiedział, bo ten ucisk rozchodził się dalej, w górę, po ramieniu, a potem po całym ciele.

To było dziwne. I przyjemne.

Ale wyjątkowe było nie tylko to, że go dotykała, ale także to, co powiedziała.

Że chce mu pomóc.

I że uważa, że to... intrygujące.

No właśnie, pomyślał Arne Murberg. Bardziej intrygująco już być nie może.

Przynajmniej nie w moim życiu.

– Dziękuję – odpowiedział. – Byłoby super.

– Czyli nie używałaś nóg od dwudziestu lat?

Beate nieco uniosła szczupłe ramiona.

– Nie. Są tak samo do niczego jak nogi Sucharka.

– Sucharka Lwie Serce?

– Tak.

– A fajnie jest?

– Co takiego?

– Jeździć na takim wózku.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Nie mogę poruszać się inaczej.

Arne zastanowił się przez chwilę.

– Mógłbym cię nosić na rękach. Chyba nie jesteś specjalnie ciężka?

Roześmiała się.

– Ważę około pięćdziesięciu kilogramów. Dziękuję, to by było miłe.

– Ja ważę sto... tak mniej więcej. Nigdy w życiu nie jeździłem na takim wózku. To chyba wygodne?

– Wygodne?

– No tak. Tu, w Berlinie, biegam w kółko jak napalony kot dzwonnika, można się porządnie zmęczyć.

– Słucham? Co powiedziałaś? Napalony kot dzwonnika? Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Wuj Lennart często tak mówi.

– Brat twojego taty?

– Tak. On zna pełno takich powiedzonek.

Zamilkli na chwilę. *Flammkuchen* już dawno były zjedzone, sok jabłkowy z wodą gazowaną (trochę podobny do szwedzkiego napoju Trocadero, tylko mniej słodki) też został wypity. Arne zauważył, że Beate się zamyśliła. Prawdopodobnie nie dumiała o wuju Lennarcie ani o kocie dzwonnika. Nie, raczej chodziło o coś innego. O mamę Violetę i o Mężczyznę z Motylem, i o to, co się stało na Kyffhäuserstraße.

I o Beate, o tę drugą.

– Wiesz co, Arne... – odezwała się w końcu. – Uważam, że powinniśmy się do tego zabrać razem. Cały tydzień mam wolny i nic specjalnego sobie nie planowałam. Co ty na to?

– Okej! – odparł Arne Murberg i zarumienił się po raz trzeci w ciągu godziny. – Przyda mi się każda pomoc. Bardzo ci dziękuję, Beate.

Okazało się, że Beate Bittner (bo tak się nazywała) mieszka niezbyt daleko od Kyffhäuserstraße, zaledwie kilka przecznic dalej. Jej ulica nazywała się Meranerstraße i tam właśnie Arne udał się we wtorkowy wieczór, tego samego dnia, kiedy spotkali się w Knajpie przy Śluzie obok Tiergarten. Wyjaśniła mu, że nazwa ta (po niemiecku *Schleusenkrug*, Arne nawet nie próbował tego wymówić) wzięła się stąd, że w pobliżu znajduje się śluza. Beate czasami tam przyjeżdżała, zwłaszcza w niedziele, jeśli tylko dopisywała pogoda.

Po południu była umówiona z jednym z braci, ale wieczór miała wolny.

I, jak wspomniała, także cały tydzień. Normalnie pracowała niedaleko Meranerstraße, w bibliotece, którą na Wielki Tydzień zamknięto, żeby zreperować dach i pomalować sufity po zalaniu.

Tak więc stał przed wejściem do jej domu z bukietem kwiatów w ręce i sercem łomoczącym w piersi. To już trzeci dom, który odwiedzał w ciągu kilku dni pobytu w Berlinie, ale po raz pierwszy w życiu został zaproszony do kogoś na kolację. Jeśli oczywiście nie liczyć wuja Lennarta i ciotki Polly, czego właściwie, z grubsza rzecz biorąc, już nie robił.

Beate powiedziała tak: Przyjdź do mnie wieczorem na kolację. Musimy tę sprawę wyjaśnić.

O siódmej, dodała, i właśnie punktualnie o tej godzinie Arne położył palec na guziku dzwonka przy jej nazwisku: Beate Bittner.

Rozległo się brzęczenie i drzwi się otworzyły. Nabrał głęboko powietrza i wszedł. Szkoda, że jestem taki powolny w myśleniu. Taki ociężały i ograniczony. A może powinienem sobie wyobrazić, że jestem na przykład Aronem?

Był jednak kiepski w fantazjowaniu. Poza tym odniósł wrażenie, że w towarzystwie Beate Bittner na razie całkowicie wystarczy być Arnem Murbergiem. No tak, z czasem to się pewnie zmieni.

Przygotowała makaron ze smacznym sosem, ale kiedy go spytała, czy wypije kieliszek wina, odmówił. Pamiętał, że alkohol nie za dobrze pasuje do jego organizmu, nawet niemiecki, a nie chciał, żeby mu się przytrafiło jakieś nieszczęście, na przykład się przewrócił czy w inny sposób skompromitował przed Beate.

Tak więc również tym razem pili *Apfelschorle*.

– Może to i lepiej – zauważyła Beate. – Zachowamy trzeźwe głowy, a mogą nam się przydać.

Siedzieli w dużym i ładnym pokoju. Oprócz stołu pod oknem i krzesel nie było w nim wielu mebli, jedynie dwa fotele ze stolikiem między nimi i lampa stojąca. Poza tym trzy szczerlnie wypełnione książkami regały oraz tu i ówdzie kolorowe obrazy.

– Ładne obrazy – powiedział Arne, ponieważ po pierwsze był dobrze wychowany, a po drugie rzeczywiście tak uważał.

– Namalował je mój dziadek ze strony mamy – wyjaśniła Beate. – Wszystkie, co do jednego, ja też je lubię. Ale dziadka lubiłam jeszcze bardziej.

– Niesamowicie ładne – powtórzył Arne i zaczął się zastanawiać nad własnym dziadkiem. Ale skoro prawie nie miał mamy, to z dziadkami z jej strony prawdopodobnie było jeszcze gorzej.

Potem Beate zaczęła pytać, jak mu się żyje w K., a skoro była ciekawa, starał się jej co nieco opowiedzieć. Tyle że raczej niewiele było do opowiadania. Przypomniał sobie jednak coś, co usłyszał w jakimś filmie, który oglądał dawno temu.

„Człowiek jest jak krzew, trwa w miejscu, na które trafi, czasami pada na niego deszcz, ale czasami świeci słońce”.

Zapisał to sobie wtedy. W projekcji nastąpiła przerwa i pasek z tekstem został na dole ekranu na kilka minut, zanim puszczono taśmę dalej. Miał akurat pod ręką papier i ołówek, popcorn już mu się skończył, to był czysty przypadek.

I oto nagle znalazł zastosowanie dla tych słów: ale czasami świeci słońce.

Beate znowu się tak ładnie roześmiała. Cały pokój, aż po brzegi, wypełnił jej śmiech, prawie można go było dotknąć.

– Przecież ty na pewno nie jesteś krzewem – powiedziała. – Myślę, że to przeznaczenie, że przyjechałeś do Berlina.

– Przeznaczenie? – zdziwił się.

– Tak, przeznaczenie. Mocno wierzę, że coś takiego istnieje.

– Naprawdę?

– Każdemu jest pisane konkretne przeznaczenie: i tobie, i mnie, i wszystkim ludziom. Bo nie może być tak, że trafiamy tu, na ziemię, po prostu żyjemy chwilę i umieramy. Musi istnieć jeszcze coś... coś w i ę c e j.

Zamyślił się.

– Skoro tak mówisz... – rzekł z ociąganiem. – Ale co by to miało być? To... w i ę c e j ?

– Tego nie wiem dokładnie – przyznała. – Czasami też sama w to wątpię. Kiedy jest mi smutno albo wydaje mi się, że wszystko się przeciwko mnie sprzysięgło. Ale najważniejsze to wierzyć... szczerze wierzyć, że istnieje coś takiego jak przeznaczenie.

Przerwała na chwilę. Arne nie wiedział, co ma myśleć albo powiedzieć, wypił zatem łyk soku i czekał.

– Wyobraź sobie, że budzisz się rano i jesteś kimś innym – zaczęła znowu i roześmiała się głośno. – Co ty na to?

– Na przykład tamtym Aronem? – rzucił. – Hm, nie miałbym nic przeciwko temu. Jestem Arnem Murbergiem już nie wiadomo jak długo, więc może najwyższa pora zostać kimś innym.

– Ja też często tak myślę – powiedziała. – Może to jest tak, że kiedy się zostaje tym nowym człowiekiem, przestaje się pamiętać swoje stare ja?

– Eee... to brzmi trochę skomplikowanie – zauważył.

– Nikt nie mówił, że życie nie będzie skomplikowane – odparła. – Ale muszę cię zapytać o twoją mamę. Dlaczego was opuściła... to znaczy ciebie i twojego tatę?

– Nie wiem. Myślałem, że nie żyje, dopóki tata nie wyznał mi tuż przed śmiercią, jaka jest prawda. Że uciekła do Berlina z jakimś tru... z piosenkarzem.

– Kiedy byłeś całkiem mały?

– Tak, miałem rok albo coś koło tego...

– A twój wuj i twoja ciotka nic więcej ci nie powiedzieli? To znaczy po odejściu taty.

Pokręcił głową.

– Nie, nic mi nie powiedzieli. Ale myślę...

– Tak?

– Myślę, że oni nie byli nią zachwyceni. W każdym razie ciotka na pewno nie.

– I mimo to nie mieli nic przeciwko temu, żebyś tu przyjechał?

– Nie wiem. Przecież obiecałem to tacie na łożu śmierci... a takich obietnic trzeba dotrzymywać.

– Bezwzględnie – zgodziła się. – To obowiązek. A w tym pudełku, które masz jej dać, co według ciebie jest ukryte?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia.
- A gdzie ono jest?
- W pokoju, w hotelu.
- Nie da się go otworzyć?
- Zniszczyłoby się.
- Rozumiem.

Beate siedziała chwilę w milczeniu i intensywnie myślała. Arne żałował, że nie ma szkatułki przy sobie, bo mogliby ją razem obejrzeć.

– I nadal uważasz, że ta kobieta, którą widziałeś w KaDeWe, to twoja mama?
– kontynuowała Beate. – Teraz, po jakimś czasie? Przepraszam, że tak ci wierzę dziurę w brzuchu, ale to bardzo interesujące. W moim życiu też nie dzieje się wiele ciekawego. Dlatego tyle czytam.

– Też chciałbym czytać książki – odpowiedział i raptem poczuł się nieszczęśliwy. – Ale to niemożliwe, bo jakoś nie umiem się skoncentrować. Zamiast skupiać się na tym, co jest w książce, mam w głowie całe mnóstwo innych myśli. Nie wiem, czy to naprawdę była ona, to znaczy tam... w domu towarowym. Wtedy byłem pewny. Na mur-beton.

- Mimo że nigdy wcześniej jej nie widziałeś?
- Tylko jako niemowlę, potem już nie...

Znowu wzięła do ręki fotografię, którą pokazał jej chwilę wcześniej, i przyjrzała się dokładnie.

– Wygląda tutaj trochę tajemniczo, nie uważasz? Albo może po prostu chciałabym, żeby taka była.

- Czy ja wiem... – bąknął.
- Tajemniczo i ładnie...
- Mój tata nie był ani tajemniczy, ani ładny – wtrącił. – Może to dlatego od niego odeszła.
- Niewykluczone – zauważyła Beate. – Czyli ten Mężczyzna z Motylem powiedział ci, że będziesz mógł się z nią spotkać w piątek... w Wielki Piątek?
- Zgadza się, tak powiedział.
- Musimy jeszcze o nim porozmawiać – postanowiła Beate. – Napijesz się kawy? A może herbaty?

– Filiżanka herbaty dobrze by mi zrobiła. Pomóc ci?
– Możesz mnie zanieść do kuchni – rzuciła Beate. – Przecież zaproponowałeś coś takiego, kiedy jedliśmy w Knajpie przy Śluzie.

- Chętnie – powiedział.

Beate wybuchnęła śmiechem.

- Tylko żartowałam. Będziesz mógł to zrobić innym razem.
- Na pewno?
- Jak to powiedziałeś... na mur-beton?

Kiedy kilka godzin później padł na swoje łóżko (po tym jak wypili po trzy filiżanki herbaty i przewalkowali wszystkie dziwne rzeczy po tysiąc razy, a potem on trzynaście razy zgubił drogę, zanim wreszcie dotarł na Fasanenstraße i trafił do hotelu Munck), pomyślał, że dzień, który właśnie dobiegł końca, był po prostu fantastyczny.

Niezależnie od tego, co mogło się jeszcze zdarzyć z mamą Violetką, z Mężczyzną z Motylem i z Beate Greivald, teraz nie jest już z tym wszystkim zupełnie sam. Beate Bittner (zwracał uwagę na to, żeby w myślach używać także jej nazwiska, dzięki czemu dwie Beate mu się nie mieszały) powiedziała, że razem na pewno sobie poradzą z tą dziwną historią. I że czuje się tak, jakby była w środku jakiejś opowieści, i że pomoże mu, jak tylko będzie potrafiła.

Dlatego chcieli się spotkać już nazajutrz. W ciągu dnia obiecał ją odwiedzić kolejny brat – najwyraźniej było ich kilku – ale po piątej miała czas, żeby zabrać się do rzeczy.

Kiedy się żegnali, z jej ust padły takie słowa: Jutro wieczorem, Arne, pora na poważnie przystąpić do działania.

Po czym roześmiała się tym swoim sympatycznym śmiechem.

Niezależnie od tego, jak to wszystko się skończy, pomyślał, gasząc światło, podróż do Berlina opłaciła się chociażby z jej powodu. Z powodu Beate Bittner.

Zasnął, jakby na jego niebie nie było ani jednej ciemnej chmury.

Przygotowania II

Profesorowi Anatalisowi Litvinasowi coś zawadzało w jego własnym wnętrzu.

Jakiś detal, jakiś odłamek, coś, co przeoczył, nie wiedział jednak co to.

Pozostały jeszcze dwa dni, albo trzy, jeśli liczyć także tę dżdżystą środę. Kiedy się obudził, deszcz zaczynał w okno. Odwrócił głowę i stwierdził, że jest dopiero kwadrans po szóstej. Może później pogoda się poprawi, nocami w Berlinie często pada.

W każdym razie nie było już sensu próbować znowu zasnąć. Poszedł więc do kuchni i zrobił sobie dzbanek herbaty. Usiadł przy stole i zaczął grzebać w mózgu.

Czas jest iluzją, natomiast dany moment nie. A ten moment był właściwy, co do tego nie miał wątpliwości. Wielki Tydzień to jedyny tydzień, który się nie zmienia, powtarza się w takiej samej postaci rok w rok, stulecie za stuleciem. I Wielki Piątek, od śmierci na krzyżu po zmartwychpowstanie trzeciego dnia: to jedyny czas w ciągu dwunastu miesięcy, kiedy nie było wybawienia. Dzień, w którym mogły zostać otwarte bramy, wprawione w ruch wydarzenia, podjęte podróże, mogły się dokonać ponowne zjednoczenia. Żywiły się zmienne: ziemia, ogień, powietrze, woda, siarka, węgiel, *la quinta essentia*... i krew. Zdjął z półki przewierconą na wskroś Biblię i otworzył w odpowiednim miejscu Ewangelii Mateusza.

„A oto zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół; ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać. Groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy umarli, powstało”²⁴.

Policzył słowa, pomnożył przez liczbę liter i osiągnął ten sam wynik co poprzedniego dnia. Czyli nie tutaj tkwił błąd, nie to go uwierało.

Więc co?

Pomocnik? Czyżby jednak chodziło o niego? O tego *ignoramus*, który wydawał mu się idealny, pod którego czaszką zdawała się nie kryć żadna samodzielna myśl i który był człowiekiem najłatwiej poddającym się hipnozie, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać? Miał przy sobie tę fotografię i ledwie położył się na łóżku, uległ transformacji wprost z sekundy na sekundę. Naprawdę rzadko się natykał albo wręcz nigdy nie natknął się na tak wdzięczne medium. W Lipsku stracił kontrolę nad pomocnikami i to było jedno z jego niepowodzeń. Zaczęli działać na własną rękę i w konsekwencji doszło do nieprzewidzianych komplikacji.

Tak, właśnie w tym kryły się błędy i dlatego Ignoramus wydawał się idealny. Naiwna dusza dająca sobą łatwo sterować, niezadająca pytań. Ledwie rozumiejąca, co się do niej mówi.

A mimo to... co to mógł być za detal? Na tym etapie nie wolno mu niczego przeoczyć. Nie tak blisko krytycznego punktu. Teraz wszystko musi się zgadzać, najmniejszy błąd, najmniejsze niedopatrzenie mogło skazać na niepowodzenie cały plan.

Buty!

Tak! To one! Te przeklęte żółte buty!

Walnął pięścią w stół tak mocno, że filiżanka aż podskoczyła na spodeczku i omal się nie przewróciła. Buty pomocnika – to w nich tkwił problem. To niepozorne, indolentne indywiduum spełniało wszelkie wymogi, jakie tylko można było postawić, ale chodziło w żółtych butach. Dlaczego, u diabła, coś takiego? Co to oznaczało?

Profesor wydał nieokreślone westchnienie, rozdarty między zwątpieniem a ulgą, po czym dopił herbatę. Znalazł punkt newralgiczny. Może niekoniecznie kundla treść²⁵, ale słabe miejsce w planie. *P o t e n c j a l n i e s ł a b e m i e j s c e*. Żaden człowiek nie nosi żółtych butów bez powodu. To musi coś oznaczać, może nawet być jakimś znakiem.

Jeszcze jest czas na korektę. Na weryfikację i podjęcie odpowiednich środków. Chwała Bogu. Spojrzał na zegar. Za piętnaście siódma. Spotkanie z von Hanckenem było umówione na

wpół do jedenastej, czyli ma do dyspozycji jeszcze kilka godzin.
I wiedział, dokąd powinien się udać.
Do hotelu Munck przy Fasanenstraße.

Właśnie miał przejść na drugą stronę ulicy, gdy nagle się zatrzymał.

Z hotelu wyszedł Ignoramus we własnej osobie. Proszę, proszę. Spojrzał w prawo, spojrzął w lewo i ruszył Fasanenstraße na północ. Profesor Litvinas szybko naradził się z samym sobą. Co teraz? Pospieszyć za nim i go zaczepić? Czy trochę odczekać? Trudno powiedzieć. Postanowił odczekać. Obserwowanie go z niewielkiej odległości może okazać się całkiem sensowne. Kto wie? Warto iść za nim krok w krok, tak by nic nie zauważył, i przekonać się, jak się zachowuje. Dowiedzieć się, dokąd się wybiera i co zamierza. Po prostu dyskretnie go trochę pośledzić. Nie po raz pierwszy przeprowadzał taką operację.

Jak pomyślał, tak zrobił. Zachował odpowiednią, bezpieczną odległość, dwadzieścia, trzydzieści metrów. Na ulicy nie było wielu przechodniów, ale gdyby nawet Ignoramus przez przypadek odwrócił głowę, raczej mało prawdopodobne, aby odkrył swój cień.

Znów miał na nogach żółte buty. Może to jego jedyne, pomyślał Litvinas. Kto wie? Zresztą w ogóle wyglądał jakoś dziwnie, nawet jeśli pominąć obuwie. Profesor nie mógł się oprzeć takiemu wrażeniu. Niósł coś, co wyglądało jak worek albo większa torba. Chyba z materiału, jasnoszare. Raz po raz się zatrzymywał i zaglądał do środka, jakby chciał się upewnić, że jej zawartość nie zniknęła.

Ta zawartość nie wydawała się specjalnie duża ani ciężka. Ignoramus niósł pakunek bez wysiłku, mimo to prawie przez cały czas trzymał go w obu rękach.

Tak, niósł swój lekki ciężar z ogromną pieczołowitością, jakby chodziło o coś delikatnego, tort albo jakiś przedmiot z kruchego szkła. Jednak nie przez cały czas: kiedy na przykład przechodził na drugą stronę Hardenbergstraße, torba dyndała mu beztrąsko w jednej ręce. Co on, u diabła, tam ma? – wymamrotał zirytowany Litvinas pod nosem i postanowił nieco zmniejszyć odległość, żeby się lepiej przyjrzeć. Ignoramus wydawał się przecież zupełnie nieświadomy tego, że jest śledzony. Czyli nie było żadnego ryzyka.

Minęli Universität der Künste i doszli do kanału. Tu Ignoramus nagle się zatrzymał, otworzył worek i zaczął coś mówić do środka. Litvinas przystanął przy drzewie zaledwie dziesięć metrów dalej. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Albo uszom. Nie mylił się jednak: obiekt jego obserwacji stał na rogu ulicy i rozmawiał na głos z czymś, co znajdowało się w dużej szarej torbie, którą trzymał w rękach. W obu rękach, lekko ugiętych.

Niech to szlag i niech to diabli, pomyślał profesor. Tego już za wiele. Jest mi potrzebny łatwo sterowalny i tylko trochę stuknięty pomocnik, a nie kompletny wariat.

Był tak blisko, że prawie mógł zrozumieć, co Ignoramus ma do powiedzenia temu czemuś, co znajdowało się w worku, tyle że niestety, o ile potrafił ocenić, tamten znowu mówił po szwedzku. Zresztą kiedy się spotkali dwa dni wcześniej, Litvinas utwierdził się w przekonaniu, że to jedyne język, który Ignoramus zna. Co prawda on władał co najmniej sześcioma, ale szwedzki niestety do nich nie należał. I to też mogło stanowić potencjalny słaby punkt w jego planie, bo w związku z tym nie dysponował na przykład wiedzą, co tak naprawdę działo się podczas próbnej hipnozy. Wydawał polecenia po niemiecku, ale w jaki sposób one docierały do nieobecnego Ignoramususa – to nie było dla niego jasne. Z powodu bariery językowej nawet nie usiłował później zadawać mu żadnych pytań.

Niewątpliwa komplikacja, ale komplikacja, którą można przewyciężyć. W umyśle profesora stopniowo zaczął przyjmować konkretne kształty plan działania. Przez ułamek sekundy rozważał nawet, czy nie pokazać się Ignoramusowi, gdy nagle on zaczął śpiewać.

Nadal stał na rogu ulicy i śpiewał do worka!

Na kolana Lucyfera! – pomyślał Anatolis Litvinas. To wymaga użycia całego mojego geniuszu. Trafiłem na zupełnego pomyleńca!

Ruszyli dalej wzdłuż kanału i w okolicy śluzy weszli do Tiergarten. Potem przeszli przez most i minęli po prawej Neuer See. Ignoramus szedł zdecydowanym, ale niezbyt energicznym krokiem, wciąż śpiewając. Litvinas piętnaście, dwadzieścia merów za nim. Dokąd on idzie? – zastanawiał się. To nie wygląda na zwykły spacer. Ta jego wycieczka ma określony cel i sens.

A worek bezapelacyjnie odgrywał pewną rolę, a przynajmniej to, co było w środku.

Nagle Ignoramus przystanął i usiadł na ławce. Litvinas musiał szybko odbić w lewo, na ledwie widoczną ścieżkę, która prowadziła za jakieś zarośla. Przejście obok ławki wydawało się nazbyt ryzykowne, bo z dużym prawdopodobieństwem zostałby rozpoznany, a nie miał najmniejszej ochoty na to, żeby zostać zagadniętym. Nie chciał również sam rozpoczynać rozmowy.

Rozwój wypadków zmusił go zatem do przeprowadzenia manewru taktycznego i ukrycia się za kilkoma drzewami, jakieś trzydzieści metrów od ławki, na której Ignoramus siedział ze swoją torbą. W ten sposób on sam znalazł się za obiektem, nie mając możliwości obserwowania, co dzieje się na ławce, nie widział jednak innego wyjścia. Stał więc tam, sfrustrowany, zgrzytając zębami, oparty o zimny pień drzewa, i czekał niecierpliwie, aż coś się wydarzy.

Co niestety nie nastąpiło. Nie wydarzyło się nic. Ignoramus siedział, gdzie siedział, i o ile profesor mógł stwierdzić ze swej niekorzystnej pozycji, znowu rozmawiał z torbą. Przynajmniej tak to wyglądało. Od czasu do czasu wkładał też do środka rękę, ale oprócz tego nic się nie działo.

Niech to szlag, bąknął Litvinas. Co ten idiota wyprawia?

Lecz zanim mógł poznać odpowiedź na to pytanie, jego wzrok padł na zegarek na swojej ręce i w tym momencie uświadomił sobie, która jest godzina. Za zaledwie dwadzieścia pięć minut powinien się spotkać z von Hanckenem. Na dodatek dosyć daleko, na Kreuzbergu, co znaczy, że nie może dalek sterceć w Tiergarten. Cholera jasna!

Niechętnie opuścił kryjówkę, wyszedł zza drzew i ruszył szybkim krokiem wzdłuż Neuer See. Wkrótce dotarł do Budapester Straße, gdzie na szczęście udało mu się złapać taksówkę i namówić taksówkarza, żeby docisnął gazu i zawiózł go na Oranienplatz, na Kreuzberg.

Pytania i wściekłość aż się w nim gotowały. Niewątpliwie konieczne było podjęcie jakichś kroków. Szybkich i skutecznych.

Tylko jakich.

Dzień siódmy

Arnego Murberga obudziło pukanie w okno.

To znowu ten gołąb. Niemal już go nie pamiętał, ale kiedy zaspany usiadł na brzegu łóżka, od razu sobie przypomniał.

Na dodatek go rozpoznał – był przekonany, że to ten sam gołąb. Wyglądał identycznie, jasnoszary, nakrapiany i trochę nastroszony, poza tym dlaczego dwa różne gołębie miałyby wpaść na pomysł, żeby przylecieć i stukać akurat w jego okno?

Kiedy w końcu wyrwał go ze snu, nie zawracał już sobie głowy dalszym stukaniem, tylko siedział w okiennej niszy i przypatrywał mu się jednym okiem. Wnikliwie, przynajmniej tak to wyglądało, prawie badawczo. Ale jednocześnie życzliwie i przyjaźnie. Od czasu do czasu przekrzywiał głowę w jedną albo drugą stronę.

Dufva-Vogel, pomyślał Arne, po czym podniósł się i podszedł do okna. Ptak nie ruszył się z miejsca, chyba tylko trochę bardziej się nastroszył, w każdym razie tak się wydawało. Sprawiał wrażenie odrobinę większego, ale kiedy Arne się pochylił i przyjrzał mu się z odległości zaledwie dziesięciu centymetrów, oddzielony od niego tylko szybą, nie zareagował. Chociaż musiał zdawać sobie sprawę, że jest obserwowany przez całkiem duże stworzenie, w ogóle się tym nie przejmował. Tkwił, gdzie tkwił.

Arne zaczął się zastanawiać. Następnie przesunął trochę okno do góry, nie więcej niż dwadzieścia centymetrów, bo w ten sposób się otwierało.

Gołąb siedział dalej.

Arne stał dalej.

Najwyraźniej nie jest płochliwy, stwierdził. Wygląda raczej na knąbrne małe stworzenie, które wie, czego chce.

Tylko czego chce?

– Dzień dobry, ty uparciuchu – rzucił Arne na próbę. – Dziękuję, że mnie obudziłeś, ale o co ci tak naprawdę chodzi?

Gołąb nie odpowiedział i wydawał się nie rozumieć. Arne pamiętał jak przez mgłę, że jeden albo może nawet kilka ptaków odgrywało ważną rolę w książce, o której rozmawiali z Beate. W *Braciach Lwie Serce* Astrid Lindgren. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, o co dokładnie chodziło.

Dotarło do niego natomiast, że jeśli nawet ten gołąb jest magiczny i w pewien sposób ludzki, to na pewno rozumie jedynie po niemiecku. Ponieważ jego domem jest Berlin, powinien być od razu o tym pomyśleć.

– *Guten Morgen, Frau...*

A może to *Herr*? Jak rozpoznać różnicę?

I jak jest gołąb po niemiecku? Nawet tego nie wiedział, co mogło już być trochę niegrzeczne, ale ptak zdawał się nic sobie z tego nie robić. Po prostu siedział i patrzył... jak to się mówi? Nieprzeniknionym wzrokiem. Tak, właśnie tak. To był n i e p r z e n i k n i o n y gołąb.

Mimo wszystko postanowił sprawdzić w słowniku i po chwili już wiedział.

Taube.

Słowo wyglądało jakoś znajomo. Po niedługiej chwili przypomniał sobie.

Evert Taube.

To był piosenkarz, którego tak bardzo lubił tata Torsten i o którym chętnie mówił. Zresztą nie nazywał go p i o s e n k a r z e m, tylko... t r u b a d u r e m.

W tej samej chwili, gdy Arne Murberg przypomniał sobie to słowo, koła zębate w jego

głowie zaczęły obracać się niebezpiecznie szybko.

Przecież to właśnie z t r u b a d u r e m uciekła jego mama. Tak czy nie? A tutaj mamy innego trubadura, takiego, który nosi takie samo nazwisko jak ona – tylko po niemiecku. Violetta Dufva i Evert Taube. Równie dobrze można by powiedzieć odwrotnie: Violetta Taube i Evert Dufva...

Zaraz, zaraz, pomyślał Arne, próbując zmusić koła zębate do wyhamowania, przecież to nie z Evertem Taubem jego mama prysnęła do Berlina, tylko z gościem, który nazywał się Lummersten. Egon Lummersten.

Mimo wszystko. Czy to jednak nie dosyć dziwny zbieg okoliczności? Czy jego tata przypadkiem czegoś nie pokręcił i czy w rzeczywistości to nie Evert Taube był tym, który...

Nie, stop, upomniał samego siebie. Wyhamuj trochę. Powiedz gołębiowi do widzenia, zjedź na dół i zjedź śniadanie. To sprawa, którą trzeba przemyśleć w spokoju i ciszy.

I tak zrobił. Najpierw poranna toaleta, potem się ubrał, włożył najpiękniejsze buty świata, ostrożnie poklepał gołębia po łebku (miał wrażenie, że ptak kiwnął nim i lekko się uśmiechnął, kiedy go dotknął), a następnie pozwolił sobie na półgodzinne obfite śniadanie.

Kiedy wrócił na górę, gołąb zdążył się już wprowadzić do pokoju.

Arne zapomniał zamknąć okno i ptak stał pośrodku stołu i patrzył na niego.

No tak, pomyślał. I co teraz?

Podszedł do stołu, usiadł na krześle i przyjrzał się swojemu współlokatorowi z bliska. Nieprzeniknioność na pewno nie ustąpiła: gołąb jedynie trochę kiwał głową i dwa razy mrugnął. Arne spróbował zagwizdać jakąś melodię, może są jakieś specjalne odgłosy wabiące gołębie, ale w tym przypadku nie było żadnej reakcji. Trzeba też przyznać, że Arne nie był mistrzem w gwizdaniu.

– Evert Taube – powiedział zamyślony. – Nie masz nic przeciwko temu, żeby cię nazywać Evert Taube?

Gołąb kiwnął łebkiem.

– Świetnie – odparł Arne i nie wiadomo kiedy w jego głowie zaczął się układać plan. – Wiesz co, Evert, zrobimy tak – oznajmił. – Wybierzemy się teraz razem na spacer. Nie możesz przecież zostać w pokoju, a ja nie chcę cię wyrzucać przez okno. Bo nie jestem pewny, czy umiesz fruwać, a stąd do ziemi jest co najmniej dziesięć metrów...

Przerwał i przez chwilę się zastanowił. Gołąb przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Nie chciałbym też zostawić cię tak po prostu na ulicy. Ptaki nie powinny mieszkać na chodniku, chociaż niejeden tak robi... zwłaszcza gołębie. Ale dużo przyjemniej jest na łonie natury, więc... więc zamierzam cię zabrać do Tiergarten, który znam całkiem nieźle, i tam cię wypuszczę.

Nieoczekiwanie stwierdził, że tak naprawdę z gołębiami lepiej się rozmawia niż z ludźmi. Może dlatego, że nie wtrącają się ciągle, nie protestują i nie wyjeżdżają z własnym zdaniem.

– Zgadzasz się?

Tym razem gołąb nie kiwnął łebkiem, ale Arne nie zauważył też, żeby nim pokręcił, toteż przyjął, że jego propozycja została zaakceptowana.

Znakomicie, pomyślał. Pytanie tylko, jak przetransportować Everta. Nieść go w rękach? Z jakiegoś powodu wydawało mu się to niezbyt pociągające i wtedy przypomniało mu się, że w szafie leży worek na rzeczy do prania. Prawdopodobnie przeznaczony na brudną bieliznę, jeżeli ktoś mieszka w hotelu tak długo, że nie wystarcza mu czystych ubrań na cały pobyt – ale oczywiście nic nie stało na przeszkodzie, żeby używać tego worka do przenoszenia ptaków. Był duży i przewiewny i Arne uważał, że Evertowi się w nim spodoba.

Pokazał go gołębiowi, starając się zademonstrować, jak bardzo jest miękki i wygodny,

i jeśli się nie mylił, Evert nie miał zastrzeżeń.

Nie okazał także dezaprobaty, kiedy podniósł go ostrożnie i wepchnął do środka. Wręcz przeciwnie, zagruchał, co Arne odebrał jako całkowitą zgodę na to przedsięwzięcie.

Perry Mason zrobiłby tak samo, pomyślał, gdy opuścił pokój z workiem w ramionach. Jednak rozwiązałem ten problem całkiem sam.

Kiedy przeszedł kawałek, przypomniała mu się piosenka, którą często śpiewał jego tata. I której próbował go nauczyć, gdy Arne miał dziesięć lat albo coś koło tego. Nazywała się *Samborombon*. Gdy tak szedł z Evertem Taubem w worku na brudną bieliznę, odnalazł w pamięci i słowa, i melodię. To było niesamowite, bo nie pamiętał, aby coś podobnego przydarzyło mu się po wypadku chociaż raz – żeby wróciło coś, o czym właściwie kompletnie zapomniał.

To musi mieć coś wspólnego z Berlinem, pomyślał. I, rzecz jasna, z tym, że to akurat Evert Taube napisał tę piosenkę.

Otworzył nieco worek, spytał Everta, czy dobrze się czuje, a ponieważ wszystko wskazywało na to, że nic mu nie dolega, zaczął śpiewać.

*Samborombon, mała wioska bez drogi,
Z Rio de la Plata mogą ponieść cię tam nogi.
Gdzie piasku jest bez liku u brzegów Atlantyku,
Zostawiłem za sobą zielonej pampy setki mil.
Przygalopowałem, gdy dzień kwietniowy już się tlił,
Aż tak pragnąłem tańczyć tango.*

Dalej nie pamiętał, ale jeśli się nie mylił, to była cała pierwsza zwrotka, a ponieważ Evert Taube zdawał się słuchać w worku z zainteresowaniem, zatrzymał się na końcu Fasanenstraße, tuż przed kanałem, i zaśpiewał od nowa, tylko teraz trochę głośniej i odważniej.

Kiedy śpiewał po raz drugi, usłyszał wyraźnie, że w worku zagruchało. Uznał, że to prawie magiczna chwila. Stać na rogu ulicy w Berlinie i śpiewać dla Everta Taubego, który siedzi w worku na brudną bieliznę z hotelu Munck i słucha z uznaniem – tak, to było coś, czego miesiąc wcześniej nie byłby w stanie sobie nawet wyobrazić.

Wuj Lennart czy ciotka Polly też nie, był o tym przekonany, i raptem uświadomił sobie, że chyba pierwszy raz od dwudziestu czterech godzin poświęcił im jedną myśl. Z drugiej strony do hotelu nie dotarły nowe wiadomości od nich, możliwe więc, że oni też przestali się nim interesować.

Pogłaskał Everta Taubego po łebku i ruszył w stronę wejścia do parku. A skoro już zaczął, nie przestawał śpiewać, bo tak przyjemnie było słyszeć własny głos w takim wydaniu. Pomyślał też, że powinien spróbować nauczyć się więcej piosenek. Nawet jeśli nie zawsze będzie mógł je śpiewać Evertowi Taubemu.

Ale choć bardzo cenił swojego nowego towarzysza, nadeszła pora, by wypuścić go na wolność, doskonale to rozumiał. „Są rzeczy, których nie wolno zostawić nieuregulowanych”.

Najpierw jednak pozwolił sobie jeszcze na krótki odpoczynek na ławce. Siedział na niej kilka minut i gawędził z Evertem o wszystkim, o czym się dało, potem zręcznie wypuścił go na trawę, a worek wyrzucił do kosza na śmieci.

– Adieu, przyjacielu. Uważaj na siebie.

Evert Taube mrugnął do niego i dwa razy przekrzywił łebek w ten swój charakterystyczny sposób, po czym podreptał przez trawnik i zniknął w zaroślach. Arne pomyślał, że to trochę smutne rozstawać się w ten sposób, ale w obliczu tego, ile jeszcze czekało go w najbliższych dniach, było to jedyne rozwiązanie.

Przełknął gulę tęsknoty i zawrócił do Knajpy przy Śluzie, żeby sprawdzić, czy

Flammkuchen znów będzie smakował tak dobrze.

– W Wielkim Tygodniu jest coś szczególnego – powiedziała Beate Bittner. – Nie uważasz?

– Nie wiem – odparł Arne. – Co masz na myśli?

Był wieczór. Znowu siedzieli w mieszkaniu Beate, w dużym pokoju z setką obrazów i tysiącem książek. Tym razem nie musiała nic gotować. Arne zaprosił ją bowiem wcześniej do restauracji (nie żeby miał jeszcze tak dużo pieniędzy, ale mu wystarczyło). Lokal, w którym jedli, nazywał się Lido's, leżał w tej samej dzielnicy i Beate знаła jego właściciela – nie miał na imię Lido, tylko Luciano, tak samo jak słynny śpiewak operowy, tyle że nazywał się inaczej. Wybrali potrawę zaczynającą się jakoś na *salti*... rzeczywiście okazała się tak smaczna, jak twierdziła Beate. Na deser wzięli coś, co zaczynało się na *tira*... i też było pyszne.

– Chodzi mi o to – mówiła dalej Beate – że wszystkie inne tygodnie, w każdym miesiącu, są jakby częścią danego roku. A Wielki Tydzień nie przynależy do żadnego konkretnego roku. To jest jedyny tydzień, który się cały czas powtarza.

– Hm... – bąknął Arne.

– I uważam, że właśnie dlatego nawiązałeś kontakt z tą drugą Beate. Nieważne, czy mamy rok dwa tysiące piętnasty, czy tysiąc sześćset pięćdziesiąty, bo tak czy inaczej to Wielki Czwartek, Wielki Piątek, Wielka Sobota...

– ...Wielka Niedziela i Poniedziałek Wielkanocny. – Arnemu udało się uzupełnić.

– No właśnie. Jeżeli rzeczywiście możliwe jest przemieszczanie się w czasie, to nie ma na to odpowiedniejszej pory niż Wielki Tydzień. Może jeszcze Boże Narodzenie, ale Wielkanoc jest chyba lepsza... rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, tak mi się wydaje – powiedział Arne niepewnie. – Tylko nie jestem przyzwyczajony do podróżowania w czasie.

Beate wybuchnęła śmiechem.

– Tylko nie myśl, że wiem o tych sprawach więcej od ciebie. Po prostu trochę na ten temat czytałam.

Arne popatrzył na półki pełne książek i zastanowił się zarówno nad tym, co przed chwilą usłyszał, jak i nad tym, czy ona wszystkie je przeczytała.

– Czyli... czyli twoim zdaniem rzeczywiście spotkałem tę drugą Beate? I miałem na imię Aron?

– Czasami kompletnie nie wiem, co oznacza r z e c z y w i ś c i e – odparła Beate. – Bo czy na przykład są sny? To znaczy, czy one i s t n i e j ą ?

– Dobre pytanie – zgodził się.

– Ale przecież co nam szkodzi powiedzieć, że Beate i Aron są rzeczywiściami. Albo b y l i rzeczywiściami. Tak będzie w każdym razie ciekawiej.

– Też tak uważam – przyznał Arne. – Tyle że to by znaczyło, że...

– Co? – rzuciła Beate, on jednak widział jasno i wyraźnie, że ona zna odpowiedź. Chciała tylko, żeby padła z jego ust.

– Że musimy ją uratować – dokończył.

– Jak najbardziej – potwierdziła Beate. – O to właśnie chodzi. Musisz się przenieść w siedemnasty wiek i ją ocalić. Trzeba tylko wpaść na to, jak tego dokonać. Opowiedz mi jeszcze raz, co się stało w pokoju przy Kyffhäuserstraße.

I Arne zaczął opowiadać. Chociaż przeszli przez to już dwa razy, rozumiał, że to ważne.

– No więc najpierw siedzieliśmy chwilę w kuchni, a potem...

Natychmiast wpadła mu w słowo:

– A nie wszedłeś tam przypadkiem przez drzwi szafy albo coś takiego?

– Drzwi szafy? Nie, dlaczego o to pytasz?

– Bo w takich sytuacjach często się tak zdarza.

– Naprawdę? Nie, po prostu leżałem w ciemnym pokoju na łóżku. A Mężczyzna z Motylem siedział obok na krześle i powiedział, żebym się odprężył. Tak myślę, bo przecież nie rozumiałem, co mówił. Potem zaczął liczyć... zanim jakby odpłynąłem.

– Robił coś jeszcze? Czy tylko mówił?

– Miał też klepsydrę. I trzymał mi ją przed oczami. Ale kiedy położyłem się na łóżku, wszystko potoczyło się okropnie szybko... po minucie już mnie nie było. Albo może jeszcze szybciej.

Beate z poważną miną skinęła głową.

– Musisz tam wrócić – oznajmiła. – Do Mężczyzny z Motylem. To jedyne wyjście.

– Idę do niego w piątek – przypomniał jej.

– W piątek chodzi o twoją mamę – powiedziała Beate. – A tamta dziewczyna do tej pory może już spłonąć na stosie. Jeśli ma zostać uratowana, musi to nastąpić najpóźniej jutro.

Inkwizytor miał przyjechać w Wielki Czwartek, tak?

– Inkwizytor? – spytał Arne.

– Tak się ich nazywało – wyjaśniła Beate. – Wyższej rangi duchowni, którzy mieli prawo skazywać czarownice na stos. Mimo że oczywiście nigdy nie istniały żadne czarownice. Były tylko kobiety trochę zbyt silne i może trochę zbyt odmienne od innych. Przypisywano im winę dosłownie za wszystko, co się nie udało. Jakie to musiały być paskudne czasy.

– Oj tak – bąknął Arne.

Beate siedziała chwilę, milcząc. Widać było, że się nad czymś zastanawia, Arne jednak nie zamierzał łamać sobie głowy. Lepiej, żeby myśleniem zajmowała się ona. Wiedział, że gdyby tylko zanadto wysilił mózg, od razu zrobiłby się senny, a w żadnym wypadku nie chciał zasnąć w obecności Beate. Co by sobie wtedy o nim pomyślała?

– Klucz, który masz zdobyć... – zaczęła, gdy najwyraźniej zakończyła rozmyślenia.

– ...powinien być u tego księdza, tak?

– W jego pokoju do pracy. Tak przynajmniej powiedziała Beate... ta druga.

– Cieszę się, że wolno mi być pierwszą – powiedziała Beate z uśmiechem. – I nie ma żadnego innego sposobu, żeby się do niej dostać? Nie da się wylamać drzwi albo coś w tym rodzaju?

– Nie sędzę – odpowiedział Arne. – Pamiętam, że były bardzo solidne.

– Rozumiem. Czyli przynajmniej wiadomo, co masz robić, kiedy tam wrócisz. Musisz się dostać na plebanię i odszukać tego duchownego... jak on się nazywał?

– Carambolius – odpowiedział Arne, zdumiony, że tak dobrze zapamiętał jego nazwisko.

Zresztą inne detale z tamtego dnia również.

– Tak, Carambolius – powtórzyła Beate. – Musisz znaleźć jego pokój, wejść i wykraść klucz. Ale...

Zmarszczyła czoło.

– Dlaczego mówisz: ale? – spytał.

Beate się zamyśliła, ciągle marszczyła czoło.

– Chodzi o to, że klucz nie jest szczególnie duży. Gdzie zamierzasz go szukać?

– Powiedziała mi, że jest w jakiejś szkatułce.

– Racja, zapomniałam. Więc będziesz musiał szukać szkatułki... jak już się tam znajdziesz. Ale czy to nie jest tak, że...

Teraz jej czoło wprawdzie się wygładziło, ale za to brwi podjechały mocno do góry. Wygląda na to, że właśnie coś jej zaświtało w głowie, pomyślał Arne. Że wpadła na jakiś wspaniały pomysł. Jemu coś takiego zdarzało się rzadko, ale widział na filmach, jakie twarze mają ludzie, gdy wpadają w podobny stan.

– Chciałbym umieć czytać w twoich myślach – powiedział.

To też słyszał w jakimś filmie i uznał, że zabrzmiało to błyskotliwie.

– Ha, ha – roześmiała się Beate. – Przypomniało mi się, że... że wspominałeś jeszcze o innej szkatułce. O tej, którą masz oddać mamie. Nie mylę się, prawda?

– Tak... jasne – odparł nieco zdziwiony. – Właśnie po to przyjechałem do Berlina. To dlatego tata mnie tutaj przysłał.

– A czy przypadkiem nie masz jej dzisiaj przy sobie?

– Szkatułki? Eee... tak, zgadza się – przyznał. – Jest w moim plecaku, w przedpokoju.

– Nie moglibyśmy jej obejrzeć? – zaproponowała Beate. – Skoro już ją masz.

– Czemu nie, możemy.

Przyniósł plecak, wyjął z niego płaskie pudełeczko i położył na stole przed Beate.

– Tak wygląda. Ale nie mam pojęcia, co jest w środku.

– Twój ojciec nic ci o tym nie powiedział?

Arne pokręcił głową.

– Nie. Powiedział tylko, że mam ją zabrać do Berlina i oddać mamie, jeżeli się z nią spotkam.

– Hm... – mruknęła Beate, ostrożnie biorąc szkatułkę do ręki. Kilkakrotnie obróciła ją w dłoni i lekko potrząsnęła. – Tak czy inaczej coś w niej jest... nie jest pusta.

– Nie – potwierdził. – Pusta nie jest. Po co miałbym jej dawać pustą szkatułkę?

– Masz rację – odpowiedziała.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Przez całkiem długą chwilę. Beate nadal trzymała pudełeczko w dłoniach, przyglądała mu się ze wszystkich stron i miała zamyśloną twarz. Arne dołączył jej i sobie herbaty z dużego zielonego czajnika przykrytego ocieplaczem w kształcie żyrafy. Sięgnął po cytrynowy herbatnik, mimo że po wizycie u Luciano był strasznie najedzony.

– Hm, hm... – odchrząknęła Beate. – I nie udało ci się jej otworzyć, tak?

– No tak. To znaczy... nie otworzyłem, nie mogłem. Potrzebny jest kluczyk i...

– Tak?

– Przyszło mi do głowy, że może ma go moja mama.

– Niewykluczone, że się nie mylisz – przyznała Beate. – To całkiem prawdopodobne, ale musisz chyba przyznać, że fajnie byłoby się dowiedzieć, co jest w środku, zanim się spotkamy z twoją mamą...

– Jasne – odpowiedział. – Zgadza się...

– Więc gdybym jakoś zdołała otworzyć tę szkatułkę... nie uważasz, że byłoby to warte zachodu?

– Pewnie – odparł i zamyślił się. – Ale przecież nie masz kluczyka, który by do niej pasował.

– Kluczyka? Nie, oczywiście, że nie mam. Istnieją inne metody.

– Inne metody? Co to znaczy?

– Nie mam co prawda wielkiej kolekcji wytrychów – przyznała Beate z uśmiechem – za to jeden czy dwa spinacze biurowe i kawałek stalowego drutu na pewno znajdują się w domu, a szczerze mówiąc, to chyba wystarczy. Zamek nie wygląda na szczególnie skomplikowany.

– Nie chciałbym, żeby się coś uszkodziło, kiedy ją otworzymy – wtrącił stanowczym tonem. – Ani żeby było widać, że to zrobiliśmy.

– Naturalnie – odpowiedziała. – Nic nie będzie widać, obiecuję. Chodź ze mną do kuchni, zobaczymy, jakie przydatne narzędzia uda nam się znaleźć. Swoją drogą, na co stawiasz... jeśli nam się poszczęści?

– Chodzi ci o to, co jest w szkatułce?

– Tak. Jak myślisz? Możemy się założyć na przykład o... *Flammkuchen*.

– Proszę bardzo – zgodził się, czując, jak zalewa go nieoczekiwana fala podniecenia.

– Zakładamy się o *Flammkuchen*. Moim zdaniem w środku jest... list.

– Hm... – mruknęła Beate i pierwsza wjechała do kuchni. – Całkiem niegłupie. Ja myślę, że raczej jakaś ozdoba... zawinięta w papier albo materiał, bo inaczej słysząc by było pobrząkiwanie.

– Okej – podsumował. – List czy ozdoba.

– ...oto jest pytanie – dodała Beate.

Wystarczyło jej niecałe dziesięć minut, by otworzyć zamek długim cienkim gwoździem i rozprostowanym spinaczem biurowym, a kiedy ostrożnie podniosła wieczko i wyjęła zawartość, okazało się, że żadne z nich nie wygrało zakładu.

W środku był klucz.

Całkiem spory staroświecki klucz, starannie zawinięty w kawałek cienkiego materiału, prawdopodobnie w chusteczkę do nosa.

– Klucz – stwierdziła Beate.

– Klucz – stwierdził Arne.

Potem spojrzeli na siebie nawzajem i przez co najmniej dziesięć sekund nic nie mówili.

– I co o tym sądzisz? – spytała później ona. – Według mnie...

– Wygląda na całkiem stary – zauważył on.

– To prawda. Ale to chyba niemożliwe, żeby...

– Żeby co? – spytał.

– Nie – powiedziała Beate. – To byłoby naprawdę przedziwne.

– Eee... – bąknął Arne. – Co byłoby takie przedziwne?

Beate nie odpowiedziała od razu. Siedziała nieruchomo i ważyła nieco zardzewiały klucz w dłoni, przygryzając dolną wargę z taką miną, jakby próbowała zliczyć, ile jest ziaren piasku na Saharze. To wuj Lennart miał zwyczaj używać takiego przykładu, żeby pokazać, jak bardzo coś może być skomplikowane, Arne jednak bez wahania wyrzucił swojego najbliższego krewnego z myśli, bo kto jak kto, ale on był tu najmniej potrzebny.

– A jeżeli to jest ten? – odezwała się w końcu Beate.

– Ten? – zapytał Arne. Chociaż nie wiedział, jak to się stało, chyba zrozumiał, do czego zmierzała.

– Tak, mam na myśli t e n k l u c z – ciągnęła. – Nie pytaj, jak to możliwe, po prostu czuję, że tak może być. To wszystko się ze sobą wiąże, nie widzisz tego? Twoja misja, tamten dziwny pokój przy Kyffhäuserstraße, Mężczyzna z Motylem, Beate numer dwa i Aron... ty i ja.

T y i j a, powtórzył w myślach. Poczuł, że z jakiegoś dziwnego powodu się czerwieni. Ale Beate tego nie zauważyła, bo w skupieniu wpatrywała się w klucz.

– Okej – powiedział po chwili. – Jestem przyzwyczajony do tego, że nieszczególnie dużo łapię, i może dlatego w moich uszach to nie brzmi aż tak idiotycznie jak w twoich. Jest tyle rzeczy, które są dziwne i których... no... po prostu nie rozumiem.

Beate oderwała wzrok od klucza i spojrzała na niego. Lecz nie odezwała się ani słowem. Siedziała i najwyraźniej czekała, aby mówić dalej. Aby wyciągnął... te same wnioski, które ona już wyciągnęła? Można było odnieść wrażenie, że wręcz d o m a g a s i ę tego od niego. Nabrał głęboko powietrza.

– No więc, czy to możliwe – zaczął – że mój tata wysyła mojej mamie w szkatułce klucz... przeze mnie jako posłańca, bo jestem jego synem... i c h synem? Klucz ma kilkaset lat i powinien pasować do drzwi budynku, w którym siedzi dziewczyna... która... która też ma kilkaset lat i która naprawdę jest w opałach, bo... ojej, muszę do toalety. To chyba przez tę herbatę.

– Trafisz? – rzuciła Beate.

Oczywiście, że trafił, bo jasnozieloną łazienkę Beate Bittner odwiedził już podczas pierwszej wizyty. Nawet posadzka była w niej jasnozielona, a kiedy stał i sikał, stwierdził, że ładnie pasuje do jego butów: wyglądały jak dwa duże mniszki na wiosennym trawniku.

Gdybym był trubadurem, pewnie potrafiłbym napisać o tym piosenkę, pomyślał. W jego głowie nie brakowało pomysłów.

– Trzeba opracować plan. Nie możemy zdać się na bieg wydarzeń, musimy mieć nad nim kontrolę. Chcesz jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję – odpowiedział. – To znaczy... wystarczy mi już herbaty. Jak chcesz, możesz obmyślić jakiś plan, a ja go... jak to się mówi? Z a a k c e p t u j ę.

Beate się uśmiechnęła.

– Może rzeczywiście lepiej będzie, jak ja się tym zajmę – stwierdziła. – Tak czy inaczej sądzę, że twoja mama może poczekać do pojutrze. Zresztą Mężczyzna z Motylem i tak mówił, że dopiero wtedy masz przyjść, żeby się z nią zobaczyć. W Wielki Piątek? Dobrze pamiętam?

Arne przytaknął.

– A jeśli mamy uratować Beate numer dwa, musimy to zrobić jutro. W Wielki Czwartek, tak jak powiedziała. Nie widzę innego rozwiązania... musisz wybrać się na Kyffhäuserstraße. Wejdiesz na górę i zadzwonisz do Mężczyzny z Motylem. Po prostu. A potem zobaczymy. Zresztą może twoja mama będzie już wtedy...

– Hm... sam nie wiem, czy... – Beate czekała. Arne westchnął ciężko. – No dobrze. Ale co mam powiedzieć... albo jak się zachować? Przecież nawet nie mogę z nim rozmawiać. Jak ostatnio tam byłem, nie rozumiałem ani słowa. Cały czas mówił tylko on i pokazywał mi, co mam robić.

– Dam ci kartkę – zaproponowała. – Napiszę, że koniecznie musisz jeszcze raz zostać zahipnotyzowany. Bo chyba ostatnio poddał cię hipnozie, prawda?

Arne wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale bardzo możliwe. Wydaje mi się, że w którymś momencie powiedział coś takiego... hipnoza czy jakoś tak. Ale...

– Ale co? – wtrąciła Beate.

– Może źle zrozumiałem – dodał. – Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby mnie ktoś hipno... hipnotyzował.

Próbował jeszcze raz odtworzyć w myślach wszystko, co działo się w mieszkaniu Mężczyzny z Motylem. Krok po kroku. Kawalek po kawalku.

– Wyglądało na to, że ja też mam mu w czymś pomóc – powiedział, gdy już nic więcej nie mógł sobie przypomnieć. – Jakby nie chodziło tylko o moją mamę. Chciał mnie w jakiś sposób wykorzystać. No bo inaczej po co by mnie hipno...tyzował?

– Logicznie pomyślane – przyznała Beate. – Rzeczywiście wygląda to tak, jakby on cię do czegoś potrzebował. Nie rozumiem tylko do czego.

– Ja też nie – napomknął Arne. – Nie mam najmniejszej ochoty do niego iść, ale... wiem, że pewnie muszę. Szkoda, że nie możesz się tam wybrać ze mną.

– A da się wjechać do tamtego domu na wózku? – spytała.

– Nie wiem. Nie zwracałem na to uwagi.

– No tak. Chyba jednak będzie lepiej, jeśli zostanę gdzieś w pobliżu i będę obserwować. Pewnie w sąsiedztwie jest jakaś kawiarnia, w której mogłabym posiedzieć i poczekać...

Arne zastanowił się przez chwilę.

– Zdaje się, że nawet przy tej samej ulicy... prawie naprzeciwko, chociaż może źle pamiętam. W każdym razie jest tam taki sklepik, w którym wypychają psy, ale to raczej nie byłoby dobre miejsce.

– Raczej nie – odpowiedziała Beate. – Najprościej będzie sprawdzić, jak wygląda najbliższa okolica. Kiedy twoim zdaniem powinniśmy uderzyć? Chyba bezpiecznie by było nie

czekać zbyt długo, jeśli ani Beate numer dwa, ani my nie mamy za dużo czasu. Bo przecież ten inkwizytor może przyjechać z samego rana.

– To idźmy tam jutro – postanowił Arne. – Wstąpię po ciebie o... dziewiątej. Odpowiada ci?

– Pewnie – odparła Beate. – Masz komórkę, żebyśmy w razie czego mogli się skontaktować?

– Tak, chociaż... to znaczy nie. Nie mam komórki.

– Szkoda. Ale i bez niej jakoś sobie poradzimy. W czasach sag i ognisk w ogóle nie było telefonów. A mimo to dało się żyć. A tak przy okazji: co robiłeś cały dzień? Zanim tu przyszedłeś?

Nagle poczuł się bezradny. Ma jej opowiedzieć, czy nie?

– Znalazłem gołębia... – zaczął. – To trochę dziwne.

Beate Bittner niemal nie wierzyła własnym uszom, kiedy zdawał jej relację ze swojej porannej wycieczki z Evertem Taubem. W każdym razie kiedy skończył, powiedziała:

– To chyba najbardziej zwariowana historia, jaką słyszałam w całym życiu. Jesteś naprawdę zabawny.

– Tak uważasz? W każdym razie tak to się odbyło.

– *Samborombon?*

– Tak.

Zamyśliła się na chwilę, a potem jej twarz nieoczekiwanie pojaśniała.

– Wiesz co, wydaje mi się, że mam płytę z piosenkami Everta Taubego. Ładnych parę lat temu korzystaliśmy z niej na kursie szwedzkiego. On sam na niej śpiewa. Zaraz się przekonamy.

Podjechała do jednego z regałów, na którym oprócz książek leżały całe stosy płyt CD, pogrzebała w nich trochę i znalazła to, czego szukała. Włączyła płytę i po chwili usłyszeli wyraźnie już podstarzałego Everta Taubego charczącego balladę o Fritiofie i Carmencie. Przysłuchując się jej, Arne przypomniał sobie więcej tekstu i zaczął ostrożnie podśpiewywać. Beate nuciała z uśmiechem, a on pomyślał... co tak naprawdę pomyślał?

No tak, właśnie: że jeszcze nigdy nie przeżył czegoś podobnego, o tym pomyślał. Oto siedział w fotelu w mieszkaniu kobiety, którą całkiem niedawno poznał w Berlinie, i śpiewał, jak to się nazywało? W duecie? Z Evertem Taubem, który równie dobrze mógłby się nazywać Evert Dufva, gdyby to przetłumaczyć z niemieckiego na szwedzki, czyli tak samo jak jego zaginiona mama... o ile ona teraz nie nazywa się Vogel... kobieta, której szukał, żeby jej przekazać szkatułkę otrzymaną od zmarłego ojca, szkatułkę, którą niedawno otworzyli i w której znaleźli klucz, który...

...który być może pasował do zamka w drzwiach, za którymi siedziała druga Beate, spotkana, gdy został zahipno... zahipnotyzowany przez Mężczyznę z Motylem, i prawdopodobnie należąca do siedemnastego stulecia, Beate numer dwa, jak ona się nazywała? Racja, Greivald... Beate Greivald, tak, tak, i miała niedługo spłonąć na stosie, jeśli ktoś, a mówiąc dokładniej on (choć jako Aron) nie wkroczy do akcji i jej nie uratuje.

Akurat w tym momencie wszystko odbywało się w tanecznym rytmie, który Beate Bittner ilustrowała, wywijając dłońmi i kołysząc się tam i z powrotem na wózku. Ten rytm i ten taniec nazywano tangiem.

Vamos a bailar este tango, chrypiał Evert Taube z głośników.

Panie mój i Stwórco, pomyślał Arne Murberg, to wszystko robi się coraz bardziej dziwaczne.

Czy też miał na myśli: coraz lepsze?

Kiedy Evert skończył, Beate spytała:

- Puścimy jeszcze raz?
- Tak, puścimy – odpowiedział.

Wracał z Meranenstraße do hotelu zatopiony w chmurze myśli. Ale uważał, że to nic nie szkodzi. Bo to nie była zbita, klajstrowata chmura, do której był przyzwyczajony: miał poczucie, że może zajrzeć do niej do środka i rozróżnić pojedyncze myśli. Bo nie mieszały się ze sobą i nie uruchamiały karuzeli, która zwykle sprawiała, że pragnął natychmiast wszystko wyłączyć. Zastanawiał się, na czym to może polegać. Zupełnie jakby jego mózg podczas pobytu w Berlinie zażywał jakieś witaminy, jakby nadciągnął silny wiatr i rozpedził całą masę kurzu, śmieci i spięć nagromadzonych w jego czaszce przez wszystkie te lata.

Od wypadku. Nie żeby od razu myślał, że nagle zrobił się normalny, że teraz będzie umiał rozumować i argumentować jak zwykli ludzie, przewidywać różne rzeczy albo pamiętać, co się stało latem 2008 roku. Mimo to coś się wydarzyło. Coś się stało... albo właśnie stawało.

Prawda? – deliberował dalej. Choćby to, że dwa dni z rzędu był w domu u kobiety w jego wieku. Siedział i rozmawiał, zaprosił ją do restauracji i w ogóle. Snuł plany. Kto by przypuszczał coś takiego jeszcze tydzień temu, kiedy żegnał się z wujem Lennartem na Arlandzie? To naprawdę niesamowite, że od jego przyjazdu do Berlina upłynęło tylko tyle czasu. Przez kilka dni wydarzyło się więcej niż przez... sam nie wiedział. W każdym razie przez lata.

Ale chociaż miał poczucie, że z jego głową stało się coś dobrego, nadal oczywiście istniały rzeczy dla niego niepojęte. I to mnóstwo, większych i jeszcze dziwniejszych niż kiedykolwiek. Mężczyzna z Motylem i Beate numer dwa. Aron i klucz. Gołąb i... nie, nie, postanowił o tym nie myśleć. Nagle się zorientował, że poszedł za daleko Berlinerstraße i że lepiej będzie, jeśli spróbuje znaleźć drogę do Fasanenstraße.

Może to i prawda, że jego mózg dostał porcję witamin, ale do geniuszu mu jednak daleko. I warto o tym pamiętać.

Kiedy dotarł do hotelu Munck, właśnie minęła jedenasta i w recepcji nie było nikogo. W pokoju na podłodze znalazł niedużą kopertę. Leżała za drzwiami: zauważył ją, gdy nadepnął na nią jedną żółtą stopą.

Wuj Lennart, pomyślał i westchnął z irytacją, przyglądając się kopercie, a potem uchylił kłapkę na odwrocie.

Ale wiadomość nie pochodziła od wuja Lennarta. Była napisana odręcznie i kiedy Arne trzy razy z rzędu przeliterował cały tekst – kolejny raz wystawiając w ten sposób na próbę swój świeżo obudzony umysł – doszedł do wniosku, że nadawcą musiał być Mężczyzna z Motylem. Aby mieć pewność, że adresat zrozumie treść, napisał po niemiecku i po angielsku. A przynajmniej takie Arne miał wrażenie.

Herr Mr Arne Murberg

*Morgen, Donnerstag – Tomorrow, Thursday – 13 Uhr, 1 o'clock – Kyffhäuserstraße 52
– Wichtig! Important! Kommen Sie! Come!*

Herr Professor Anatolis Litvinas

Arne żałował, że nie ma swojego telefonu, bo wtedy mógłby zadzwonić do Beate Bittner i przedyskutować z nią sprawę. Wydawało mu się jednak, że zrozumiał, czego Mężczyzna z Motylem (który, jak się okazało, naprawdę nazywał się Anatolis Litvinas) od niego chce: ma stawić się na Kyffhäuserstraße o pierwszej już następnego dnia. Co prawda właśnie ustalili z Beate, że powinni się tam udać z samego rana, ale może warto posłuchać Mężczyzny z Motylem i odczekać kilka godzin.

Tak czy inaczej spotka się z Beate o dziewiątej, i jeśli tylko nie zapomni zabrać tej kartki ze sobą, będą mieli dość czasu, żeby zaplanować i zdecydować, jak najlepiej to wszystko

rozebrać.

Zgadzasz się, Perry? – pomyślał, myjąc zęby. – Uważasz, że mamy kontrolę nad sytuacją?

Bezwarunkowo, odpowiedział Perry. Stuprocentowo.

Arne sprawdził jeszcze, czy jego buty nie wymagają wieczornego czyszczenia, po czym rozebrał się i zasnął w tym samym momencie, w którym zgasił lampę i położył głowę na poduszce.

Dzień ósmy

Ociągał się.

Plan był taki, że przycisnie dowolny guzik w domofonie – tylko nie ten z nazwiskiem Vogel – i będzie próbować aż do skutku, dopóki ktoś go nie wpuści do domu przy Kyffhäuserstraße 52. Tymczasem także tym razem drzwi wejściowe były otwarte, może postarał się o to Mężczyzna z Motylem. Spodziewał się przecież Arnego, a jego nazwisko nie widniało na dole na liście.

Litvinas. Tak nazywał się naprawdę, lecz również trzy piętra wyżej, na drzwiach do jego mieszkania, nie wisiała wizytówka. Ciekawe dlaczego.

I właśnie przed tymi drzwiami Arne Murberg stał teraz i wahał się. A może by tak przy okazji sprawdzić, czy nie ma w domu mamy? Jeżeli to rzeczywiście prawda, że mieszka po sąsiedzku z Mężczyzną z Motylem.

Razem z Beate postanowili jednak, że nie powinien tego robić. Nie powinien odwiedzać Frau Vogel w jej mieszkaniu, niezależnie od tego, kim ona jest, i właśnie to stanowiło prawdopodobnie drugą, nieco cięższą połowę i przyczynę jego niepewności. Mama Violetta będzie musiała poczekać do Wielkiego Piątku, Wielki Czwartek należał do Mężczyzny z Motylem i do Beate numer dwa. Czy nie tak uzgodnili z Beate numer jeden? Tak, właśnie tak.

Co mogło się wydarzyć w najbliższych godzinach, niełatwo było przewidzieć. Nie sposób nawet snuć przypuszczeń. Bo dlaczego na przykład Mężczyzna z Motylem chciał się z nim widzieć już tego dnia? Jakie miał mroczne zamiary? Czy będzie próbował znów go zahipnotyzować?

Dobre pytania, stwierdził Arne, a Beate się z nim zgodziła. Zaledwie kilka minut wcześniej pożegnał się z nią w kawiarni na rogu Frankenstraße. Oświadczyła, że będzie w niej siedziała cztery godziny, a jeżeli do tego czasu on nie wróci, zawiadomi policję.

– Policję? – zdziwił się Arne. – Dlaczego?

– Bo będą się martwić – odpowiedziała, na co on o nic już nie zapytał.

W końcu uporał się z wątpliwościami. Gdy stwierdził, że jest dokładnie godzina pierwsza, wyciągnął lekko drżący palec wskazujący i zadzwonił do drzwi Mężczyzny z Motylem, czyli do profesora Anatolisa Litvinasa.

Jestem gotowy, pomyślał Arne Murberg. Na wszystko.

Było tak samo ciemno jak ostatnim razem, Mężczyzna z Motylem też się nie zmienił, przynajmniej na ile Arne go zapamiętał. Chyba musiał stać w przedpokoju i czekać, bo minęła co najwyżej sekunda i drzwi już się otworzyły. Profesor wyciągnął rękę i powiedział coś, czego Arne nie zrozumiał. Ujął jednak jego dłoń, bąknął *Guten Tag*, po czym obaj przeszli do kuchni.

Palily się w niej dwie świeczki, Arne nie pamiętał, czy poprzednio była jedna, czy dwie. Ale to chyba nie ma znaczenia? Mężczyzna z Motylem usiadł i wskazał, aby on także zajął miejsce, co skwapliwie uczynił. Gospodarz pochylił się nad stołem, oparł na nim łokcie, splótł dłonie i oparł na nich brodę. Między nimi dwoma leżała otwarta duża książka. Po krótkiej chwili, gdy siedzieli tylko i obserwowali się w milczeniu, Arne zauważył, że to Biblia. Prawdopodobnie wyjątkowo stara, kartki były grube i pożółkłe i wyglądało na to, że myszy albo szczury dobrały się do okładki. Obok stała szklana misa wypełniona czerwonym płynem. Na powierzchni pływały trzy cienkie liście – jeden zielony, jeden żółty, jeden jasnobrązowy.

No super, pomyślał Arne i westchnął głęboko. Gdyby wuj Lennart i ciotka Polly byli tu teraz razem z nim, oboje już by zemdleli. Bo naprawdę trudno o coś dziwniejszego.

Ale nie było rady. Mężczyzna z Motylem zamknął oczy i zaczął mamrotać coś w języku,

który na pewno nie był niemieckim, co do tego Arne był przekonany. Nie był to też angielski ani szwedzki, ale na świecie istnieje przecież wiele języków. W każdym razie przez cały czas, na okrągło, powtarzały się te same słowa. W sumie tekst nie był długi, profesor wygłaszał go przytłumionym głosem, ze śpiewną intonacją, i podczas gdy nie przestawał ani na chwilę, Arne poczuł, że jego powieki robią się ciężkie, aż w końcu musiał walczyć ze sobą, aby nie zasnąć. Myślał, że będzie mógł się położyć na łóżku w pokoju, jak ostatnim razem, i że tam zostanie zahipnotyzowany, ale oczywiście wcale nie musiało tak być. Może przyśnie tutaj, w kuchni, i zostanie przeniesiony w tamten czas i w tamto miejsce, gdzie miał do wykonania zadanie. Z drugiej strony równie dobrze mógł przecież wylądować zupełnie gdzie indziej i stanąć przed nowym problemem, przed takim, którego nie będzie w stanie rozwiązać. Kto to wie? Raptem ogarnęło go dziwne uczucie: wydało mu się, że wszystko jest mu obojętne. Beate numer jeden i Beate numer dwa, Berlin, Evert Taube i mama Violetta, oni wszyscy muszą sobie jakoś poradzić sami, byle tylko on... byle Arne Albin Hektor Murberg mógł chociaż chwilę odpocząć. Przespać się kwadrans albo pół godziny, nagle jedynie to się dla niego liczyło. Ziewnął szeroko i oparł głowę na rękach, tak samo jak Mężczyzna z Motylem, ale akurat w chwili, gdy sądził, że zaraz zapadnie w sen, profesor głośno krzyknął i błyskawicznie wstał.

Niewiele brakowało, a Arne spadłby z krzesła. Mężczyzna z Motylem uniósł ręce do sufitu i znowu krzyknął. Niezrozumiałe słowa, zresztą w tym momencie i tak wszystko było mniej lub bardziej niepojęte. Po chwili usiadł i utkwiał wzrok w Arnem.

– *Wir sind schon da* – powiedział niskim, syczącym głosem. – *Wir sind schon da. Wir... sind... schon... da.*

Ponieważ powtórzył to kilka razy i mówił bardzo wolno, Arne sądził, że co nieco rozumiał. Jesteśmy... tam – czy to znaczyły jego słowa? Było jeszcze jedno, którego nie rozumiał: *schon*. Zdaje się, że poza tym Mężczyzna z Motylem twierdził, że gdzieś są. Prawdopodobnie on i Arne, czy też miał na myśli innych?

Zaraz, zaraz, co on teraz robi? Mężczyzna z Motylem wyciągnął ręce w stronę miski z czerwonym płynem i niezwykle ostrożnie zanurzył w nim palce. Same opuszki, następnie je wyjął, przez sekundę trzymał dłonie nad naczyniem, a potem przycisnął palce do swoich skroni.

A potem do skroni Arnego.

Później opuścił powieki i znowu zaczął mamrotać, cicho i tajemniczo, wreszcie zdmuchnął obie świeczki.

W kuchni zrobiło się ciemno choć oko wykol. Po kilku sekundach Arne miał wrażenie, że rozróżnia kilka odcieni szarości, a jednocześnie poczuł nowy dławiący zapach, ale wtedy dostał czymś twardym w głowę i zrobiło się jeszcze ciemniej. Ciemno jak w nocy.

Stoi z siekierą w ręce obok pieńka do rąbania drewna. Ma poczucie, jakby już raz robił coś takiego, ale nie wie, kim jest.

Ani gdzie?

Ani kiedy?

Pogoda jest piękna, słońce powoli się zniża. Zachodzi właśnie za las, pochyły dziedziniec w połowie spowija już cień. Surowe sukno koszuli klei mu się do pleców, czyli pewnie rąbie drewno już od jakiegoś czasu. Wprawnym ruchem podnosi kolejny kłoc, kładzie go na pieńku i rozłupuje celnym uderzeniem siekiery, bez większego wysiłku.

Powtarza to cztery albo pięć razy, a potem słyszy kobięcy głos:

– Aron!

W tej samej chwili uświadamia sobie, że to jego imię.

I że kobieta jest jego matką. Ma na imię Gertrud, widzi ją, jak stoi w drzwiach domu, dwadzieścia metrów niżej w stronę drogi. Wygląda na wiekową, ale jeszcze krzepką. Grube przedramiona wystają z szarych rękawów, w jednej ręce trzyma wiadro, chyba ciężkie. Drugą wskazuje na coś na wprost, a cała postać lekko pochyła się do przodu. Na głowie ma biały czepek.

– Aron, wieczerza!

I znika w ciemnym wejściu. On wbija siekierę w pieńek, rękawem koszuli ociera pot z czoła i idzie.

Przy podłużnym wąskim stole siedzi troje dorosłych i mniej więcej dziesięcioletnie dziecko. Gdy matka i on też zajmują już miejsca, bardzo stary i zgarbiony mężczyzna u szczytu stołu pod oknem zaczyna odmawiać modlitwę, jego głos jest chrapliwy i słaby, trudno zrozumieć słowa. Staruszek chyba nie ma zębów, a mózg już raczej mu nie pracuje. Aron wie, że to jego dziadek, Gurt, i pewnie nie doczeka następnej zimy.

Może przetrwa jeszcze jedno lato, jeśli Bóg pozwoli.

Pozostali to jego matka, jego ojciec Egard i parobek Josia, którym dzielą się z sąsiednim gospodarstwem, gdzie mieszka wuj Nokim z żoną Jenną i dziećmi Jeftą i Simonem.

Skąd przychodzi mu do głowy te wszystkie imiona, nie ma pojęcia, ale tym się nie przejmuje. Najważniejsze to zaspokoić głód, który od wielu godzin trawi mu trzewia. Matka nakłada do misek gorący Eintopf z warzyw korzeniowych i po dwa plastry zimnego mięsa dla każdego, ale tylko jeden dla małej siostrzyczki Minny. Egard kroi chleb i rozdziela go w taki sam sposób. W dwóch dzbankach pośrodku stołu są woda i mleko, można ich sobie nalewać do woli. Kiedy wszyscy już dostają swoje porcje, dziadek Gurt odczytuje jeszcze kilka wersetów z Biblii – albo po prostu z własnej głowy – i zaczynają jeść.

Gdy Aron zjada plaster mięsa i połowę zupy i zaspokaja pierwszy głód, przypomina sobie o Beate. Jej postać wyłania się w jego myślach niczym burzowa chmura po jasnym poranku. Albo odwrotnie: jak pierwszy promyk słońca po burzy. Nie może się zdecydować. Mniej więcej w tej samej chwili uświadamia sobie, że pod koszulą ma coś twardego, a kiedy przykłada w tym miejscu dłoń, wyczuwa, że to klucz. Wisi, duży i chłodny, wysoko na jego piersi, na rzemieniu związanym na szyi, a on nie ma pojęcia, jak się tam znalazł.

Przypomina mu się za to historia Beate. Spada niczym kaskada i nagle dociera do niego, że on w tym dniu ma ważniejsze rzeczy do roboty, niż siedzieć i w spokoju spożywać wieczerzę. Dużo ważniejsze.

Ale nie wstaje się od stołu, nim wszyscy nie skończą jeść i nim dziadek Gurt nie

podziękuje Panu Bogu za spożyte dary. A to, co mówi ojciec, zaspokoiwszy głód, i co on niechcący słyszy, wcale nie sprawia, że niepokoi się mniej.

– Zdaje się, że już przybył do wsi ten mistrz od palenia czarownic – mówi ojciec, odchrząkując. – Podobno nazywa się Litvoniusz i pewnie już on się postara, żeby tu niebawem wyrósł i zapłonął solidny stos. Stos dla czarownic, wspomnicie moje słowa.

– U nas nie ma żadnych czarownic – odpowiada matka i wygląda na przerażoną.
– Przyjechał tu na próżno.

– Wystarczy mu jedna – odpowiada Egard. – A jedną mamy. Powiadają, że ma spłonąć już jutro. No i dobrze, spalą ją, a potem łaska pańska znowu będzie z nami.

– Kto powiedział, że ma spłonąć jutro? – pyta Gertrud. Najwyraźniej podczas posiłków wolno rozmawiać tylko im dwojgu, gospodarzowi i gospodyni, pozostali siedzą w milczeniu i patrzą to na jedno, to na drugie z roziskrzonymi oczami i z rozdziawionymi ustami. W oczach parobka Josi pojawia się nawet coś lubieżnego.

– Słyszałem od brata – odpowiada ojciec. – Nokim pomaga przecież księdzu i chociaż specjalnie nie nadstawia uszu, chce czy nie, czasami przypadkiem coś usłyszy. Jutro jest Wielki Piątek i tego dnia ma zostać spalona zaraz po zachodzie słońca.

– Ona? – rzuca matka. – Ta biedna Beate z Greivaldu? Czy może upatryli sobie jakąś inną, żeby okupiła ich grzechy?

– Chyba chciałaś powiedzieć: s w o j e grzechy? – poprawia ją ojciec, trochę rozdrażniony.

– Mówię tylko, co myślę i co uważam – odpowiada jego żona.

Gospodarz jest za bardzo wzburzony i nie chce już dalej prowadzić tej rozmowy. Daje dziadkowi Gurtowi znak, żeby podziękował Panu za jedzenie.

Co dziadek Gurt czyni. Jak we wszystkie inne dni.

Kilka godzin później, gdy wieczorne prace w obejściu są już wykonane i ciemność zapada nad światem, Aron opuszcza dom. Przedziera się przez pokrzywy do okienka Beate, do jej więzienia. Ciągle nie wie, kim jest, a jego głowa jest pusta jak wyschnięta studnia. Nie ma w niej żadnych wspomnień. Imiona bliskich i towarzyszy są jedynie imionami, a dokąd prowadzi droga biegnąca za plebanią, nie ma bladego pojęcia. Góry w oddali zniknęły w otchłani nocy, serce zaś mu drży jak rannemu pisklęciu gołębia.

Matka, ojciec i siostra Minna chyba mniej znają, myśli. Mimo to można odnieść wrażenie, jakbym pochodził skądinąd. Może każdy tak tu czuje, ale wciąż mi się wydaje, że coś się przede mną ukrywa. Coś, o czym lepiej nie wiedzieć.

Podchodzi do okienka, podsuwa sobie kamień i staje na nim, tak by jego twarz znalazła się na odpowiedniej wysokości. W środku jest cicho i ciemno, wyteżę słuch i wzrok, mimo to nie może nic ani dostrzec, ani usłyszeć.

– Beate? – szepcze, chwytając się kraty.

Żadnej odpowiedzi. Próbuje jeszcze raz, nieco głośniej.

– Beate?

Nic.

Gdyby tam była, na pewno by mnie usłyszała, stwierdza w duchu. Dlaczego nie odpowiada? Co się stało?

– Beate! – woła, choć pewnie niezbyt to rozsądne. Serce gołębia bije gorączkowo w jego piersi. Może przyszedł za późno?

Lecz i teraz ze środka nie dochodzi żaden znak życia. Zeskakuje więc z kamienia i chwilę stoi bezradnie w ciemności, przyciśnięty do ściany. Potem idzie za róg i wpatruje się w plebanię. W oba skrzydła i w część frontową. W niektórych oknach widać światło, a w blasku dwóch

latarni zawieszonych na murze stajni dostrzega kryty powóz.

Co mówił ojciec? Litvonius? Czy to ekwipaż, którym on przyjechał? Prawdopodobnie tak, stwierdza, sam król nie powstydziliby się takiego pojazdu. Pewnie siedzi teraz z proboszczem Maximanderem i z tym podłym służalcem Caramboliusem i je kolację.

Skąd on, Aron, może wiedzieć, że wikary Carambolius jest podłym służalcem?

Bo Beate tak powiedziała? Czy tak było?

Beate czarownica. Na myśl o tym przeszywa go dreszcz. A jeżeli Carambolius ma rację, jeżeli ona ma konszachty z samym szatanem, ta młoda i czarująca Beate z Greivaldu? Przecież właśnie tak jest: wszystkie czarownice są urokliwe, to ich niezawodny znak rozpoznawczy, sieć, w którą wabia.

Nie, dosyć tego, postanawia. Czy nie obiecał jej niezłomnie, że ją ocali? Zwątpienie i niepewność mieszkają w piersi obłąkanych... czy może co innego kryje się w piersi tych biedaków, nie pamięta, ale coś na ten temat wspomina Pismo Święte. W każdym razie on musi zaraz coś przedsięwziąć, nie może tak tylko stać jak jakiś wioskowy głupek i przestępować z nogi na nogę. Co oni z nią zrobili? Gdzie się podziała jego serdeczna przyjaciółka w ten ciemny wielkoczwartkowy wieczór w oczekiwaniu na stos?

Moja serdeczna przyjaciółka? – powtarza w myśli i jego serce nagle zaczyna bić inaczej. Może nawet śpiewa?

Idiotyczne pytania. Pora działać. A nie stać i śnić jak niepewny głupek.

Rusza w stronę plebanii. Idzie po omacku przez wilgotną od wieczornej rosy trawę. Gdzieś ujada pies, gdzie indziej pohukuje sowa. Ale on nie spotyka na swojej drodze żadnej żywej duszy, ani człowieka, ani zwierzęcia. Ani przyjaciela, ani wroga.

Obchodzi jedno spowite w ciemność skrzydło i kryje się za dużym drzewem, zaledwie kilka metrów od frontowej ściany głównego budynku. Chowa się za nim, nasłuchuje i zbiera się na odwagę. Ze środka dobiegają głosy, ale przytłumione i słabe, ani jedno okno nie jest otwarte, a ściany z bali są grube i szczelne.

Wystarczy jednak kilka żwawych kroków i już jest przy oknie. Stoi tuż obok, przyciśnięty do ściany, rozgląda się na wszystkie strony i czeka, aż serce znowu się uspokoi. Teraz słyszy wyraźniej, ale najwyraźniej – przynajmniej w tym momencie – rozlega się tylko jeden głos. Ostry i trochę nieprzyjemny, męski. Nie rozpoznaje go. Nie należy ani do proboszcza, ani do wikarego. Zakłada zatem, że to mówi przybyły dziś gość. Jak to oni go nazywają? Inkwizytor?

Tak, chyba tak. Człowiek, który ma władzę nad wszystkim co możliwe. Który posiada nieopisaną wiedzę i mądrość. Potrafi na przykład ustalić, kto ma konszachty z kusicielem. I kto powinien zostać spalony na stosie jak czarownica.

Tak to jest. Taki jest ten Litvonius, który stoi tam teraz w środku i peroruje.

A kim jest on, ten, który przyciska się do ściany?

Chłopiątkiem co najwyżej piętnastoletnim albo coś koło tego. Pozbawionym wiedzy i mądrości, nie umie nawet napisać własnego imienia ani odjąć trzydziestu od siedemdziesięciu pięciu.

Ma za to bijące młode serce. I złożył obietnicę. Nie tak dawno, zgadza się?

Tak, z całą pewnością.

Jest odważny? Raczej nie. Boi się jak młody zając w lisiej norze, ale teraz to nie ma żadnego znaczenia. Musi zrobić to, co do niego należy. Przecież jest tutaj obcy, nie wie nawet, jak się nazywają jego wieś i jego kraj, czyli jednak musi być jakiś sens w tym, że stoi tak w ciemności i stara się nadstawić uszu.

Sens, którego nie jest w stanie nawet się domyślić, gdzieś w środku w nim odzywa się jednak głos, który go opomina.

Głos brzmiący inaczej niż ten inkwizytora, zupełnie inaczej. Jest głęboki, mocny, dźwięczy spizowo. To nie puste cymbały, jak ten tam za szybą.

Dalej, Aronie! – upomina go. *Wiesz, co masz zrobić!*

I on wie. Jasne, że wie.

Ostrożnie wysuwa głowę i zagląda do środka. Na chwilę, żeby zorientować się w sytuacji.

Ten obraz wżera mu się w pamięć jak malowidło z ołtarza.

Trzech rosłych mężczyzn. Dwaj siedzą na krzesłach o prostych oparciach, ten pośrodku stoi na szeroko rozstawionych nogach, we władczej pozie.

W jego twarzy jest coś dziwnego. Ma obfitą rudą brodę, ale to, co od razu przyciąga wzrok, to ciemna plama na jego czole, jak znamię wypalone rozgrzanym żelazem. Wygląda osobliwie. Jak ptak?

Na podłodze u ich stóp, młoda kobieta.

To ona, Beate z Greivaldu. Ma związane z tyłu ręce, siedzi niewygodnie, oparta krzywo o ścianę. Jej suknia jest szara i znoszona. Brudne gołe stopy, włosy zmierzwione, potargane.

Mimo to jest piękna. Piękna i krnąbrna. Wżera się w jego serce głębiej niż tamci trzej. Głębiej niż inkwizytor, głębiej niż jego znamię na czole. Aron przywiera do ściany, próbuje nasłuchiwać, lecz słyszy jedynie puste trajkotanie. Gadanie bez treści, martwe wody bez ryb.

Mimo to wie, o czym mowa. Inkwizytor Litvoniusz ustalił, że Beate Greivald spiskuje z mocami ciemności. I dlatego skazuje ją na stos. Nie podjąłby przecież tak długiej podróży, by wrócić z niczym. Oczywiście, że nie. Przybył, żeby spalić czarownicę, zatem czarownica zostanie spalona.

Następnego dnia. Nazajutrz, w Wielki Piątek. Aron uzmysławia sobie, że wszystko jest dokładnie tak, jak mówiła Beate. Wydanie wyroku to formalność, ale w księgach musi zostać zapisane, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. Spalono czarownicę, kobieta jest dziełem szatana.

Dotyka klucza ukrytego pod koszulą. Chyba zaprowadzą ją z powrotem do więzienia, kiedy proces już dobiegnie końca? Chyba pozwolą jej tam spędzić ostatnią noc? Bo właśnie wtedy on ją stamtąd uwolni. Dzięki kluczowi, który wziął się Bóg wie skąd, ale wisi na jego szyi. Beate powiedziała mu, żeby go poszukał u wikarego Caramboliusa, lecz, jak się okazuje, nie musi tego robić. To dobrze. Nie chciałby zostać przyłapany u niego w pokoju.

Nagle księżyc w pełni przedziera się zza chmury na ciemnym niebie. Rzuca niespokojne plamy bladego światła na dziedziniec plebanii, ale nie na Arona, który stoi przyciśnięty do muru.

To właśnie ten księżyc nas poprowadzi, uzmysławia sobie. Kiedy on i Beate będą uciekać przez noc, drogę wskazywać im będzie to mniejsze ze światel niebieskich. Tak, tak. Tak będzie. Ostrożnie, po omacku, cofa się do spichrza i przygotowuje na długie czekanie.

Czeka i skręca się ze strachu.

Aron zasnął wśród pokrzyw. Siedzi skulony na ziemi, oparty o ścianę, i od kilku godzin nie może się uwolnić od nerwowych snów. Snów i pytań. Kim jest? Kim jest Beate z Greivaldu? Dlaczego nazwisko Litvonijs wydaje mu się tak znajome? Dlaczego i z jakiego powodu?

Ale właśnie zostaje wyrwany ze snu. Przemarznięty i wystraszony zrywa się na nogi. Z drugiej strony domu słychać głosy – głosy i zgiełk. Przyczyną zgiełku jest Beate Greivald, to nie ulega wątpliwości. Najwyraźniej próbuje się wyrwać z silnych męskich rąk, które ją trzymają w żelaznym uścisku i prowadzą z powrotem do więzienia. Aronowi przemyka przez głowę, że przecież powinna wiedzieć, że on tam jest, nie powinna się buntować, ponieważ on ją uratuje, dokładnie tak, jak ustalili.

Ale skąd Beate ma wiedzieć, że on jest tam, gdzie jest? Że jest młodym mężczyzną godnym zaufania i że ocali ją przed stosem i szponami śmierci?

I dlatego krzyczy, wyrzywa się i szamocze. Ciska przekleństwa i obrzuca swoich ciemniźcyeli obelgami, ognistymi wyzwiskami. Nawet on się czerwieni, gdy docierają do jego uszu. Uspokój się, ukochana Beate, chciałby jej powiedzieć. Nie stawiaj oporu, pozwól, żeby cię zamknęli. Przecież ja mam klucz, wisi na mojej szyi. Dotyka surowego żelaza i zadaje sobie pytanie, skąd on się wziął.

Ale to tylko jedno z niezliczonych pytań. Całe życie wydaje się zagadką.

Wreszcie wtrącają Beate do więzienia. Zatrząskują drzwi i zamykają je starannie. Aron słyszy, że rzeczywiście jest ich trzech. Trzech mężczyzn próbuje zapanować nad szesnastoletnią dziewczyną. A może ona ma już siedemnaście, tego nie wie. Przecież nie wie nawet, ile sam ma lat.

Chociaż tego, że jest dorosły, jest pewien. Czuje to bardzo wyraźnie takiej nocy jak ta, gdy księżyc w pełni znów wygląda zza chmur.

Wie też, że Beate Greivald także jest dorosła.

Zaległa cisza. Mamrocząc coś do siebie, mężczyźni idą z powrotem przez dziedziniec. Czarownica jest zamknięta, jutro zostanie spalona, na pożytek i chwałę Pana i jego sług.

Aron czeka, aż zrobi się tak cicho, że będzie mógł usłyszeć szum wiatru w koronach klonów, które niezbyt okazałym szeregiem zdobią wjazd do kościoła. Wtedy wspina się na kamień i szeptem wypowiada jej imię.

– Beate?

– Aron?

Nagle jej twarz jest blisko jego twarzy. Dzieli ich jedynie krata, ale w ciemności Aron prawie jej nie widzi. Beate szlocha i kilka razy powtarza jego imię.

– Aron, Aron, Aron... naprawdę przyszedłeś.

– Tak – odpowiada. – Jestem tutaj.

– Już prawie straciłam nadzieję – mówi. – Dlaczego to trwało tak długo?

Nie wie, co odpowiedzieć, więc nie mówi nic.

– Masz klucz?

– Mam jakiś klucz – potwierdza. – Ale nie jestem pewny, czy właściwy.

Uświadamia sobie, że powinien był go wypróbować. Miał na to dość czasu, gdy na plebanii odbywał się proces. Był jednak zbyt oszołomiony, żeby o tym pomyśleć. Zbyt zajęty własnym strachem i wątpliwościami.

Teraz już nie wątpi. Wszelkie wahanie jakby się rozplynęło w powietrzu. Szybkim krokiem obchodzi budynek, wyjmując ciężki klucz spod koszuli i próbuje przelożyć przez głowę

skórzany rzemyk, na którym jest zawieszony. Odkrywa, że rzemyk jest za krótki, a kiedy usiłuje go zerwać, okazuje się, że jest zbyt mocny. Znajduje węzeł, który jednak jest zbyt silnie zaciśnięty jak na jego palce. Nie sposób go rozsypać.

Co ma teraz zrobić? Myśli gorączkowo przez kilka sekund, po czym przykuca i z policzkiem przyciśniętym do drewnianych drzwi wsuwa klucz do zamka, i przekręca. Beate stoi za drzwiami, po drugiej stronie, i popędza go. Pospiesz się, pospiesz, najdroższy, mówi.

Najdroższy.

Tak łatwo się ślizga ten duży klucz, pół obrotu i nagle ani drgnie. Aron wyęży wszystkie siły, żeby przekręcić go dalej, ale stoi w tak niewygodnej pozycji, że nie jest w stanie. Próbuje więc obrócić go z powrotem, lecz to też mu się nie udaje. Może to mimo wszystko nie jest właściwy klucz. Tkwi teraz jak kamień w zamku, a głowa Arona jest przyciśnięta do drzwi – i nagle oblewa go fala przerażenia. Jest uwięziony. Żałośnie zaplątany we własne sidła, a tymczasem po drugiej stronie jego Beate czeka niecierpliwie, by uwolnił ją z więzienia.

Ona, ta, którą właśnie skazano na to, by rankiem następnego dnia spłonęła na stosie.

Pospiesz się, pospiesz.

Zdesperowany szarpie skórzany rzemyk, ale on trzyma mocno. Dlaczego nie ma żadnego noża przy pasku? Uderzając w klucz, rozkrwawia sobie kostki palców, ale klucz ani drgnie. Słyszy, jak Beate zaczyna płakać.

– Co robisz? – szlocha.

– Nie bój się – próbuje ją pocieszać.

Po chwili słyszy też coś innego. Głosy i kroki zbliżające się od plebanii.

Po niecałych trzech godzinach Beate Bittner postanowiła opuścić kawiarnię przy Frankenstraße. Obiecała, że będzie czekać cztery godziny, ale nagle ogarnęło ją bardzo nieprzyjemne uczucie. Po prostu strach. Powstał w jej niedoleżnych nogach, a potem rozszedł się w górę po całym ciele. Jak... jak ogień, pomyślała. Albo zapowiedź ognia, wezwanie do ucieczki, zanim płomienie będą zbyt blisko. Była to rzecz zarówno znajoma, jak i osobliwa. Doświadczyła już czegoś takiego i zarazem nie doświadczyła. Takiego ostrzeżenia jak to – jeszcze nie przeżyła, a przez krótką chwilę, nie dłużej niż przez sekundę, wydawało jej się, że słyszy w głowie głos swojego dziadka.

„Znikaj, dziewczyno. Uciekaj. Znowu będzie się palić”.

Bywało, że dziadek Eugen przychodził do niej we śnie. Ale nigdy tak nie mówił. Nie wydawał się taki wystraszony. Przecież jemu chyba nic nie mogło napędzić strachu, żywemu czy martwemu.

Zapłaciła, włożyła rękawiczki i opuściła kawiarnię. Od razu zawładnął nią wiatr, bo na dworze zaczęło porządnie wiać, gdy ona siedziała, popijała herbatę i chrupała migdałowe sucharki z marmoladą z pigwy, jedną ze specjalności lokalu. Dojechawszy do rogu, ogarnęła wzrokiem Kyffhäuserstraße. Przed numerem 52 nie działo się nic specjalnego. Ani nigdzie indziej. Mimo to bardzo się niepokoila. Dzisiaj była na zwykłym wózku, a nie na tym z napędem elektrycznym, ponieważ wcześniej towarzyszył jej Arne. W pewnym sensie się z tego cieszyła, bo musiała intensywnie pracować rękami, żeby pozbyć się tego nieprzyjemnego rozedrgania z krwi i mięśni. Ze swoich nędznych mięśni, które jeszcze miała – chociaż problem niewątpliwie nie sprowadzał się do tego, nie tym razem.

Na pewno. To, co się działo i nad czym nie umiała zapanować, tkwiło w jej głowie. Może dlatego, że nie chciała, by coś jej przeszkodziło, gdy nagle pojawiło się trochę blasku. Życie składało się ze zbyt wielu szarych dni, by można było odtrącić coś takiego. Nawet jeśli ten blask przecinały ciemne smugi. Bo chyba przecinały? Omeny i znaki, diabeł i jego babka. Od chwili kiedy natknęła się na tego dziwnego Szweda w Tiergarten, coś zaczęło się rodzić. Jawiło się niewyraźnie i lunatycznie, niczym nienapisana baśń. Albo jak... jak niepokój i ciekawość małego zwierzątka, które budzi się pod zmrózoną stertą liści po długiej zimie. To osobliwy obraz, czasami jednak coś takiego ją nachodziło. Nierzadko myślała, że chyba przeczytała w życiu za dużo różnych historii, ale tak się dzieje, gdy świat książek czyni się własnym życiem.

A jeśli siedzi się na wózku inwalidzkim, to się na nim siedzi.

Nie mogła się zdecydować, zrobiła więc rundkę po okolicy. Instynktowne poczucie zagrożenia wciąż nie dawało jej spokoju, choć nie było konkretnie ukierunkowane. Żadnych sygnałów, co powinna zrobić. Może tam, na górze, u Mężczyzny z Motylem, coś się stało? Na pewno, to wydawało się raczej oczywiste. Tylko co? Co o się stało?

I jak ona ma w tej sytuacji postąpić?

Wezwać policję? Tak obiecała Arnemu, ale co miałyby powiedzieć policjantom?

Wystarczyło, że wyobraziła sobie ich miny, kiedy zacznie mówić im o Beate numer dwa, kluczu i dziwnym Szwedzie, który przyjechał do Berlina, żeby odszukać swoją matkę... no cóż, samo to ją powstrzymało od podjęcia próby.

Nie wspominając już o gołębiu, o Evercie Taubem. O Mężczyźnie z Motylem i o zapowiedzi egzekucji przez spalenie na stosie. Powiedzieć, że wszystko to jest mętne, to nie powiedziec nic.

Co zatem zrobić? Trudno byłoby jej dostać się na wózku do domu pod numerem 52, to już

sprawdziła. Przynajmniej bez pomocy, a gdyby nawet zdołała wjechać windą na właściwe piętro i znaleźć się w wiadomym mieszkaniu, co właściwie mogłaby wskórać? Bo jeśli było tak, jak sądzili, zarówno ona, jak i Arne – i na co oboje mieli nadzieję – on przebywał teraz w innym miejscu i w innym czasie. Miał ocalić młodą dziewczynę, drugą Beate, przed spaleniem na stosie. W końcu o to w tym wszystkim chodziło, lecz kiedy człowiek siedzi sam i targa nim wiatr hulający po Kyffhäuserstraße, trudno mu wciąż wierzyć w całą tę historię. Szczerze w nią w i e r z y ć. Całkiem normalni ludzie szli po chodnikach i pchali przed sobą całkiem normalne wózki dziecięce, normalne auta stały po obu stronach ulicy i całkiem normalny cyklista pompował tylne koło roweru przed sklepem rowerowym na rogu. Naprawdę trudno było dostrzec jakkolwiek baśniowy blask, a mimo to nie dało się tak po prostu zignorować tego wewnętrznego rozedrgania. Jakby... jakby za chwilę miała wpaść w diabelską czeluść.

W diabelską czeluść? Skąd jej się wzięło takie określenie?

Z Astrid Lindgren oczywiście. W samym środku szarej normalności wyłoniła się przed nią niczym bajarka siedząca przy ognisku. Beate się uśmiechnęła. Istnieją inne światy. Istnieją inne rodzaje płomieni, oraz trolle, czarodzieje i księżniczki uwięzione w wysokich wieżach, i jednorożce. Na końcu tęczy stoi skrzynia pełna złotych dublonów, a gdy człowiek położy się do łóżka w kwietniu 2015 roku, może się zdarzyć, że obudzi się w marcu 1653.

Chyba straciłam rozum, pomyślała. Ale mam to w nosie. Gdyby nie było mi wolno być choć trochę wariatką i wierzyć w to, w co chcę wierzyć, nie wytrzymałabym tego wszystkiego. Prawda, dziadku?

Masz całkowitą rację, dziecinko, odpowiedział dziadek Eugen. Cieszę się, że nie udało ci się całkiem dorosnąć. Ja też nigdy nie dorosłem, i to była najlepsza rzecz, jaką zrobiłem.

A co byś zrobił, gdybyś był na moim miejscu? – spytała.

Dziadek chwilę się zastanowił.

Dokładnie to samo, co ty zamierzasz, odparł wreszcie.

Świetnie, uznała. To dobra i cenna rada. A co sądzisz o moim przyjacielu Arnem?

Bardzo go lubię, odpowiedział dziadek. Ale to półgłówek, któremu może się coś przytrafić, jeśli nie będzie uważał.

Wiem o tym, przyznała. I dlatego się niepokoję.

Niepokój serca trzeba wytrzymać, rzekł dziadek.

Podziękowała mu i pożegnała się. Postanowiła wrócić do domu, na Meranenstraße, i iść do toalety. Wszystko ma swój czas.

Popołudnie chyliło się ku wieczorowi. A ją stopniowo ogarniało uczucie... rezygnacji, niemal paraliż, jakby cielesna powłoka zaraziła się i dostosowała do stanu jej ducha i nadwątlonej woli życia, co normalnie jej się nie zdarzało. Naprawdę. Beate Bittner większą część życia przesiedziała na wózku inwalidzkim, nigdy jednak nie brakowało jej pogody i optymizmu. Wybrała własną drogę, i zrobiła to dosyć wcześnie, wbrew woli rodziców, zwłaszcza ojca. On chciał ją w taki czy inny sposób włączyć w życie parafii. Ona zdawała sobie sprawę, że w skrytości ducha bardzo by mu to odpowiadało: córka pastora na wózku uczestniczy w mszach. Uważał pewnie, że byłoby w tym coś s t o s o w n e g o, coś b o g o b o j n e g o, taki smutny portret czystego życia, a kiedy przedstawiła mu ten zarzut – bo to był zarzut – jego purpurowa twarz przeczyła żarliwości, z jaką twierdził, że to nieprawda. Trafiła w samo sedno, nie pierwszy raz.

Opuściła dom w Scharfhausen najszybciej, jak się dało, w letnie wakacje zaraz po maturze. Zaczęła studiować skandynawistykę (jako pierwszy język wybrała szwedzki) i bibliotekoznawstwo na uniwersytecie w Greifswaldzie. Po dyplomie pracowała w bibliotece w Kilonii, a po kilku latach dostała stały etat w Berlinie.

Obecnie, w ten osobliwy Wielki Tydzień, mieszkała przy Meranenstraße, na granicy Wilmersdorfu i Schönebergu. Mieszkała tam już od dobrych sześciu lat i nigdy nie myślała o tym, aby przenieść się gdzie indziej. Berlin oferował... no właśnie, co zapewniało jej to miasto? Chyba wyważoną kombinację nieprzewidywalności i poczucia bezpieczeństwa, fantazji i faktów, zmyślenia i prawdy, czyli taką samą mieszaninę, jaka krążyła w jej krwiobiegu. Która stanowiła jądro Beate Bittner, bo każdy człowiek ma swoje jądro.

Mniej więcej w taki sposób miała zwyczaj wyjaśniać to samej sobie, ale także braciom i ich rodzinom, gdy przyjeżdżali do stolicy, żeby ją odwiedzić. Kiedy biadolili i wpadali w przerażenie, choć jednocześnie nie potrafili ukryć, że tak naprawdę oni również chcieliby tam żyć. Gdyby nie te czy inne okoliczności. Dobrze płatna praca. Dobre przedszkole. Bliskość rzeki, morza, lasu czy czegokolwiek innego.

Głupie gadanie, myślała wtedy, ale trzymała język za zębami. Jesteście jak chorągiewka na dachu, niezdecydowani, zawsze tacy byliście.

W każdym razie Berlin okazał się jej miejscem na ziemi, to nie podlegało dyskusji. Brakowało jej jedynie psa. Wprawdzie nie tak prosto być przykutą do wózka i chodzić na spacerzy z czworonogiem, wiedziała jednak, że pewnego dnia sprawi go sobie. Kiedyś, dawno temu, obiecała to sobie, a Beate Bittner miała zwyczaj dotrzymywać obietnic, które sama sobie złożyła. Kudłaty kundel, tak, to tylko kwestia czasu.

Ale teraz siedziała i bała się. Bo czy to nie było tak? Czy to nie strach jest źródłem jej bezradności?

Strach, że coś może pójść kompletnie nie tak. Że trafiła nie do dobrej, ale do złej baśni. Ten osobliwy Szwed, którego spotkała, był jak wyjęty z książki, nawet od razu tak pomyślała, kiedy siedzieli tuż przy Tiergarten i jedli *Flammkuchen* w Knajpie przy Śluzie. I to właśnie było w nim takie pociągające. Ten człowiek jakby należał do innego świata i prawdopodobnie w tym momencie znalazł się w nim znowu: u tego tajemniczego mężczyzny z motylem przy Kyffhäuserstraße, ulicy, której nazwa była zaczerpnięta z głęboko germańskiego ducha. Choćby już to. Co właściwie dzieje się tam teraz, zaledwie kilkaset metrów od jej domu, kiedy ona siedzi tutaj i czuje się tak zdezorientowana i niepewna, jak jeszcze nigdy w życiu?

I wyczerpana. Jakby... jakby jakieś inne siły przejmowały władzę nad czymś w jej wnętrzu i jakby przestała panować nad własną wolą.

Beate Greivald. Kim ona jest? Gdy siedziała w kawiarni, owładnęło nią pewne przeczucie, lecz było tak płochliwe i niewyraźne, że nie dało się uchwycić. Ująć w słowa.

Czy to rzeczywiście możliwe, żeby cofnąć się do siedemnastego wieku? Co w ogóle ma się na myśli, gdy zadaje się takie pytanie? C o f n ą ć s i ę ?

Uniosła wzrok i spojrzała na jeden z obrazów dziadka Eugena. Jeden z tych mniejszych, który przedstawiał małą dziewczynkę z warkoczykami siedzącą na ogromnym jajku i karmiącą marchewkami jakiegoś bajkowego stwora, coś pomiędzy wielbłądem a orłem, w przybliżeniu. Dlaczego mój wzrok padł akurat na to malowidło? – zapytała samą siebie. Czy jest w tym jakiś ukryty sens?

Tak, naturalnie, odpowiedział dziadek Eugen w jej głowie, jakby odrobinę rozdrażniony. *Jasne, że jest. We wszystkim, co się dzieje, jest jakiś sens, nawet w wędrowce chrząszcza przez trawę, myślałem, że ustaliliśmy to już wiele lat temu.*

Beate skinęła głową. Rzeczywiście tak było. Wjechała do kuchni, żeby napić się herbaty. Co prawda wypita już trzy kubki w kawiarni, ale istnieje tyle rodzajów herbaty, a ona nigdy nie miała jej dość. Dziesięć książek w miesiącu i sto kubków herbaty, na tym polega moja prosta metoda – zdradził jej kiedyś stary wykładowca Wasserthurm, jej ulubiony nauczyciel z Greifswaldu. Natychmiast sobie przyswoiła tę filozofię życiową.

Nad miastem zaczął zapadać wczesny zmierzch, a gdy Beate czekała, aż zagotuje się woda, o blaszany parapet uderzyły pierwsze krople deszczu. Wkrótce zerwał się także wiatr i w ciągu minuty z rozniewanego nieba polały się strugi wody.

Prawdziwa szaruga w Wielki Czwartek, pomyślała. Oczywiście wszystko się zgadza.

Nieco później pojęła także, że nie powinna siedzieć w domu i czekać. W żadnym wypadku. Co powiedział dziadek, kiedy przyszła z wizytą Śmierć i zawróciła? „Kto czeka na właściwego, powinien siedzieć pod złotym”.

To przecież chyba była wskazówka, prawda? Dokąd zatem miała się udać? No d o k ą d ?

Dopiero kiedy wypła dwie i pół filiżanki herbaty, znalazła odpowiedź. I była to najdziwniejsza z odpowiedzi.

Zęby.

Nie ma noża, ale ostatecznie ma w ustach zdrowe zęby. Z niewiadomego powodu mężczyźni zatrzymują się przy pompie, stoją tam i wymieniają parę zdań między sobą. I to mu wystarcza. Wbija zęby w skórę, gryzie ją i szarpie i w końcu rzemień pęka na dwie części. Wyswobadza się i przemyka za róg dosłownie na kilka sekund przed tym, jak trzech mężczyzn podchodzi do drzwi – ci sami, słyszy ich, gdy ledwie dysząc, przywiera do ściany i nasłuchuje: wikary Carambolius, proboszcz Maximander i przybyły inkwizytor Litvonijs. I to on pierwszy zauważa, że w zamku tkwi klucz.

– A co to takiego? Co to ma znaczyć? – grzmi władczo. – Dlaczego zostawiliście klucz w zamku?

– Aaale... aaale... nnnie – jąka się Carambolius. – Nnn... nie zostawiliśmy klucza. Mam go w kieszeni.

Chyba pokazuje go dwóm pozostałym, bo Aron słyszy, jak z lekkim ociąganiem przynajmniej mu rację.

– W istocie – mówi inkwizytor Litvonijs. – Skąd zatem ten tutaj?

– Nie zaprzatajmy sobie tym głowy – mówi Maximander. – Wejźmy i przygotujmy ją.

Aron zastanawia się, co to może znaczyć. Przygotujmy ją? Jak przygotowuje się czarownicę do spalenia na stosie? Może są jakieś zasady i przepisy, które regulują także i to? Człowiek ma do spełnienia wiele. Nawet w obliczu śmierci.

Trzech mężczyzn próbują wyciągnąć klucz z zamka. Albo przynajmniej jeden z nich. Aron słyszy postękiwanie i mamrotanie.

– No? – rzuca Litvonijs. – Co się dzieje?

– Zdaje się... zdaje się... że utkwiał na dobre – stwierdza Carambolius.

– Utkwił na dobre? – powtarza Maximander. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Nawet Aron uważa, że to wyjątkowo głupie pytanie. Jeśli klucz utkwiał, to znaczy, że utkwiał.

– Nie mogę go obrócić – wyjaśnia Carambolius. – W żadną... w żadną... stronę.

Słysząc, że naprawdę się wysila i stara, tak samo jak ledwie kilka minut wcześniej Aron. Dyszy i sapie. Najwyraźniej wyteża wszystkie siły i pewnie bołą go już ręce.

– To niesłychane! Tak być nie może! – wybuchają inkwizytor. – Proszę się odsunąć!

Po czym przez dosyć długą chwilę moczy się tak samo jak Aron i Carambolius. Proboszcz Maximander także, a potem wszyscy razem. Klucz siedzi tam, gdzie siedział, zakleszczony jak żelazo w skale. Ale ze środka, z więzienia, w którym siedzi domniemana czarownica, nie dochodzi żaden odgłos. Aron domyśla się, że Beate stoi i nasłuchuje, śledzi wysiłki trzech świątłych mężczyzn, tak samo jak on. I postanawia milczeć. Nie dawać żadnego znaku życia. Może, zastanawia się Aron, może ona ma już jakiś plan?

Jeśli tak, to jaki? Jakże może być wyjście z tej nowej sytuacji? Aron usiłuje myśleć trzeźwo, lecz w jego głowie jakoś wciąż panuje bałagan. Ogromny bałagan, no bo co się teraz stanie? Czy uda im się wyciągnąć klucz? Czy drzwi rzeczywiście pozostaną zamknięte? Panie Boże, dopomóż mi, proszę w duchu, co mam teraz zrobić, żeby ocalić ukochaną przed płomieniami?

I odpowiedzi nadchodzą, niepostrzeżenie jak mgła.

Odczekaj, brzmi pierwsza. Uzbrój się w cierpliwość i zobacz, jakie zamiary mają jej kaci. Pan nie jest ojcem pośpiechu.

Na dodatek jeszcze zaczyna padać. Podczas gdy tamci trzej stoją przed zamkniętymi drzwiami i robią raban, niebiosy otwierają bramy i włączają do akcji gwałtowne oberwanie chmury. Inkwizytor Litvoniusz rzuca kilka mocnych przekleństw, po czym cała trójka pospiesznie przemierza dziedziniec, by znaleźć schronienie pod dachem. Aron tymczasem szybko przesuwając się za następny róg i staje na kamieniu.

– Beate!

W jednej chwili pojawia się naprzeciw niego po drugiej stronie kraty.

– Aron, co się stało? Nie da się otworzyć drzwi?

– Chyba nie. Obawiam się, że wziąłem zły klucz.

– Zły klucz?

– Tak, utkwił w zamku i nie sposób go wyjąć.

Nie jest w stanie dostrzec jej twarzy w ciemności, słyszy tylko i odrobinę czuje jej oddech. Jest krótki i nerwowy, jak u strwożonego szczeniaka. Arne czuje, że Beate w tej chwili gorączkowo myśli. Deszcz smaga go po karku i plecach.

– Nie rozumiem. Jak mogłeś wziąć zły klucz? Gdzie go znalazłeś?

Odpowiada, że nie wie. Zdaje sobie sprawę, że to najdziwniejsza z możliwych odpowiedzi, ale Beate i tak ją ignoruje. Są dużo ważniejsze rzeczy do wyjaśnienia.

– Co teraz zrobimy? – pyta.

– Zaczęło padać i wrócili na plebanie – mówi Aron. – Pewnie spróbują znaleźć jakiś sposób, żeby się do ciebie dostać.

– Jasne – zgadza się Beate. – Musisz mnie stąd uwolnić, zanim wrócą. Jeżeli nie mogą otworzyć drzwi normalnie, to pewnie je wyważą...

I w tej samej sekundzie, gdy pada słowo w y w a z ą, Aron wie, co ma zrobić. Przecież kilka godzin temu rąbał drewno, jedyne, czego potrzebuje, żeby wydostać Beate Greivald z więzienia, to siekiera.

Nie, jeszcze coś.

Czas.

Ile, nie sposób ocenić, ale trzej kaci pewnie nie wyjdą jeszcze raz na deszcz. Są przecież przekonani, że ich czarownica siedzi bezpiecznie zamknięta, więc po co mieliby niepotrzebnie moknąć? Aron przeklina samego siebie, jest zły, że nie przyszedł na plebanie z siekierą, ale trudno. Szukanie teraz innej w tych wszystkich komórkach i szopach wydaje mu się bezsensowne. Pobiegnie do domu i wróci. Nie powinno mu to zająć zbyt dużo czasu.

Mówi to Beate. Obiecuje, że zaraz wróci, ona tymczasem niech się modli, żeby deszcz nie przestał padać.

– Pospiesz się, Aronie – prosi. – Pospiesz się!

Puszcza się biegiem. Szybciej niż kiedykolwiek w życiu – tak przynajmniej sądzi, bo nic o swoim życiu nie wie – pędzi drogą do domu. Deszcz towarzyszy mu jak wierny sojusznik, zacina i leje nieustannie, nigdy jeszcze zła pogoda tak bardzo go nie cieszyła. Znajduje siekierę w pieńku, w którym zostawił ją wbitą, wrywa ostrze i natychmiast biegnie z powrotem. Nie ma czasu do stracenia, ani minuty, ani sekundy. Gna tak szybko, że czuje smak krwi w ustach i niemal uginają się pod nim nogi, ale gdy dociera do plebanii, stwierdza, że nic się nie zmieniło. Wciąż pada. Pędzi więc do spichlerza i natychmiast zaczyna rąbać.

– Aron? – woła z niepokojem Beate, bo przecież to mógłby być ktoś zupełnie inny, ktoś, kto na nią poluje.

– To ja – sapie Aron. Wymachuje siekierą, wali i wali w drzwi, aż lecą drzazgi w ciemności. Oczywiście wszystko to słyhać, oczywiście tamci w głównym budynku plebanii wkrótce się zorientują, że z ich uwięzioną w drugiej części dziedzińca czarownicą coś się dzieje.

Ale może śpią, pewnie dochodzi już północ. Poza tym nie sposób uderzać siekierą, nie robiąc hałasu. Mocne, rozchodzące się echem odgłosy, których nie zdoła zagłuszyć nawet taka ulewa. Aron koncentruje się na okolicy zamka, bo jeśli tylko zdoła go wybić, powinno mu się udać otworzyć drzwi. Ale deski są stare i grube i niechętnie ustępują. Wywija siekierą, rąbie i walczy, przeklinając i masywne wrota, i parobka, który je zrobił. Nie poddaje się jednak, jest cały mokry, i od potu, i od deszczu, świadom, że to, co robi w ten wielkoczwartkowy wieczór, jest najważniejszą rzeczą, jaką uczynił w całym życiu. W całym swoim niepojętym życiu.

I nagle się przebija, teraz niewiele już brakuje. Beate go popędza. On zaciska zęby i jeszcze przyspiesza. Jak szalony wymachuje siekierą i uderza... po tym ciosie cały zamek wyskakuje i drzwi ustępują! Nareszcie! Beate Greivald rzuca się ku niemu i wpada mu w ramiona z takim impetem, że oboje się przewracają. Ona wykorzystuje ten moment i go całuje. On zaś nigdy dotąd nie całował żadnej dziewczyny, ale uważa, że to cudowne uczucie. Beate leży na nim całym swoim ciężarem i wpycha mu język głęboko w usta, oczywiście trwa to krótko, ale ta chwila rozciąga się na całą wieczność.

Potem się podnoszą i dopiero wtedy on rozluźnia uchwyt na stylisku siekiery, lecz zanim zdążą pomyśleć, dokąd mają uciekać, w ciemności rozlegają się nawoływania.

Krzyki i przekleństwa. Odkryto ich, nie ma wątpliwości.

Odkryto, że czarownica wydostała się z więzienia, że ma pomocnika. Hulaj dusza, piekła nie ma!

Znowu biegnie. Razem z Beate, już nie jest sam. Pędzą przez ciemny las, przeskakują pniaki i kamienie, deszcz ciągle pada, ale już nie tak ulewny, albo może chronią ich korony drzew. Aron i Beate. Beate i Aron. Niemal nic nie widzą, nieustannie się potykają i przewracają, zderzają się z drzewami, lądują w bagnistych rozpadlinach, rozrywają sobie skórę do krwi o kolczaste krzewy i zarośla, nic jednak nie jest w stanie ich zatrzymać. Nic. Od czasu do czasu łapią się za ręce, ale tylko po to, aby sobie przypomnieć, że należą do siebie. Muszą biec osobno, żeby nic ich nie spowalniało. Prześladowcy depczą im po piętach, mają psy, dwa albo trzy, nie da się rozpoznać, ale Aron wie, że na plebanii jest ich co najmniej sześć, kudłate bestie o ostrych kłach. Z różnych stron dobiega ujadanie, co ma taką zaletę, myśli Aron, że zdradza im, jak dużą mają przewagę. Albo jak małą. Psy muszą co jakiś czas się zatrzymać i obwąchać, złapać trop, oni dwoje natomiast nie przystają. Ani na sekundę. Dla nich to bieg o życie. Beate zdaje się prowadzić, zmierza w określonym kierunku, i Aron wkrótce się domyśla, jaki ma plan.

Muszą się przedostać przez rzekę.

Muszą dotrzeć do rzeki i się przez nią przepawić. Na drugim brzegu nie będą całkiem bezpieczni, ale mimo wszystko ich szanse na ocalenie wzrosną. Psy gubią trop w wodzie, a jeżeli ścigać ich będą jedynie ci trzej duchowni, Carambolius, Litvonijs i opasły Maximander – Aron wątpił, by oni dali radę przepawić się na przeciwległy brzeg rzeki – rzeki, która była ich wybawieniem i którą chyba już słyszał.

– Jesteśmy blisko – sapie Beate, jakby na potwierdzenie. – Jeszcze kawałek i zaraz wskoczmy do rzeki.

I nagle do niej docierają. W ostatniej chwili zatrzymują się na wysokiej skarpie, prawie urwisku. Wody płynącej w dole w ogóle nie widać, słychać tylko jej szum. Jest głęboko pod nimi, jakieś dziesięć, może piętnaście metrów.

Za ich plecami ujadają psy, już całkiem blisko.

Znowu chwytają się za ręce.

– Skaczemy – oznajmia Beate. – Damy radę.

I skaczą. Ręka w rękę, prosto w ciemność.

Ciągle ciemno.

Gdzie on jest?

K i m jest?

Pamięta, że skoczył.

W dół, do jeziora albo do rzeki.

Albo może i. Do jeziora i do rzeki.

Ale teraz nie jest ani w jeziorze, ani w rzece. To długi korytarz, jak tunel. Jest w nim sam i prawdopodobnie stoi pośrodku, bo na obu końcach widać słabe światło. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów w jedną stronę, dwadzieścia, dwadzieścia pięć w drugą.

Czuje się nieskończenie zmęczony. Ledwie się trzyma na nogach. Zdaje sobie sprawę, że przeżył coś skrajnie wyczerpującego, co go niemal zabiło. Przebiegł przez las. Czy przebiegł przez miasto?

A może... i t o, i t o. Nie wiadomo.

To było ważne, tak, nadzwyczaj ważne, ale więcej nie potrafi wydobyć z pamięci.

W każdym razie nie w tej chwili, kiedy stoi wypompowany i opiera się o wyłożoną kafelkami ścianę w jakimś tunelu i nie wie nawet, jak się nazywa.

A... na pewno jakoś na A. Nie żeby to odgrywało jakąś rolę, ale zawsze dobrze jest znać własne imię.

W każdym razie miał do wykonania jakieś zadanie i wywiązał się z niego zadowolająco. Możliwe, że został jeszcze do załatwienia jakiś drobiazg, ale to się okaże. Okaże i rozwiąże. Pewnego dnia zrozumie.

Rozgląda się w obie strony, niezdecydowany, w którą ruszyć. Bo przecież nie może zostać na dole, musi wydostać się na ziemię, chociaż skąd pewność, że jest pod jej powierzchnią? No przecież tak już jest z tunelami, tunel nadziemny dla nikogo nie ma raczej szczególnego sensu.

I wtedy dostrzega coś w jednym końcu, coś, co znajduje się dosyć blisko tego nieco jaśniejszego pola. Tam, gdzie prawdopodobnie jest wyjście. Postanawia iść w tamtym kierunku i sprawdzić co to, ponieważ coś mu mówi, że to może być ważne. Ważne także w obecnym czasie. W tym momencie. Coś albo ktoś czeka tam na niego, a kiedy podchodzi bliżej, widzi, że to dziewczyna na wózku inwalidzkim. To o n a.

Beate.

A on jest Arne. Wie to na sekundę wcześniej, zanim ona wypowie jego imię. Arne Albin Hektor Murberg.

– Arne!

Ona płacze. Cicho, bez hałasu. Jest ciekaw dlaczego, ale nie pyta. Kładzie jej rękę na ramieniu i nic nie mówiąc, stoi tak przez chwilę. Milczący i bezradny. Ona wyciera nos papierową chusteczką.

– Daleś radę.

– Tak – potwierdza. – Chyba to zrobiłem.

Beate kiwa głową, a potem on zaczyna pchać wózek. Z tunelu, w kierunku słabego światła.

– Gdzie my jesteśmy? – pyta. – Wiesz może, gdzie jesteśmy?

– Tak, wiem – odpowiada ona.

Wychodzą na ulewny deszcz i wiatr.

I w ciemność.

Chociaż Złota Olga, Kolumna Zwycięstwa, jest oczywiście oświetlona. Tak, są właśnie tam. U stóp bogini zwycięstwa Wictorii, w centrum Berlina. Na ogromnym rondzie nie ma o tej porze ludzi i prawie nie jeżdżą samochody. Jedynie pojedyncze, zagubione nocą pojazdy przemykają dookoła gigantycznej statui i znikają w jednej z pięciu arterii prowadzących w różnych kierunkach, ku różnym częściom Berlina. Prawie jak wymarłe miasto, myśli Arne. Czuje się tak, jakby byli w tej metropolii całkiem sami, on i Beate. Jakby nie było innych ludzi. Tylko on i ona. Aron i Beate, nie, Arne i Beate.

Przecinają szeroką ulicę i wchodzą do parku, który zapewnia nieznaczoną osłonę przed deszczem. Beate ma przynajmniej na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i foliowy pokrowiec osłaniający nogi i stopy, on natomiast jest w swojej zwykłej kurtce, jedynej, jaką zabrał z K., niespecjalnie odpornej na wilgoć.

Ale to nie ma żadnego znaczenia. Nie jest mu zimno, ponieważ rozgrzewa się, pchając wózek z Beate.

– Zimno ci? – pyta ona. – Chcesz mój pokrowiec?

– Nie, nie trzeba – odpowiada. – Nie rozumiem, jak się tu znalazłem.

– Ja też nie wiem, jak to się stało – mówi Beate.

– Mam wrażenie, jakbym biegł. Przez las i przez jakieś miasto. Ale głównie przez las. A potem skoczyliśmy... my... co ja właściwie mówię, jacy m y? To takie dziwne.

– Istnieją rzeczy, których nie umiemy zrozumieć – mówi Beate.

– Mnóstwo rzeczy – dodaje Arne. – A ty jak tutaj trafiłaś?

– Usłyszałam... – zaczyna Beate i urywa – ...usłyszałam jakiś głos, który powiedział mi, że powinnam iść pod Kolumnę Zwycięstwa, i wtedy... po prostu to zrobiłam. Chociaż właściwie prawie nic nie pamiętam. Nagle się tu znalazłam i postanowiłam czekać. Oczywiście mogłam wziąć wózek elektryczny, ale z jakiegoś powodu wybrałam ten.

– Dobrze zrobiłaś – odparł Arne. – Lubię cię nim wozić.

– Dzięki – mówi Beate. – Na pewno jesteś zmęczony.

– Jestem śmiertelnie zmęczony – przyznaje Arne. – Ale to też mi się podoba.

Idą dalej w milczeniu przez spowity ciemnością park. Beate wskazuje drogę, gdy on na którymś rozwidleniu ścieżek nie wie, w którą ma skręcić. Wreszcie dochodzą do Knajpy przy Śluzie, gdzie spotkali się po raz pierwszy, kilka dni wcześniej. Ona podnosi wzrok, patrzy na niego i prosi, żeby się na chwilę zatrzymał.

– Pocałuj mnie, Arne – mówi, a on spełnia jej prośbę. Po raz pierwszy całuje kobietę, a mimo to wyraźnie pamięta, że nie tak dawno robił to samo. Ledwie czterysta lat temu czy coś w tym rodzaju. Stwierdza, że Beate smakuje trochę deszczem, trochę solą i trochę lodami waniliowymi.

– Wiesz co... – zaczyna Beate. – Dzisiaj przenocujesz u mnie, i proponuję, żebyśmy porozmawiali o tym wszystkim dopiero, jak się jutro rano obudzimy.

Arne się zastanawia.

– Okej – zgadza się. – Chyba rzeczywiście najlepiej by było się z tym przespać.

I dalej powoli wędrują w deszczu przez Berlin, w kierunku Wilmersdorfu i Schönebergu. W tę dżdżystą noc miasto jest naprawdę puste. Ulice, chodniki i place leżą osamotnione jak po wojnie. Kiedy przecinają Bundesallee, rozbrzmiewa symfonia kościelnych dzwonów.

Dzień dziewiąty

W dzień dziewiąty – był nim Wielki Piątek w tygodniu wielkanocnym – odpoczywali.
Było mnóstwo bliskości.
I masa słów, pytań, odpowiedzi. Rozmyślań.
Czyszczenia butów i pucowania.
I więcej nie ma co relacjonować.
Nieprawda, był też czerwony koń, który przeleciał nad pełnym zgiełku miastem. Wisiał
nad nimi jak anioł stróż.
Nie powinno się o nim zapominać.

Dzień dziesiąty

– Dzień dobry. Dobrze spałeś?

– Tak, oczywiście – odpowiedział, ziewając. – A ty?

– Jak suseł. Ale jak tylko się obudziłam, przyszło mi coś do głowy.

– Co takiego?

Obrócił głowę i spojrział w okno. Ujrzał koronę drzewa, na którym zaczynały kiełkować listki, a za nim niemal białe niebo. Chyba prościej jest być drzewem niż człowiekiem, stwierdził w duchu. Prościej, ale jednocześnie nudniej.

– Przy śniadaniu ci wyjaśnię.

O co znowu chodzi? – zaczął się zastanawiać. Co ona zamierza?

Bo przecież wszystko już omówili, tam i z powrotem. Cały Wielki Piątek – jeśli nie spali lub nie robili czegoś innego – przegadali. Zastanawiali się i zadawali pytania. Opowiedział jej, tak dokładnie, jak był w stanie, jak Aron uratował Beate numer dwa od śmierci na stosie, miał jednak poczucie, że wspomnienie tamtych wydarzeń szybko blaknie. Jakby chodziło o to, żeby teraz, kiedy wszystko rozwiązało się pomyślnie, jak najszybciej zapomnieć. Czy co o tym sądzić? Z niemałym wysiłkiem zdołał przywołać w pamięci obraz, jak rozbija siekierą drzwi, jak ucieka z Beate przez las i w końcu skacze w dół, w płynącą wodę.

A tamto jezioro i tamto miasto? Jakoś mieszały się w osobliwy sposób. A przecież powinno się umieć odróżnić las od miasta? I rzekę od jeziora? Jeśli już jest się człowiekiem, a nie drzewem.

Ale klucz to klucz. Nawet jeśli nie jest właściwy. Jedynie dzięki temu, że utknął w zamku, udało im się uciec. Przynajmniej to jest niepodważalne.

– Myślę o nim – zaczęła Beate, kiedy usiedli przy stole w kuchni, każde z kubkiem herbaty i stosem kanapek. – O kluczu, o nim rozmawialiśmy wczoraj raczej niewiele.

– Wcale nie – zaprotestował. – Powiedziałem na przykład, że miałem go przy sobie, kiedy przyszedłem do Mężczyzny z Motylem, i że zniknął, kiedy wróciłem, i...

– Owszem, rozmawialiśmy o kluczu – wtrąciła Beate – ale nie o szkatułce. W której on leżał i którą udało mi się otworzyć sposobem.

– O szkatułce? A co z nią? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Może warto by było przynajmniej bliżej się jej przyjrzeć, co ty na to?

Znalezienie jej zajęło im kilka minut. Leżała tam, gdzie Beate ją zostawiła, na stosie książek na regale. Wrócili do kuchni i po kolejnej minucie Beate otworzyła zamek – znowu rozprostowanym biurowym spinaczem. Przyjrzała się płaskiej skrzyneczce i obmacała palcami wszystkie kanty.

– Czego szukasz? – spytał.

– Nie mam pojęcia – przyznała nieco zawiedziona. – Może jakiegoś... wyjaśnienia. Małej tajemnej skrytki albo czegoś w tym rodzaju, ale chyba nic takiego w niej nie ma. Poczekaj, zaraz, zaraz, co to jest?

Uniosła szkatułkę wyżej, żeby światło padające z okna lepiej oświetliło jej wnętrze.

– Tutaj jest coś napisane. Widzisz?

I Arne zobaczył. Do jednej z krótszych ścianek przylegała karteczka, niełatwa do zauważenia, ponieważ była prawie tego samego koloru co drewno. Szeroka najwyżej na centymetr i długa na kciuk, z tekstem niemal niewidocznym, ponieważ litery były jedynie odrobinę ciemniejsze od tła, a na dodatek tak mikroskopijne, że Beate musiała poszukać szkła

powiększającego, żeby móc cokolwiek przeczytać. Arne przeżuwał kanapkę i czekał, ona zaś, mrużąc oczy, coś mamrotała i bąkała pod nosem. Z końcem języka w kąciку ust wygląda nieprawdopodobnie słodko, pomyślał.

– To po włosku – powiedziała wreszcie. – Ten tekst jest po włosku, jestem pewna. Myślę... myślę, że powinniśmy to przepisać. Mam słownik włoski, więc jeśli uda nam się odcyfrować wszystkie litery, niewykluczone, że będziemy mogli się dowiedzieć, co tu jest napisane.

– Ja nie mam pojęcia o włoskim – przyznał Arne.

Beate się uśmiechnęła.

– Nic nie szkodzi. Damy radę. Jestem pewna, że właśnie mamy przed sobą coś w rodzaju wyjaśnienia. Że też nie pomyśleliśmy o tym wcześniej.

M y ? – zdziwił się Arne. M y nie pomyśleliśmy... jest cała masa rzeczy, o których ja nie pomyślałem. Rzeczywiście dobrze jest być we dwoje, jeśli trzeba rozwiązać jakiś problem.

Zwłaszcza jeśli jedną osobą z tej dwójki jestem ja.

Kwadrans później Beate przepisała tekst do notesu, a w ciągu następnych piętnastu minut – Arne tymczasem brał prysznic – udało jej się go przetłumaczyć.

– Posłuchaj – powiedziała, gdy wszedł do kuchni owinięty w jeden czerwony i jeden niebieski ręcznik. – Tu jest napisane mniej więcej tak: zostałem wykonany przez mistrza kowalskiego Bonaventurę. Zamykam przed Szatanem i jego wyznawcami. Otwieram przed Panem Bogiem i jego anielskim orszakiem. Strzeż mnie dobrze”. I co ty na to?

Arne się zamyślił.

– Czy ja wiem... – zaczął niepewnie. – Właściwie to całkiem dobrze pasuje, nie uważasz?

– Pasuje idealnie – zgodziła się Beate. – Dzięki kluczowi inkwizytor i jego pomocnicy nie dostali się do środka i tylko dlatego mogłeś mnie uratować.

– Co takiego? – rzucił i usiadł na krześle. – M n i e ? To znaczy... c i e b i e ?

– Przepraszam – odpowiedziała, a on odniósł wrażenie, że trochę się zarumieniła. – Zdaje się, że się zagalopowałam. Było raczej tak, jak mówiliśmy wczoraj. To znaczy... że chodziło o t w o j e g o dziadka babki dziadka... i tak dalej, i o mojego dziadka babki babkę, i tak dalej. Myślę, że na czterysta lat przypada mniej więcej dwanaście pokoleń.

Arne czuł, że kręci mu się w głowie, tak samo jak poprzedniego dnia, kiedy o tym rozmawiali.

– Dwanaście pokoleń – powtórzyła Beate, stukając się palcem wskazującym w czoło, może by pokazać, że w jej czasce też wszystko wiruje.

Arne przymknął powieki i pokiwał głową. Beate mówiła dalej:

– ...tak więc Aron i Beate, bez nich ani ty, ani ja nie siedzielibyśmy tutaj. W ogóle byśmy się nie urodzili. I dlatego to było takie ważne, żeby ona nie spłonęła na stosie i żeby mogli się pobrać i mieć dzieci. Które potem brały śluby z kolejnymi naszymi krewnymi i sprowadzały na świat kolejne dzieci... chyba nadążasz?

– Eee... jasne – powiedział. – Pewnie, że nadążam.

– Na tej kartce jest nazwa jakiegoś miasta i rok – ciągnęła, marszcząc czoło. – „Venezia 1578”. Venezia to prawdopodobnie Wenecja... Umiesz to jakoś wyjaśnić? Skąd twój ojciec miał szkatułkę i klucz z Wenecji? I dlaczego kazał ci ją przekazać matce?

– Dobre pytania – stwierdził Arne.

Beate znowu wpatrzyła się w skrzyneczkę i otworzyła ją ostrożnie.

– Poczekaj – powiedział Arne, wlepiając wzrok w kanapkę z salami i ogórkiem, którą trzymał w ręce i właśnie zamierzał odgryźć kęs. – Wenecja leży we Włoszech, prawda?

– Zgadza się – potwierdziła Beate. – No i?

– Myślę... nie, poczekaj, ja to w i e m. Oni się tam poznali. I zostali parą. Ciotka Polly czasami powtarza...

– Twoja mama i twój tata? Chcesz powiedzieć, że poznali się w Wenecji?

– Tak.

– A co mówi ciotka Polly?

– Teraz już nie mówi, ale pamiętam, że kiedyś często powtarzała. To się nawet rymowało: kto w Wenecji w grzechu poczęty, nigdy nie będzie dorosły i rozgarnięty. Zdaje się, że to tam... jakoś powstałem. Chociaż nie powinienem był powstać. Ciotka Polly jest, jaka jest.

– Właśnie widzę – powiedziała Beate z grymasem na twarzy. – Ale skoro twój tata chciał, żeby mama dostała tę szkatułkę i klucz, to może kupili je wtedy razem, w Wenecji. Kiedy tam byli i ty... j a k o ś p o w s t a ł e ś? Albo może kupił ją dla niej w prezencie?

– Była też jakaś jasnowidzka. – Arne nagle sobie przypomniał. – Tata wspomniał coś o tym, kiedy mi opowiadał.

– Jasnowidzka? – powtórzyła Beate i zamyśliła się na dwie sekundy, po czym klasnęła w dłoń i spojrzała na niego z triumfem. – No proszę! To wszystko zaczyna się pięknie układać.

– Tak uważasz?

– Oczywiście. Posłuchaj: twój tata i twoja mama spotykają się w Wenecji, on kupuje od jasnowidzki klucz w szkatułce... bardzo wyjątkowy klucz, a może ona najpierw przepowiada przyszłość twojej mamie... albo im obojgu. Dużo później, tuż przed śmiercią, ojciec zleca ci, żebyś pojechał z tym kluczem do Berlina i przekazał go mamie. Przyjeżdżasz tu, ale jednocześnie przenosisz się z powrotem w siedemnaste stulecie i po mnóstwie czarów i uroków wkładasz klucz w zamek, żeby dwoje naszych przodków mogło się spotkać... i żebyśmy ty i ja... żebyśmy ty i ja mogli siedzieć tutaj, pić herbatę i spędzać miło czas! W moim domu w Berlinie!

Arne znowu się zamyślił.

– A to ci dopiero – powiedział po chwili.

– No właśnie. – Beate objechała róg stołu i pocałowała go w policzek. – Ale dzisiaj jest Wielka Sobota i mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

– Wiem, wiem – odpowiedział. – Violetta Dufva... albo może Vogel? To ją przecież mam znaleźć. Po to tutaj przyjechałem. Prawie o tym zapomniałem.

Ale w zamian znalazłem ciebie, pomyślał, nie odważył się jednak wyznać tego na głos.

– Nie, nie, w żadnym razie nie możemy zapomnieć o twojej mamie. Pora wrócić na Kyffhäuserstraße. Wyobraź sobie, że może ona tam mieszka i opowie nam o kluczu. A poza tym ciekawe, co słyhać u Anatolisa Litvinasa. Jak myślisz?

– U Mężczyzny z Motylem – dopowiedział Arne w zadumie. – To fałszywy drań. Nie mam najmniejszej ochoty znowu zostać zahipno...tyzowany. Szczerze mówiąc, już mi wystarczy.

– Spróbujemy tego uniknąć – obiecała Beate.

Już z daleka czuli, że przy Kyffhäuserstraße 52 coś się dzieje. Ulica była zagrodzona łopoczącą na wietrze czerwono-białą taśmą, a na chodniku po drugiej stronie stała grupka ludzi. Patrzyli w górę i na coś wskazywali. Kiedy Arne i Beate podeszli bliżej, zobaczyli, o co chodzi.

Jedno z okien ziało czarną pustką, a mur wokół niego, a zwłaszcza nad nim, też był czarny od sadzy. Nietrudno było się domyślić, co się stało: w środku wybuchł pożar. W powietrzu nadal wisiał nieprzyjemny swąd zimnego dymu, a kawałek dalej na ulicy stał wóz strażacki.

Zatrzymali się. Beate zwróciła się do starszego pana palącego fajkę i spytała go, co się stało. Natychmiast zaczął trajkotać i wyjaśniać, wymachując rękami i fajką. Arne nie potrafił go zrozumieć.

– Wczoraj późnym wieczorem – przystąpiła do tłumaczenia Beate, gdy drobna kobieta, prawdopodobnie jego żona, zdołała go wreszcie uciszyć – wybuchł pożar. Tak powiedział. Przyjechała straż pożarna i ugasiła go bardzo szybko, ale jeden człowiek stracił życie. Myślisz...

Arne nerwowo przełknął ślinę.

– W każdym razie to jest to piętro – stwierdził, czując ciarki na plecach.

Beate milczała.

– I chyba jego okno. Chociaż nigdy nie mogłem przez nie wyjrzeć, bo zasłony były zaciągnięte.

– Musimy dostać się na górę i sprawdzić – postanowiła Beate. – Byle tylko nas wpuścili.

Przy drzwiach stał policjant, a może tylko jakiś strażnik. Pchając przed sobą wózek z Beate, Arne ruszył w jego kierunku.

– Powiem mu, że w tym domu mieszka twoja mama – zaproponowała. – Zgadzasz się?

– Okej – potwierdził.

Po kilku krótkich zdaniach wypowiedzianych przez Beate mężczyzna kiwnął głową, otworzył drzwi i pomógł Arnemu wprowadzić wózek.

Na trzecim piętrze natrafili na kolejnego strażnika oraz na starszą panią z włosami jak przekwitły dmuchawiec. Wepchnęła w kąt jakiegoś młodego mężczyznę w dresie i gorączkowo z nim dyskutowała. Wydawała się bardzo wzburzona, tymczasem chłopak robił, co mógł, by się od niej uwolnić, niewykluczone, że chciał zdążyć na trening. Kiedy zauważył Beate i Arnego, skorzystał ze sposobności i wymknął się z kąta, a potem szybko zbiegł po schodach. Beate zapytała kobietę, co się stało.

– *Götterdämmerung und Jammerschade!* – wybuchnęła starsza pani, wydmuchując nos w kolorową chustkę, wielką jak wycieraczka pod drzwiami. – *Der verdammte Dummkopf!*

Następnie wdały się w rozmowę, która jeśli chodzi Arnego, równie dobrze mogłaby przebiegać po chińsku, bo prawie nic z niej nie rozumiał. Spodziewając się, że za chwilę Beate wszystko mu wyjaśni, na razie rzucił okiem na mieszkanie Mężczyzny z Motylem. Drzwi nie było, a strażnik stojący tuż obok wyglądał na znużonego i chyba nie miał nic przeciwko temu.

Z całą pewnością to tam się paliło. U profesora Anatolisa Litvinasa, jak się prawdopodobnie nazywał. A może występował pod fałszywym nazwiskiem? Takie rzeczy się zdarzają, Arne wiedział to między innymi z filmów. Tak czy owak z mieszkania straszliwie cuchnęło, a sprzęty, które dało się jeszcze rozpoznać, wyglądały rozpaczliwie. Pokryte sadzą, czarne i nasiąknięte wodą. I pomyśleć, że byłem tutaj zaledwie dwa dni temu, pomyślał Arne i znowu poczuł ciarki na plecach. I pomyśleć, że zniknąłem stąd, żeby się przenieść... w siedemnaste stulecie... a na koniec skoczyłem do rzeki i w samym środku nocy wylądowałem

w tunelu pod Złotą Olgą! Jak to się stało? Do końca życia nie przeżyję niczego dziwniejszego, nawet jeśli miałbym zostać papieżem czy kapitanem statku albo...

Beate wyrwała go z zadumy, pukając go w plecy.

– Arne, pozwól, że ci przedstawię Frau Vogel...

– Słucham? – spytał, obracając się ku nim. – To przecież chyba nie... W takim razie to musi być...

Starsza pani wyciągnęła do niego rękę i przywitała się energicznie.

– Irmelin Vogel, *grüss Gott*.

– *Isch bin Arne. Guten Tag, aber...*

Urwał i zaczął się zastanawiać. Jeśli ten stary dmuchawiec jest panią Vogel, to znaczy, że... tak, to znaczy, że nie może być jego mamą. Wyglądała na co najmniej osiemdziesiątkę, a Violetta Dufva powinna mieć około sześćdziesiątki. Nie potrafił też dostrzec najmniejszego podobieństwa między nią a twarzą ze starej fotografii, więc co to wszystko mogło znaczyć? Tylko jedno: że tamto olśnienie... gołąb i ptak, i zmiana nazwiska... że to wszystko było pomyłką. Ni mniej, ni więcej.

Kobieta dmuchawiec wyrzuciła z siebie kolejną długą litanie w dziwnym niemieckim. Beate położyła jej dłoń na ramieniu i słuchała, potakując, a kiedy Frau Vogel zrobiła pauzę, żeby zaczerpnąć oddechu, Arne doczekał się wyjaśnienia:

– Ona mówi, że Mężczyzna z Motylem nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak.

– Spłonął?

– Prawdopodobnie. Kiedy strażak dostał się do jego mieszkania, leżał nagi na podłodze w kuchni. Był kompletnie osmalony, a jedyne, co miał na sobie, to ogromna ruda sztuczna broda...

– Ruda broda? – powtórzył za nią Arne, grzebiąc głęboko w pamięci. – Tamten inkwi... inkwizytor miał rudą brodę.

– Barbarossa – powiedziała Beate w zamyśleniu. – To też się zgadza... w dosyć osobliwy sposób. Musiał być szalony.

– Co to jest Barbarossa?

Beate się zawahała.

– To długa historia – oznajmiła w końcu. – Potwornie długa.

Kobieta dmuchawiec wykrzyknęła coś donośnie i Beate złapała ją za rękę, aby ją trochę uspokoić. Potem znowu rozmawiały przez kilka minut. Frau Vogel od czasu do czasu zerkała na Arnego z zatroskaną i nieco smutną miną. On zaś miał wrażenie, że niektóre słowa raz po raz się powtarzają: *Mutter, Blutpfropf, KaDeWe* i *Ach, du lieber Augustin*.

Ona musi mieć naprawdę niezłe pomieszane w głowie, pomyślał Arne.

To prawda, wdowa Irmelin Wolf była tego dnia zupełnie wyprowadzona z równowagi, zarówno z powodu pożaru, jak i dosyć podeszłego wieku, lecz kiedy godzinę później Arne i Beate udali się na suchary z marmoladą z pigwy i na herbatę w dużym dzbanku do kawiarni przy Frankenstraße, Beate oznajmiła, że starsza pani mimo wszystko całkiem niezłe orientowała się w sytuacji.

Mieszkała ściana w ścianę z „tym niedawno osiadłym wariatem” i chociaż w nocy akurat śniła się jej pożoga, dym jej nie obudził. W przeciwieństwie do innego sąsiada, pana Kuntze, który wezwał straż pożarną. Było około wpół do pierwszej, ale strażacy znaleźli się na miejscu wzorowo szybko i prawie od razu ugasił ogień, który na szczęście nie rozprzestrzenił się na inne mieszkania, mimo to całą masę rzeczy trzeba będzie odświeżyć albo wymienić, żeby się pozbyć

nieprzyjemnego swądu. Na wszelki wypadek – i z powodu tego zapachu – wszyscy mieszkańcy domu zostali ewakuowani, ale przed południem pozwolono im już wrócić.

Na razie nie zdołano ustalić, co działo się poprzedniego dnia wieczorem u profesora Litvinasa ani co konkretnie wywołało pożar, wszyscy jednak – policjanci, strażacy i lokatorzy – byli zgodni co do tego, że profesor musiał być niespełna rozumu. Później, kiedy wyszło na jaw, że nie dalej jak przed miesiącem był jeszcze w zakładzie psychiatrycznym, umocnili się w tym przekonaniu.

Zgroza i hańba, podsumowała wdowa Vogel. Do czego to podobne, żeby tacy pomyłeńcy biegali sobie swobodnie na golasa? Z przypinaną brodą i zapalkami. Podkładali ogień i wyprawiali samych siebie w zaświaty.

– On musiał mieć całkiem inne zamiary – powiedziała Beate, wyciągając rękę przez stół.
– Mam na myśli ciebie, Arne. Na pewno miał wielkie plany. Ale nie zawsze wszystko przebiega tak, jak człowiek sobie wyobraża, kiedy rzuca wyzwanie mocom...

– Mocom? – zdziwił się Arne.

– Czy jak byśmy chcieli to nazwać – dodała Beate z przelotnym uśmiechem. – Tak czy inaczej uważam, że miałeś dużo szczęścia. I dobre siły po swojej stronie... albo, jak powiedziałam, moce.

Arne nie wiedział, co ma na to odrzec, milczał zatem i bardzo ostrożnie uściskał jej dłoń, która w jego ogromnej łapie wydawała się mała jak pisklę. To nadzwyczaj miłe uczucie, pomyślał, chętnie trzymałby ją tak za rękę przez następnych pięćdziesiąt lat. Gdyby to było możliwe.

– To znaczy m y mieliśmy sprzyjające siły po n a s z e j stronie – dodała.

– To przecież jasne, że są po twojej stronie – powiedział Arne. – A co właściwie z moją mamą? Czy to znaczy, że ona nie żyje?

Beate zawahała się przez sekundę.

– Tak, nie żyje – powiedziała w końcu. – Przykro mi, ale taka jest prawda. Chociaż rzeczywiście mieszkała w tym domu... przy Kyffhäuserstraße 52, aż do śmierci. Pani Vogel mówi, że umarła w kwietniu dwa tysiące dziesiątego roku. Czyli dokładnie pięć lat temu, a najdziwniejsze jest to...

Przerwała i przyjrzała mu się z troską.

– Co jest najdziwniejsze? – zapytał.

– Mówiłeś, że ją widziałeś... to znaczy swoją mamę. W KaDeWe, w tym wielkim domu towarowym, tak?

– Tak on się chyba nazywa. I byłem całkiem pewny, że to ona. Chociaż później, rzecz jasna, zadawałem sobie pytanie, skąd mogłem mieć taką pewność.

– Pamiętasz, na którym to było piętrze?

– Chyba na trzecim. Dlaczego o to pytasz?

Beate się zawahała, potem westchnęła ciężko i spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiem, że teraz to może zabrzmieć nieprawdopodobnie, ale pani Vogel powiedziała mi, że Violetta Dufva umarła na atak serca pięć lat temu. Poszły we dwie do KaDeWe na zakupy, chyba chadzały tam od czasu do czasu razem, przypuszczam, że pani Vogel potrzebowała wsparcia... i twoja mama po prostu nagle upadła na podłogę. Kiedy kilka minut później przyjechała karetka, już nie żyła, mimo że ktoś próbował jej robić sztuczne oddychanie i masaż serca.

Arne na chwilę puścił jej dłoń, ale zaraz chwycił ją znowu.

– Właśnie w tamtym domu towarowym?

– W KaDeWe, tak – potwierdziła Beate. – Tam, gdzie ją widziałeś kilka dni temu, pięć lat

później. Moglibyśmy, rzecz jasna... nie, może lepiej dajmy spokój.

– Uważasz, że...

– Uważam, że na pewno dałoby się ustalić, kiedy dokładnie umarła, a potem sprawdzić, czy nie widziałeś jej przypadkiem tego samego dnia tego samego miesiąca. Ale, jak mówię, może wcale nie musimy... jak to się mówi po szwedzku? Zaglądać pod każdy kamień.

– Nie musimy – zgodził się Arne. – Mój tata też tak mówił. Powtarzał, że jeśli ktoś jest na tyle stuknięty, żeby odwracać każdy kamień, to widzi wszystek gnój, a poza tym może mu strzyknąć w krzyżu.

– To brzmi rozsądnie – powiedziała Beate Bittner z uśmiechem. – Może dopijemy herbatę, wrócimy do domu i coś sobie ugotujemy?

– Nie umiem gotować, ale chętnie się nauczę.

– Świetnie. Czy jest jakieś konkretne danie, które chciałbyś umieć przyrządzać?

– Może *Bratwurst* i *Kartoffelsalat*? – rzucił Arne po krótkim namyśle.

– To moglibyśmy zjeść nawet dzisiaj. Chyba mam wszystko, co trzeba.

– Super – ucieszył się.

A ty jak uważasz, Perry? – pomyślał. Prawda, że super?

A ciebie, tato, nie słyszałem w głowie już od kilku dni, skoro więc nie paplesz, to pewnie też jesteś zadowolony.

Żaden z nich nie odpowiedział, ale to nie miało znaczenia. Arne zacisnął dłonie na rączkach wózka Beate i ostrożnie wytoczył go z kawiarni.

– Co myślisz o psach? – spytała Beate, gdy mieli już za sobą kilkaset metrów Meranenstraße.

– Dlaczego pytasz?

– Pomyślałam tylko, że powinniśmy w końcu porozmawiać o czymś innym niż pożary i jakieś dziwne historie.

– Rozumiem. No więc lubię psy. Wuj i ciotka mieli kiedyś jednego, ale ciotka jest alergiczka i musieli go skrócić.

– Skrócić? Co to znaczy?

– Nie wiem. Wuj tak powiedział: no to skróciliśmy Sixtena. Później nie mieli już żadnego.

– Hm... a jakiej był rasy?

– Nie wiem – odpowiedział Arne. – Chyba wielorasowy. I dosyć duży.

– A ty masz jakąś ulubioną rasę?

– Najbardziej lubię kudłate. Sixten był strasznie kudłaty.

– Naprawdę?

A potem zaczęła coś nucić. Wydawało mu się, że to brzmi jak tamto tango.

Dzień jedenasty

Jedenastego dnia w Berlinie – była to Niedziela Wielkanocna – Arne Murberg pożyczył od Beate Bittner telefon komórkowy i wysłał esemesa do wuja Lennarta do K., w Szwecji.

Zostaję tutaj.

Pozdrów ciocię Polly.

Arne

Przypisy końcowe

Szukam swojej mamy. Jej nazwisko to Violetta Dufva albo może Violetta Lummersten. Ona mieszkać tutaj w lata osiemdziesiąte, a może potem. Mogecie mi pomóc? (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Ap. 4,2-3.

duva/dufva (szw.) – gołąb

Mt 27, 51–52 (Biblia Tysiąclecia).

Nawiązanie do Fausta J.W. Goethego: czarny pudel znaleziony przez Fausta na spacerze i przyprowadzony do pracowni okazuje się Mefistofeilesem (Faust, tłum. Adam Pomorski, Świat Książki 2005).